BIBLJOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PRÓŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier.
II. Nie dotykaj mnie brudnemi rękami.
III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
X. Nie wyrywaj i nie niszcz obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Bibljoteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych próśb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

DEC. 1955 — 2M 347

Rycerz Wolności.

(KAZIMIERZ PUŁASKI.)

Szkic do powieści historycznej

PRZEZ

W. M. KOZŁOWSKIEGO.

Walka o wolność, gdy się raz zaczyna,
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna;
Sto razy wrogów zachwiana potęgą
Skończy zwycięztwem!....
A. MICKIEWICZ.



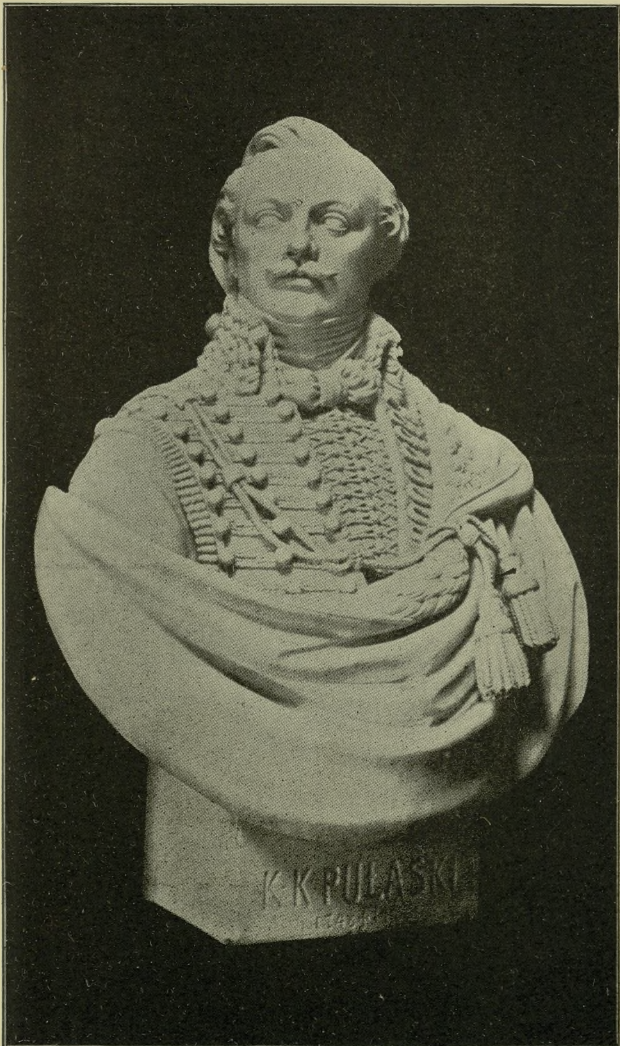
CHICAGO, ILLINOIS.
Nakładem Wydziału Oświaty Związku Narodowego Polskiego.
1903.

MATCE MOJEJ

ZUZANNIE KOZŁOWSKIEJ

PRACĘ TĘ POŚWIĘCAM.

Chicago, 23 czerwca 1903.



BIUST K. PUŁASKIEGO W KAPITOLU W WASHINGTONIE.

Wstęp historyczny.

Podróżny przybywający z New Yorku do Bostonu najpopularniejszą dziś drogą Fall River Line, potrzebuje zrobić tylko kilkadziesiąt kroków od dworca kolei przywożącej go z ponad zatoki Narraganset Bay aby znaleźć się przed Common — dawniej gajem, gdzie odbywały się spacery zamiejskie zakochanych, później — miejscem wykonania wyroków nad czarownicami i zbrodniarzami, a dziś — znowu ładnym i lubianym przez bostończyków skwerem. Tu na skraju darniny wzrok jego pada na pomnik „Bostońskiej rzezi z 1770".

Jeśli podróżnym tym jest polak, to serce mu ściska bezgraniczny żal na widok tej piramidy granitowej z bronzowemi płaskorzeźbami; łzy mu nabiegają pod powiekę, gdy myśli i mimowolnie nasuwa się pytanie:

— Dla czego my nie mamy podobnego? Bo też pomnik ten nie tylko jest symbolem dojrzałości politycznej narodu, który zapragnął być wolnym i potrafił to uczynić, ale zarazem przedstawia scenę tak przypominającą jeden wypadek z naszych dziejów, że porównanie nasuwa się pomimo chęci.

Cóż jest na nim?

Zacznijmy od płaskorzeźby dolnej. Widzimy tu tłum ludzi zebranych koło dawnego ratusza — tego który i dziś jeszcze można oglądać „w dole miasta” — tłum ludzi domagających się praw swoich, a naprzeciwko szereg siepaczy angielskich, strzelających do tego tłumu. Ranni i zabici padają, kobiety i dzieci uciekają, a wzniesione ku górze ręce mężczyzn wypowiadają groźbę — groźbę, którą spełnili.

Spełnieniem tej groźby jest druga, większa rzeźba umieszczona nad pierwszą. Jest to Rewolucja w postaci kobiety, zrywająca łańcuch niewoli i depcząca pod stopą koronę despotów....

Jakże podobny początek tej historji spiżowej do dziejów naszego ostatniego powstania! Wszak i u nas zaczęło się od strzałów do tłumu i od pięciu poległych na placu przed zamkiem królewskim w Warszawie. Dla czegoż koniec tak odmienny? I kiedyż my doczekamy się tej chwili, że Polska zerwie swoje kajdany i zgniecie pod stopą koronę carów?

Takie są pierwsze myśli, które nasuwają podróżnemu polakowi owe wzniosłe rzeźby Roberta Krausa. A gdy duma dłużej, przypomina sobie, że w tej wielkiej walce, której początkiem było kilka niewinnych ofiar despotyzmu, a końcem — zerwany łańcuch i zdeptana korona, że w walcej tej taki czynny udział, taką wybitną rolę spełniło dwóch z jego współrodaków. Wpatruje się bliżej w ową górną rzeźbę, a myśl nieświadomie pracująca, podpowiada mu, że rzeźba ta jest emblematem tego, do czego od wczesnej młodości aż do późnej starości, na swojej i na obcej ziemi dążył najsławniejszy z polaków, ten wielki republikanin, który do śmierci został wierny ideałom młodości, i jak za nie nie żałując krwi i życia walczył, tak dla nich

wyrzekł się najwyższych zaszczytów, jakie mu mocarze świata ofiarowali. Takim bowiem był Tadeusz Kościuszko. Kto tego nie dostrzega lub rozmyślnie na to oczy zamyka, że Kościuszko był przedewszystkiem republikaninem, był może nim nawet więcej niż polakiem, dla tego bardzo wiele kart jego sławnego żywota zostaje niejasnych, lub wymaga sztucznych i naciąganych tłumaczeń.

Ameryka czci dotąd pamięć obu bohaterów naszych; zarówno Kościuszkę jak i Pułaskiego, który krwią szlachetną użyźnił niwę ich wolności. W kapitolu związkowym w Washingtonie znajduje się półokrągła sala — niegdyś sala posiedzeń kongresu, dziś nazywa się salą posągów. Każde z państw związkowych, które my niewłaściwie nazywamy stanami, ma prawo umieścić w tej sali dwa posągi najznakomitszych swoich mężów. W tym panteonie związkowym narodu amerykańskiego znalazło się wszakże miejsce i dla tych, którzy do żadnego ze stanów nie należeli. Popiersia Kościuszki i Pułaskiego zajęły tam mie sca z rozporządzenia rządu związkowego. Biust Pułaskiego roboty polskiego rzeźbiarza H. Dmochowskiego jest bardzo udatny i doskonale oddaje butny i zamaszysty charakter znakomitego konfederata; mniej szczęśliwym był Kościuszko, pod którym wyryte jest nazwisko H. D. Saundersa.... Ale mniejsza o to; idzie nam głównie o dobrą chęć narodu. Ten objaw czci, obok niezliczonego szeregu innych, świadczy, że narody wolne umieją być wdzięcznemi dla swoich bohaterów.

Wojna o niepodległość kolonji amerykańskich, jakkolwiek toczona na dalekim od Europy lądzie, jak-

kolwiek bezpośrednio dotycząca niewielkiej stosunkowo gromady ludności, wywarła niezmiernie doniosły wpływ na rozwój idei politycznych w Europie. Przyczyna tego wpływu, wielokrotnie zresztą przez historyków podnoszonego, była ta, że w wojnie owej nie tyle szło o zdobycie niepodległości dla kolonji, ile o przeprowadzenie nowych zasad, które świtały już w literaturze wieku oświaty, a których kolebką była nie tyle Ameryka ile raczej Anglia i Francja.

Wojna amerykańska była istotnie wojną rewolucyjną (War of the Revolution), jak ją trafnie nazywają historycy tego kraju: szło w niej przedewszystkiem o to, czy ma zwyciężyć zasada monarchji samowładnej, którą reprezentował Jerzy III, czyli republikanizm demokratyczny ożywiający kolonje; dla tego też widzimy, że cała Anglja postępowa sprzyja Ameryce przynajmniej przez cały czas, dopóki zatarg nie przybrał charakteru secesji. Rozczytując się w korespondencji ówczesnych wybitnych ludzi stanu i wojny angielskich, przekonamy się z łatwością, jak gorąco brali do serca sprawę Ameryki. Spotykamy się w niej częstokroć z myślą, że zatarg amerykanów z rządem Jerzego III zapowiada dobę wolności nie tylko dla Ameryki ale i dla Anglji, a głośno myśl tę wypowiedział w parlamencie Chatham. Nie mało też było i takich, którzy w oczekiwaniu zatargu zbrojnego przenieśli się na ląd amerykański, aby tu stoczyć walkę z despotyzmem własnego rządu. Do tej liczby należał szlachetny Horacjusz Gates i słynny Karol Lee, który świetny początek swego zawodu amerykańskiego zhańbił ostatecznie zdradą.

Dosyć jest uprzytomnić sobie historję zaludnienia tych trzynastu kolonji, które w r. 1775 rozpoczęły nierówną walkę z potęgą zorganizowaną Wielkiej Bry-

tanji, aby zrozumieć, iż idea niepodległości musiała z czasem dojrzeć na tym lądzie amerykańskim. Wszak nie byli to próżniacy szukający złota, jak hiszpanie, lub ochotnicy do silnych wrażeń jak koloniści francuzcy, lecz ludzie, którzy porzucali ojczyznę dla tego, iż nie znaleźli w niej wolności dla wyznawania swoich przekonań. Przybyli na obcy daleki grunt, aby wśród ciężkiej pracy, niebezpieczeństw i prywacji wszelkiego rodzaju założyć podwaliny nowego społeczeństwa, opartego na równości i wolności. Duch, który ich ożywiał, odbił się niezatartą pieczęcią w umowach, które spisano przy założeniu nowych tych społeczeństw.

A chociaż z biegiem czasu rząd angielski zdążył narzucić władze swoje wszystkim kolonjom w mniejszym lub większym stopniu, tradycja zasad, które legły w ich osnowie, nie wygasła. Demokratyczna prostota obyczajów, poczucie zupełnej równości między ludźmi, poszanowanie dla pracy wszelkiego rodzaju były nieodłącznemi cechami życia amerykańskiego.

Lafayette w liście do żony pisanym 19 czerwca 1777 z Charleston, tak opisuje pierwsze swoje wrażenia na gruncie amerykańskim: „Prostota zwyczajów, chęć dogodzenia, miłość ojczyzny i wolności, równość łagodna panują tu wśród wszystkich. Człowiek najbogatszy i najuboższy stoją na jednakowym poziomie, a chociaż są tu majątki olbrzymie, nie da się dostrzedz najmniejszej różnicy w sposobie wzajemnego traktowania ludzi".... „Co zachwyca mię tu najwięcej, to to, że wszyscy obywatele są braćmi. Nie ma tu ubogich ani nawet tego, co nazywają chłopami". Wszyscy obywatele mają dobrobyt przyzwoity i wszyscy — prawa równe z najbogatszym obywatelem kraju*).

---

*) Lafayette „Memoires et lettres" str. 41,

Same formy życia amerykańskiego zostawały więc w największej sprzeczności z arystokratycznie-monarchiczną konstytucją Anglji. Cóż dopiero, gdy na grunt ten upadły nasiona filozofji wieku oświaty. Wpływ pisarzy angielskich XVII stulecia i francuzkich XVIII odbił się przedewszystkiem na rozpowszechnionej w kolonjach teorji „praw przyrodzonych" człowieka, których sformułowanie znajdziemy w deklaracji niezależności. Wojny, które prowadziły kolonje z osadami francuzkiemi i z indjanami, oswoiły ich z myślą, iż mogą same utrzymać niezależny byt. Wreszcie ustępstwo Kanady przez Francją wskutek traktatu z r. 1763, zdawało się takim darem Danajów, który miał przyczynić największy kłopot jej nabywcom t. j. rządowi angielskiemu. „Teraz, rzekł Choiseul, po podpisaniu tego traktatu, urządziliśmy rzeczy tak, aby wybuchło powstanie w Ameryce, które pozbawi Anglją jej panowania na Zachodzie.

Wszystkie więc czynniki składały się na to, aby sprzyjać powodzeniu idei niepodległości. Potrzebną była tylko pobudka, która by rozbudziła tę myśl drzemiącą w głębi umysłu amerykańskiego i wznieciła chęć wyjścia z położenia tolerowanego jedynie dla tego, iż stało się zwykłem zwyczajem. Pobudek takich dostarczył sam rząd angielski.

Już w r. 1733 przeszło było w parlamencie angielskim prawo pod nazwą *The Importation Act*, które było niejako uzupełnieniem dawnego *Navigation Act* (z r. 1651) i obciążało ogromnym podatkiem cukier, melas i rum wwożone do kolonji. Kupcy amerykańscy potrafili wymijać to prawo, które zostało w ten sposób faktycznie zredukowane do zera. W roku 1750 parlament angielski wydał prawo zakazujące zakładania hut żelaznych a zwłaszcza fabrykacji stali

prawo to wywołało silne oburzenie w kolonjach. Wytykano je jako niesprawiedliwe i tyraniczne.

W r. 1761 zrobiono usiłowanie w celu przeprowadzenia prawa o importacji: Sądom kolonialnym nadano prawo wydawania urzędnikom królewskim t. zw. *Wrights of Assistance*, upoważniających ich do rewizji i konfiskowania towarów posądzanych o to, iż przyszły bez cła. Prawo to wywołało wrzenie w Bostonie i w Salem, dwóch pierwszorzędnych portach kolonji Massachussetts Bay. Sądy odmawiały urzędnikom upoważnień do rewizji a James Otis wystąpił z obroną praw kolonji wykazując niekonstytucyjność aktu. Mowa jego zrobiła głębokie wrażenie we wszystkich kolonjach.

W r. 1763 rząd angielski wysłał statki dla chwytania okrętów przewożących cukier z Indji Zachodnich, wskutek czego handel z temi wyspami został wstrzymany. Na wielkiem zgromadzeniu ludowem, które odbyło się w Bostonie tegoż roku, Samuel Adams w przemówieniu swojem podniósł i udowodnił, że w prawodawstwie angielskiem *opodatkowanie było nieoddzielne od reprezentacji.*

Od roku 1764 zatarg między metropolją a kolonjami przybiera charakter szczególniej ostry. Ministerjum Granvilla przeprowadziło w parlamencie prawo ogólnikowe o wprowadzeniu podatku stemplowego w kolonjach, które wywołało niezliczone „meetingi" i debaty w Ameryce, a w marcu 1765 wyszedł osławiony *Stamp Act*. Według aktu tego każdy kontrakt, testament, zapis lub jakikolwiekbądź akt prawny miał być od 1 listopada pisany na papierze stemplowym wartości od 3 pensów do 6 Ł. Każda broszura, gazeta lub kalendarz drukowane w kolonjach, musiały się ukazywać na papierze stemplowym wartości

od ½ do 4 pensów. Każde ogłoszenie ocenione było na 2 szylingi. Był to więc zamach nie tylko na kieszenie ale i na oświatę ludu.

„Słońce amerykańskiej wolności już zaszło, pisał Franklin do jednego z przyjaciół zwiastując o tym akcie, powinniśmy zapalić lampy pracowitości i oszczędności". — „Bądź przekonany, odpisał mu przyjaciel, że zapalimy pochodnie innego rodzaju." Istotnie wieść o Stamp-akcie wywołała najprzód rozpacz, która niebawem przeszła w oburzenie. W miastach powstały zaburzenia, w Filadelfji i w Bostonie przygłuszone dzwony uderzyły jakoby na pogrzeb. W Nowym Yorku kopję Stamp Aktu niesiono po ulicy z przykutą do niej trupią głową i z napisem: „Szaleństwo Anglji a ruina Ameryki". W „izbie burgessów" w Virginji przyjęto szereg rezolucji wniesionych przez Patryka Henry'ego — niewykształconego farmera z górskiej okolicy, które brzmiały, że amerykanie jak i inne ludy Wielkiej Brytanji mają przywilej sami nakładać na siebie podatki, że koloniści nie są obowiązani ulegać narzuconym im prawom o podatkach a ktokolwiek twierdzi przeciwnie, jest nieprzyjacielem kraju. Podczas gorących rozpraw nad temi punktami Henry w zapale mówniczym wykrzyknął: „Tarkwinjusz i Cezar mieli każdy swego Brutusa; Karol I miał swego Kromwella, a Jerzy III...." „Zdrada!" zawołał prezes izby. — „Zdrada" powtórzyli lojaliści izby, zrywając się z ławek. — „....a Jerzy III, kończył Patrick Henry, mógłby skorzystać z ich przykładu". I siadając dodał spokojnie: „Jeśli to zdrada, popełniajcie ją jak najczęściej."

W Bostonie Jakób Otis nawoływał do kongresu kolonjalnego, który zwołano istotnie w Nowym Yorku na 7 października. Był to *pierwszy kongres ko-*

lonjalny. Po długich dyskusjach przyjęto na nim *Deklaracją Praw*, w której wygłaszano znaną już nam zasadę że koloniści amerykańscy, jako anglicy, nie mogą i nie chcą być opodatkowani bez reprezentacji. Przesłano memorjały do obu izb parlamentu, do króla zaś petycję, w której zapewniając o lojalności swojej proszono o bardziej sprawiedliwą i ludzką politykę względem kolonji.

Tymczasem zbliżał się dzień 1go listopada, w którym miało być zastosowane prawo o stemplach. Przez lato ogromne zapasy papieru stemplowego przysłane były z Anglji i odpowiednio przyjęte w Ameryce: w New Yorku lud owładnął 10 pakami papieru i zniszczył je. W Connecticut o mało nie powieszono urzędników stemplowych. W Bostonie zburzono składy i rozrzucono na wiatr lub spalono stemple. Całe masy drażniącego papieru odesłano napowrót do Anglji a każdy urzędnik stemplowy zmuszony został do dymisji lub ucieczki z Ameryki. „Ku 1 listopadowi, powiada jeden z historyków, zostało zaledwie tyle stempli, aby w późniejszych czasach zaopatrzyć w nie muzea”.

Sam dzień powitano powszechną żałobą: sklepy były zamknięte, flagi zwieszone do połowy maszt, dzwony biły żałobnie; obnoszono w procesjach humorystycznych figury ministrów i palono je w końcu. W New Hampshire urządzono procesją pogrzebową i pochowono trumnę z napisem „Wolność”. Cyrkulował obrazek przedstawiający węża rozciętego na części; każdy odcinek miał początkowe litery, któremi się zwykle oznaczają kolonie, a głowa „N. E.” (Nowa Anglja), podpis brzmiał: „łączcie się lub gińcie”.

Początkowo wszystkie biura były zamknięte

i wszystkie interesa wstrzymane; lecz niebawem normalny ruch powrócił, nikt wszakże nie myślał posługiwać się papierem stemplowym. Zawiązało się patrjotyczne towarzystwo „*Synów Wolności*", którego członkowie zobowiązali się bronić wolności, chociażby poświęcając życie. Kupcy umówili się nie przywozić żadnych towarów z Anglji dopóki nie będzie odwołany *Stamp Act*.

Przemysłowe klasy w Anglji sympatyzowały z amerykanami. Pitt wygłosił w izbie mowę, w której powiedział: „Nie mieliście prawa opodatkowywać amerykanów. Cieszę się, że Ameryka okazała opór. Gdyby trzy miliony naszych współobywateli okazały się tak pozbawionemi godności, że pokornie wyrzekliby się swoich swobód, stanowiliby zdatne narzędzie do uczynienia niewolnikami pozostałych". Nowe ministerjum składało się z Wigów t. j. zwolenników zasad liberalnych. „Akt o stemplach" został odwołany 18 marca 1766 przy powszechnych radosnych owacjach w Anglji i w Ameryce.

Nie długo wszakże trwała ta radość. Wkrótce objął ministerjum Pitt, którego Jerzy III zrobił lordem Chatham. Wielki człowiek, którego nerwy były już wyczerpane tylu wysiłkami zmalał do poziomu tego honoru, jakim go „zaszczycił" król. Przekonania jego uległy zmianie; przytem był chory. Korzystając z jego nieobecności jeden z ministrów Townshend przeprowadził 29 czerwca 1767 prawo obciążające podatkiem szkło, papier, farby i herbatę wwożone do kolonij. Wywołało to nowe postanowienie kupców nie sprowadzania towarów z Anglji. Gazety pełne były surowej krytyki parlamentu; izba zaś rady Massachusetts wydała okólnik do innych kolonij, wzywając do pomocy w przeciwdziałaniu temu akto-

wi. Gubernator królewski Bernard rozwiązał izbę. W czerwcu tegoż roku urzędnicy celni w Bostonie schwytali szalupę, którą posądzono o kontrabandę; tłum rzucił się na komorę celną i zmusił urzędników do ucieczki na wyspę Castle William. Wtedy dowódzca wojsk angielskich w Ameryce Gage, otrzymał rozkaz wysłania pułku do Bostonu. Magistrat odmówił żołnierzom kwaterunków tak, iż musiano umieścić ich w gmachu rządowym.

Rozdrażnienie rosło ustawicznie. W r. 1769 parlament ogłosił ludność Massachusettsu za buntowników i upoważnił gubernatora do aresztowania winowajców i wysłania dla sądu do Anglji. Wywołało to burzliwe sceny w Bostonie i jednocześnie wybuchły rozruchy w Wirginji, które stłumił gubernator Tryon. Na początku następnego roku (1770) wynikła w N. Jorku bójka z żołnierzami z powodu zrąbanego przez nich „słupa wolności" a 5 marca nastąpił krwawy zatarg w Bostonie, o którym już była mowa.

Tegoż samego wieczora, w którym padły strzały w tem mieście, nowy minister lord North uzyskał w parlamencie odwołanie wszystkich podatków prócz jednego na herbatę. Amerykanie odpowiedzieli na to zrzeczeniem się tego trunku. Tak trwało lat trzy. Masy niezużytej herbaty nagromadziły się w składach Tow. Indyjskiego. W r. 1773 ministerjum angielskie postanowiło znieść podatek wywozowy na herbatę tak iż cena jej pomimo podatku przywozowego spadła niżej, niż była uprzednio. Wysłano okręty z herbatą, lecz kolonie nie chciały jej przyjąć. W Bostonie zaś spór z urzędem celnym rozstrzygnięto w sposób oryginalny. Ogromne zgromadzenie ludowe debatowało kwestję w Fauenil hall. Żądano od gubernatora wysłania okrętu z herbatą napowrót do Anglji; gdy

przyniesiono odmowną odpowiedź jego, dał się słyszeć krzyk wojenny indyjski i orszak złożony z kilkudziesięciu mężczyzn przebranych za czerwonoskórych wybiegł z sali w kierunku ku portowi. Tłum podążył za nim, i był świadkiem jak 340 skrzyń herbaty rozbito, a zawartość wyrzucono do morza. Była to słynna „herbatka bostońska" (16 grudnia 1773).

Rząd odpowiedział na nią szeregiem praw, które równoznaczne były ze zniesieniem konstytucji i wprowadzeniem stanu oblężenia w kolonji „Zatoki Massachusetts": port bostoński został zamknięty, zniesiono prawo zebrań i wyboru urzędników, oddając naznaczenia szeryfów (naczelników pow.) w ręce władzy wykonawczej; sąd nad urzędnikami i żołnierzami popełniającymi zabójstwo lub inną zbrodnię w Ameryce przeniesiono do Anglji lub Nowej Szkocji, zabezpieczając w ten sposób bezkarność gorliwym sługom rządu; uprawniono postój wojska w Bostonie i rozszerzono zakres rządu kanadyjskiego w Quebec na cały szereg mniej zaludnionych terytoryj dzisiejszych Stanów Zjednoczonych.

Była to prowokacja, harmonizująca z ogólnym nastrojem reakcyjnym w Europie i w samej Anglji. Daremnie przyjaciele wolności w parlamencie angielskim stawali w obronie amerykanów i domagali się pogodzenia z kolonjami. Upór króla i ciasnota jego poglądów przemogły nad ostrzeżeniami ludzi postępowych i dalekowidzących. Anglja dobrowolnie odpychała od siebie kolonje, które dotąd robiły wszystko możliwe, aby pojednać się z metropolją w sposób nie ubliżający honorowi i nie zagrażający ich wolności.

Bostońskie prawo portowe doszło do Massachusetts na początku maja 1774 r. Niezadługo przed

tem generał Gage dowódzca siły zbrojnej mianowany został gubernatorem tej kolonji. Wiadomość o nowem prawie jednocześnie przyszła i do Nowego Jorku. Zwołane tu na prędce przez Synów Wolności zgromadzenie uznało niebezpieczeństwo, któręm zagrażało wszystkim koloniom prawo portowe i postanowiło zwołać kongres przedstawicieli. Goniec niosący wiadomość tę do Bostonu, John Ludlow, spotkał w drodze pędzącego patrjotę bostońskiego Pawła Rezere, który odbiwszy prawo bostońskie z czarną obwódką dokoła na znak żałoby, rozrzucał je wszędzie po drodze.

W ciągu lata wszystkie kolonje prócz Georgji postanowiły wziąść udział w tym kongresie i wybrały swoich przedstawicieli. Kongres ten pierwszy lądowy zebrał się w Filadelfji 5 września, w sali związku ciesielskiego (Carpenter's hall), którą dotąd oglądać można zachowaną w tym stanie w jakim służyła temu zgromadzeniu. Po dłuższych debatach teoretycznych nad prawami kolonij, wydano kilka postanowień dotyczących niewwożenia i niewywożenia towarów, praw kolonij w stosunku do parlamentu oraz podanie do króla o odwołanie środków ucisku i wojsk z Bostonu. Podanie to, pomimo mowy słynnego Chathama w izbie lordów, nie odniosło żadnych skutków.

Przez ten cały czas nie zaniedbywano przygotowań do obrony czynnej: wszystkie niemal kuźnie zajęte były przez lato robieniem broni; milicja miejscowa złożona z tak zwanych „minute men", ludzi w każdej chwili gotowych stanąć do boju, organizowała się i odbywała ciągłe ćwiczenia, gromadzono amunicje i wszelkiego rodzaju zapasy, na żądania zaś gubernatorów, aby zaprzestano tego „ustawicznego trąbienia i bębnienia" i na domaganie się oddania rządowi za-

pasów prochu — zasłaniano się niebezpieczeństwem ze strony indjan.

Na wiosnę r. 1775 gen. Gage postanowił wreszcie wyjść z tego położenia. Oddział wojska wysłany pod największą tajemnicą w nocy z Bostonu, miał udać się do Concord, aby owładnąć ukrytemi tam zapasami amunicji i armatami, o których jeden z torysów t. j. zwolenników rządu doniósł był mu, a po drodze miał aresztować dwóch najwybitniejszych patrjotów, którzy ukrywali się w Lexington: Samuela Adams'a i Johna Hancock'a. Patrjoci bostońscy dowiedziel się o tych zamiarach i kilku gońców (w których liczbie znowu znalazł się Paweł Revere) popędziło w różne strony; jedni, aby ostrzedz zagrożonych patrjotów, drudzy, aby uratować amunicje. Po drodze wołano lud do broni. Gdy oddział angielski nie znalazłszy już Hancocka i Adamsa w Lexington miał wyruszyć ku Concord, we wszystkich sąsiednich wsiach biły dzwony alarmowe. Siedmdziesięciu amerykanów stawiło czoło oddziałowi, ale nie decydowali się strzelać, dopóki pierwsi anglicy nie zabili im kilku towarzyszów. Dopiero wtedy odpowiedzieli strzałami, wprawdzie nieskutecznemi, i cofnęli się wobec przewagi nieprzyjaciół, którzy po trzykrotnem „hurra" ruszyli ku Concord. Wieść o tej pierwszej potyczce rozniosła się z błyskawiczną szybkością po okolicy. Zapasy amunicji w Concord zabrano pośpiesznie na wozy i odwieziono w głąb lasu. Przybywający anglicy zastali zaledwie kilka próżnych lawetów i trochę nieesprzątniętych kul. Natomiast za Concord na wzgórzu oczekiwał ich potężny oddział ochotników, który pod dowództwem pułkownika Barreta (w jego to domu były przechowane owe amunicje) rozpoczął działania zaczepne i pędził ustępujących anglików przez

całą drogę od Lexington aż do Cambridge pod ustawicznemi strzałami. Działo się to w nocy 18 i rankiem 19 kwietnia. Wieść o wypadkach szybko rozeszła się po kolonjach, z których każda natychmiast wyznaczyła po parę lub kilka tysięcy milicji dla otoczenia Bostonu i odcięcia w ten sposób Gage'a od lądu. W Nowym Yorku Synowie Wolności wstrzymali statki, które miały wieść żywność anglikom do Bostcnu; w południowych koloniach potworzyły się kongresy prowincjonalne, a ku końcowi kwietnia Boston otoczony był kilkunastotysięczną armią, której dowództwo oddano Artemiuszowi Ward.

Potyczka w Lexington i Concord dała hasło do zbrojnego powstania. Gdy 10 maja 1775 r. zebrał się w późniejszej Hali Niepodległości trzeci Kongres Lądowy, wszyscy rozumieli, że jego głównym zadaniem będzie organizacja siły zbrojnej, że czas petycji i pertraktacji już minął; pomimo jednak rozpoczętej faktycznie wojny, słowo niepodległość nie było wypowiedziane. Nawet ten kongres wysłał jeszcze petycją do króla, w której wyrażał swoje przywiązanie do jego osoby i żal, że wypadki zachwiały uległość ludu względem korony; do narodu zaś brytańskiego pisał że posądzenia o dążenie do niepodległości są oszczerstwem rzuconem na amerykanów. Amerykanie pragnęli przedewszystkiem wolności nie zaś niepodległości. Postanowiono jednak uważać zebrane do koła Bostonu wojsko za „armię lądową" t. j. do dwunastu połączonych kolonij", wyraz tu poraz pierwszy użyty; 15 czerwca obrano Washingtona na głównego dowódzcę tej armji. Postanowiono także wypuścić banknoty na sumę 2 milionów dclarów „na obronę Ameryki".

Zanim odbywały się narady posłów na kongresie,

nie zaniedbywano wszelkich środków obrony czynnej a przedewszystkiem owładnięcia punktami ważnymi ze względów strategicznych. Linja wodna utworzona przez jezioro Champlain i rzekę Hudson, przedstawiała szczególniejsze znaczenie w gotującej się walce. Stanowiła ona z jednej strony łącznik pomiędzy New Yorkiem a Kanadą, o której usposobieniu nie było jeszcze pewności; którą wszakże anglicy wszelkimi środkami starali się do siebie przywiązać, nadewszystko zaś aktem Kwebeckim nadającym wolność wyznania i równouprawnienie katolikom w Kanadzie, których nie uznawano jeszcze w Anglji; amerykanie zaś zrazili kanadyjczyków protestem przeciwko temu aktowi, którego nieszczere pobudki były dla nich jasne. Z drugiej strony ta droga wodna przedstawiała linję graniczną pomiędzy kolonjami Nowej Anglji a południowemi, linję, której opanowanie rozdzieliłoby kolonję i uniemożliwiło akcję wspólną oraz dostarczenie żywności z południa na północ.

Kluczem obronnym do tej linji była forteca Ticonderoga na jeziorze Champlaine. Jako pograniczna pomiędzy posiadłościami francuskiemi i angielskiemi oraz terytorjami indyjskiemi była ona z wielkim kosztem wzniesiona przez anglików. Fortecą tą owładnął bez strzału Eton Allen na czele kilkudziesięciu ochotników z Vermontu, t. zw. „green mountain boys" w nocy z 9 na 10-go maja, t. j. tego samego dnia, w którym zebrać się miał trzeci Kongres Lądowy. Zażądał on jej poddania się w imię „Wszechmocnego Boga i Kongresu Lądowego", a wziąwszy do niewoli całą załogę owładnął i sporymi zapasami broni i amunicji, oraz działami, które wkrótce użyto przy oblężeniu Bostonu. 12-go zaś bez wylewu krwi owładnął Crown-Pointem.

Tymczasem sztab główny armji brytańskiej składającej się obecnie prócz Gage'a z generałów Howe, Clinton i Bourgoyne, którzy przybyli z nowymi posiłkami, dostrzegł szybko niebezpieczeństwo, jakiem by zagrażało ich sytuacji ufortyfikowanie przez powstańców szeregu wzgórz. Postanowił więc panujące nad Bostonem zająć. 18-go czerwca miało to nastąpić w stosunku do wzgórza Dorchester. Znowuż patrjoci zostali w czas zawiadomieni i 16-go o 6-j wieczorem oddział złożony z 1000 ludzi i kilku armat pod dowództwem pułkownika Preston'a udał się cicho z Cambridge na półwysep Charlestown'u. Przez całą noc sypano szańce w takiej ciszy, że chociaż pracujący słyszeli okrzyki szyldwachów angielskich stojących na okrętach w Charles River, anglicy nic nie wiedzieli o ich robocie. Dopiero o świcie zauważono z fregat angielskich jakby cudem urosłą przez noc redutę na 6 stóp wysoką. Kapitan fregaty rozpoczął ostry ogień na nieskończone roboty, po za których okryciem amerykanie pracowali jednak dalej. Strzały armatnie rozbudziły cały Boston; tłumy ludzi zaległy dachy domów i wieże kościelne, przyglądając się kanonadzie. Rada wojenna angielska postanowiła natychmiast atakować szańce. O 3-j po południu wylądowały siły angielskie w liczbie 2500 z 12 armatami i rzuciły się do szturmu. Amerykanie mieli rozkaz nie strzelać dopóki nie dostrzegą „białka w oku nieprzyjaciół". Śmiertelna salwa spotkała pierwszy atak anglików, zmuszając ich do pośpiesznego cofnięcia się. Powtarzało się to kilkakrotnie, aż wreszcie brak nabojów osłabił ogień amerykanów, którzy po zaciętym ręcznym boju ustąpili przewadze sił, zostawiając 450 trupów i rannych. Anglicy stracili przeszło 1000 osób.

Była to pierwsza poważna bitwa w wojnie o niepodległość. Milicja amerykańska wykazała w niej wytrwałość i odwagę, która podniosła w ogromnym stopniu ducha obrońców wolności i dała wiele do myślenia zwolennikom tronu, czyli *torysom.*

Amerykanie mieli nadzieję, że Kanada przyłączy się do ich walki przeciwko metropolji. Wyprawę do tego kraju przez jezioro Champlain polecono Schuylerowi i Montgomery'emu. Schuyler nie należał do odważnych dowódzców i początkowo stał na przeszkodzie wszelkim energiczniejszym przedsięwzięciom, ale wreszcie wpadł na szczęśliwą myśl zachorowania i powrócił do Ticonderogi. Uwolniony z pod jego dowództwa Montgomery owładnął natychmiast fortem St. John, przed którym cofnął się był Schuyler, następnie śmiałym ruchem opanował Montreal i po niezwykle uciążliwej wyprawie wśród puszczy i chłodów dotarł do Quebec, który obległ, a otrzymawszy posiłki przyprowadzone przez Arnolda, postanowił zrobić atak. Wśród strasznej zawiei w noc grudniową (31-go) po ślizkich ścieżkach dotarli do baterji angielskich. Ale anglicy byli ostrzeżeni przez torysów i grad kartaczy spotkał kolumnę amerykańską, zabijając na miejscu odważnego dowódzcę, podczas gdy Arnold z przeciwnej strony wtargnął do miasta i tu został raniony, oddział zaś pod dowództwem Morgana otoczony i wzięty.

Główna armja kolonistów licząca kilkanaście tysięcy zostawała nieczynną w okolicach Bostonu. Czekano na odpowiedź króla, która przyszła wreszcie: Jerzy III nie chciał wiedzieć o żadnych kongresach; żądał przedewszystkiem, aby rozpuszczono wojsko i poddano się bezwarunkowo, a następnie sprawy miały być ułożone z każdą kolonją z osobna. Howe za-

stąpił w dowództwie Gage'a. W lutym armja kolonjalna urosła do 14000 i na początku wiosny Washington czuł się dosyć silnym, aby sprobować szturmu. Wszakże rada wojenna odrzuciła ten projekt. 4-go marca wszakże wysłał Washington oddział, który w największej ciszy rozpoczął fortyfikację wzgórza Dorchester. Gdy Howe z rana spostrzegł baterje zagrażające miastu, postanowił je wziąść zanim będą ukończone. Lecz burza wszczęła się i cały dzień port był nie do przebycia: nazajutrz zaś fortyfikacje były już ukończone i niepodobna było myśleć o ich wzięciu. Anglicy zmuszeni byli opuścić Boston (17 marca). Tryumf ten wywołał entuzjazm we wszystkich kolonjach a kongres kazał wybić złoty medal dla Washingtona na pamiątkę „pierwszej ucieczki nieprzyjaciela".

Wzmocniwszy fortyfikacje Bostonu, Washington z główną armją udał się do New Yorku. Przed n m jeszcze przybył tu Karol Lee w czas, aby nie dopuścić zajęcia miasta przez przybywającego z flotą Clintona. Flota ta odpłynęła, a połączywszy się z drugą Parkera, udała się na południe w nadziei wziąść Charleston w Karolinie południowej. Lecz i tu spotkał nieprzyjaciół Lee, który lądem przybył i powołał miejscowe siły do obrony. Po niepomyślnym szturmie anglicy cofnęli się i około połowy lipca wszystkie siły brytańskie, liczące do 30000 tysięcy, zgromadziły się w okolicy Nowego Yorku: była tu i armja Howe'a, która z Bostonu odpłynęła była do Halifax w Kanadzie; i hessowie, świeżo przybyli na flocie brata jego admirała Howe'a, wynajęci od niemieckich książąt w liczbie 16000 (po 36 dolarów za głowę) i Clinton powracający z Charleston'u.

Nie nadługo przedtem — 4-go lipca — kongres

przyjął był ułożoną przez komitet utworzony na propozycję Richarda Lee Wirginijczyka Deklarację Niepodległości. Ułożył ją Jefferson, którego ręką napisany bruljon, z poprawkami Franklina, można oglądać dziś jeszcze w bibliotece ministerjum spraw zagranicznych w Washingtonie, gdzie także przechowywa się w stalowej skrzynce odpis na czysto z podpisami wszystkich członków kongresu. Deklaracja ta zaczyna się od od sformułowania zasad stanowiących wyniki filozofji politycznej XVIII w. Że wszyscy ludzie rodzą się wolni; że wszyscy mają naturalne prawa do wolności i do dążenia do szczęścia; że rządy ludzkie ustanowione są jedynie w celu zabezpieczenia pomyślności ludów; że lud ma naturalne prawo do zmiany rządu, skoro tylko rząd ten staje się burzycielem wolności. Dalej wyliczają się krzywdy tego rodzaju popełnione przez Jerzego III i połączone kolonje amerykańskie ogłaszają się jako „państwa wolne i niezależne".

Lord Howe, który miał upoważnienie do ofiarowania łaski królewskiej buntownikom gdyby złożyli broń, spóźnił się ze swemi propozycjami zastając niezależne państwa Ameryki. Po niefortunnej próbie pertraktacji, anglicy wylądowali 22 sierpnia a 27 wygrali na amerykanach walną bitwę na Long Island. Mogła była się ona skończyć zupełnem zniszczeniem ich armji, gdyby nie ociężałość Howe'a, który stracił cały następny dzień. W nocy 28-go Washington przeprawił cichaczem całe wojsko przez cieśninę zw. East River. O świcie, gdy ostatnie czółna odpływały, anglicy spostrzegli ruch i rzucili się do obozu amerykańskiego, ale zastali tylko kilka porzuconych dział. Washington, widząc, iż nie będzie w stanie obronić miasta, zajął wzgórza Harlemskie na północy

od New Yorku (dziś w jego środku prawie). 16 października Howe, chcąc go otoczyć, wylądował w Westchester na północnym wschodzie Harlem; Washington dostrzegłszy ten ruch, wyszedł na spotkanie nieprzyjaciela a po bitwie stoczonej w White Plaines, cofnął się na północ ku North Castle, skąd przeprawiwszy się przez Hudson udał się do Fort Lee. Tymczasem anglicy wzięli przeciwległy fort Washington i w liczbie 6000 przeprawili się przez Hudson maszerując przeciwko fortowi Lee. Widząc bezcelowość dalszych utarczek a chcąc osłonić Filadelfję, Washington szybkim marszem przez Newark, Elizabethtown, New Brunswick i Princeton udał się do Trenton nad Delawarem ścigany przez armję Cornwallisa, niekiedy tak blisko, że ariergarda amerykańska słyszała nieraz muzykę awangardy angielskiej.

8-go grudnia Washington, którego armja stopniała do 3000 przeprawił się przez Delaware i zniszczył na przestrzeni 80 mil wszystkie czółna i środki przeprawy. Ścigający go anglicy postanowili czekać na zamarznięcie rzeki, które niebawem miało nastąpić Tymczasem kongres, przestraszony bliskością wroga, przeniósł się do Baltimore. Washington skorzystał z rozrzuconych sił nieprzyjaciela i zebrawszy nieco posiłków wśród ochotników z Filadelfji i z okolic przeprawił się w nocy 25 grudnia przez pokryty już gęstą krą Delaware do Trenton i uderzywszy niespodziewanie na śpiących jeszcze po dniu spędzonym w zabawach i pijatyce hessów, wziął do niewoli 1000 i powrócił za Deleware za nim siły większe angielskie podążyły na pomoc. Ten niespodziewany cios zadany w chwili, gdy anglicy uważali już wojnę za ukończoną, a Cornwallis zabierał się do wyjazdu oddawszy komendę nad wojskiem Grantowi, podniósł

niezwykle ducha armji i całej ludności amerykański i zmusił Cornwalis'a do odłożenia wyjazdu.

W trzy dni po tem zwycięztwie Washington przeprawił się powtórnie przez Delaware i zajął Trenton z 5000 armją. Cornwallis wystąpił przeciwko niemu ze znacznie przewyższającą siłą. Przez cały dzień pierwszego stycznia odbywały się potyczki, aż ku wieczorowi Washington wyparty z miasteczka zajął mocną pozycję na południe od rzeczułki Assonpink Creek. Położenie jego było wysoce krytyczne i przeprawa przez Delaware pod okiem nieprzyjaciela była niebezpieczna, porażka w bitwie groziła zagładą ostateczną, wszelkie zaś cofanie się — strata korzyści ostatniego zwycięstwa. Z tej sytuacji krytycznej wywiązał się Washington jednym z tych ruchów niespodziewenych i śmiałych w największej tajemnicy i ciszy wykonanych, które stanowiły całą siłę jego strategji: zamiast czekać na przeważnego nieprzyjaciela, w nocy 2 stycznia wyruszył on z obozu zostawiając w nim szyldwachów dla czuwania nad ogniskami, które złudziły anglików i, obchodząc oddział Cornwalissa szybkim ruchem flankowym, uderzył na Princeton w chwili, gdy stamtąd występował oddział posiłkowy anglików dla wzmocnienia Cornwallissa. rozbił ten oddział i cofnął się przed zbliżającym się Cornwallisem ku Morristown, gdzie zatrzymał się na zimowe leże. Zachęcona temi dwoma zwycięztwami milicja z New Jersey zbiegać się zaczęła do obozu i wkrótce cały ten stan został oczyszczony z wojsk nieprzyjacielskich.

Do końca maja zostawał Washington w Morristown. W ciągu następnych miesięcy nic nie zaszło godnego uwagi w tej dzielnicy. Główna walka toczyła się na północy koło jeziora Champlain pomię-

dzy Gates'em, który objął komendę po niedołężnym Schuylerze nad niedobitkami armji kanadyjskiej i szybko gromadzącymi się nowymi oddziałami, a Bourgoyne'm, który na czele dziesięciotysięcznej armji wyruszył z Kanady, aby rozbiwszy amerykanów, połączyć się z Howe'm w Nowym Yorku.

Tymczasem flota angielska wyruszyła z Nowego Yorku. Kongres i armja amerykańska przez długi czas byli w niepewności co do jej przeznaczenia, aż ukazanie się jej w zatoce Chesapeak przekonało niewątpliwie, że akcja wojenna ma się rozwinąć w okolicach Filadelfji. Jest to chwila, od której rozpoczyna się nasze opowiadanie.

ROZDZIAŁ I.

Goście z Europy.

Około połowy sierpnia r. 1777 dwóch jeźdzców posuwało się zwolna po drodze prowadzącej z Bostonu do Filadelfji. Poranek był pogodny; czas zbliżał się ku południowi. Konie, które od świtu już były w robocie, znużone, stąpały wolno po nierównej drodze, dając jeźdzcom możność prowadzenia gawędy. Toczyła się ona w najczystszej polszczyźnie, jaką tylko mówiono w owym czasie.

Tak, mój Rogosiu, mówił jeden z nich, młodzieniec mający zaledwie lat trzydzieści parę, o szlachetnej, dumnej postawie, obfitych czarnych włosach i niewielkich wąsikach podkręconych ku górze; zgoła inny to kraj niż te wszystkie, któreśmy dotąd oglądali. Nie próżno duch wolności tę ziemię obrał, aby tu uwić sobie gniazdo i pierwszą walkę stoczyć z tyranią. Lud tu hardy; głowy chylić nie umie i nie chce przed swoim panem; cóż dziwnego, że dla cudzoziemca respektu nie ma?

Towarzysz jego nieco młodszy i widocznie z wielkim szacunkiem traktujący pierwszego, potrząsnął głową z pewną niechęcią.

Gdy pan Kazimierz dla kogo predylekcję poweźmie, to same tylko perfekcje w nim dostrzega, odrzekł

po chwili. Nie chcę nic złego mówić o amerykanach, boć piękną to jest rzeczą bronić wolności swojej. Ale czyż to widziane, żeby chłop nie poznał odrazu szlachcica po minie i nie okazał mu należytej konsyderacji?

Prawda to, że człek zasług rycerskich ma prawo do konsyderacji. Ale chłopów tu nie ma. Widzisz wszak, że wszyscy są wolni, panami siebie i obywatelami kraju, a nie tylko niewoli, ale i biedy jak u nas nie widać: wszyscy są dostatni. Więc i hardym się człek staje. Bodaj to u nas tak było! Nie siedziałby wtedy Ciołek na tronie i nie plądrowaliby kraju obce przybysze.

Pan Maciej Rogowski, tak bowiem nazywał się młodszy z towarzyszy, z trudnością przechylał się ku tym pojęciom, które chciwie wchłaniał jego towarzysz. Wychowany w szkołach jezuickich dobrze pamiętał dystynkcją stanów, którą mu wpajano razem z regułami gramatyki łacińskiej według Alwara za pomocą boćkowskiego narzędzia. Jakkolwiek szanował amerykanów za to, że przeciwko tyranji powstali, nie mógł się na to zgodzić, że nie tylko spotykając na drodze tak dostojnych przedstawicieli szlachty polskiej, nie raczyli przed nimi czapki uchylić, lecz nawet zagadnięci odpowiadali niechętnie, najczęściej jakiemiś niezrozumiałemi drwinami, dając do zrozumienia, że nie chcą tracić czasu z przybyszami, którzy zaledwie z trudnością mogli parę zdań w ich ojczystym języku wypowiedzieć.

Napróżno pan Rogowski przypominał sobie szkolną łacinę i popisywał się cyceronowskiemi zdaniami; ci, których w ten sposób zagadnął, potrząsali głowami na znak, że go nie rozumieli. A gdy pan Kazimierz Pułaski — on to był bowiem owym starszym

z towarzyszy podróży — wydobywał z pamięci kilka zdań angielskich starannie wyuczonych w czasie długiej podróży przez ocean, nikt go również zrozumieć nie mógł z powodu tego, że wymawiał je według pisowni, nie mając pojęcia o właściwem brzmieniu.

Z trudnością więc tylko dopomagając sobie kosmopolityczną mową na migi dopytywali się o drogę i porozumiewali się co do pożywienia i noclegu na popasach. Już ze dwa tygodnie jak byli w drodze z Bostonu a mieli jeszcze jej na tydzień co najmniej do Filadelfji, gdyż upały były wielkie i wymagały wypoczynku. Dyskusja nieśmiało prowadzona ze strony p. Macieja rychło się urwała i obaj jeźdzcy posuwali się w milczeniu, ulegając znużeniu długiej jazdy, gdy oto na zakręcie drogi ukazała się oberża zajmująca szczyt niewielkiego wzgórza.

Konie ruszyły lekkim truchtem przeczuwając popas, a i podróżnym przybyło humoru na myśl o posiłku i wypoczynku. Po upływie pół godziny, podróżni nasi byli ulokowani wygodnie, jak to tylko było możliwe w skromnej oberży przydrożnej, i spożywali niewybredny posiłek, za który musieli niesłychanie drogo zapłacić.

Zaledwie ukończyli tę czynność i zabierali się do parogodzinnej drzemki, aby przeczekać upał dzienny i dać koniom wypocząć, gdy dały się słyszeć stąpania kilku koni po kamienistej drodze, zbliżające się ku karczmie.

— Czy to nie jaki podjazd angielski, mruknął pan Kazimierz i zbliżył się do okna, aby obserwować jeźdców, którzy w tej chwili właśnie wysunęli się z zakrętu drogi i ukazali się naprzeciwko okien karczmy.

Składał się on z trzech mężczyzn; jeden z nich

nosił mundur oficera amerykańskiej armji: niebieski surdut z gliniastymi wyłogami i gliniastego koloru kamizelką. Dwaj inni zaś ubrani byli po cywilnemu według mody ówczesnej. W środku jechał wysoki i szczupły jegomość, w nieco wytartym lecz pretensjonalnym jeszcze stroju francuzkim, w peruce upudrowanej, w kapeluszu trójkątowym zamaszyście rzuconym na bakier. Twarz jego szczupła i ruchliwa zdradzała średni wiek, a wszystkie ruchy pewną pretensjonalność. Opowiadał coś z wielkiem ożywieniem wywijając rękami, a cała postać jego brała czynny udział w tej opowieści Obok niego zlewa jechał młody człowiek o otwartej twarzy, wdzięcznych i subtelnych rysach; obfite czarne włosy jego zebrane były w warkocz obwiązany czarną wstążką i posypane pudrem. Z prawej strony starszego jegomości jechał ów oficer amerykański i zachowywał on milczenie, słuchając z uśmiechem opowiadania swego sąsiada.

Rogowski, który zbliżył się był do okna wślad za panem Kazimierzem, przyglądał się w milczeniu przez jego ramię tej kalwakadzie.

— Jak mi Bóg miły! zawołał nagle po upływie kilku minut obserwacji; toż to nasz gaskończyk, pan Giraud!

— Byłbym przysiągł, że to on, odrzekł pan Kazimierz, gdybym nie był pewien, że w tej chwili płynie z powrotem do Europy.

— Tak to on niezawodnie, a i hr. Monfort z nim jedzie; nie wiem tylko, kto jest ten trzeci.

Przybywający zbliżyli się już o tyle, że rysy ich można było dokładnie rozpoznać i podróżni nasi mogli stwierdzić, że trzeci jeździec nie był im znany.

— Zapewne jadą do obozu rzekł p. Kazimierz, będziemy mogli do nich się przyłączyć, raźniej nam

będzie; może też i drogę lepiej znają lub mają za przewodnika tego trzeciego, chociaż nie wygląda na amerykanina.

Niebawem kalwakada stanęła u bramy oberży, a podróżni oddali konie na opiekę stajennego i weszli do wnętrza. Niespodziane spotkanie wywołało okrzyki zdziwienia ze strony przybyłych.

— *Tiens, tiens! nos polonais*, zawołał p. Giraud najstarszy z nowoprzybyłych. *Et bien comment ca va-t-il Monsieur le comte?* rzekł zbliżając się żywo do Pułaskiego i ściskając mu rękę. Następnie zwracając się do towarzysza swego w mundurze amerykańskim, podczas gdy hr. Monfort witał p. Kazimierza Pułaskiego i Rogowskiego, zawołał do niego prezentując:

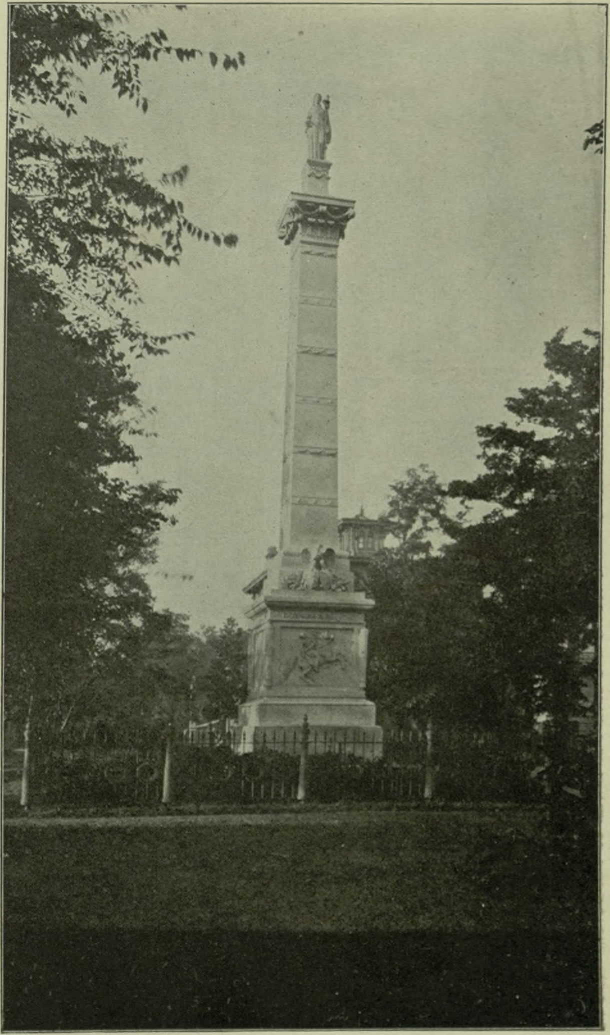
— *Monsieur le comte Pulaski, le celebre confedere polonais; Monsieur le comte Kotkowski;* następnie zwracając się do Pułaskiego: *Monsieur Gimat, aide de camp de M. Lafayette.*

— Bardzo rad jestem pana poznać, odrzekł Pułaski po francusku podając Gimatowi rękę. Właśnie wiozę do p. Lafayette listy od jego żony i od p de Noville.

— O, ucieszy się niezmiernie panu, odrzekł mu Gimat; tęskni bardzo za żoną, którą opuścił w krótkim czasie po ślubie, i niespokojny jest, bo właśnie zbliża się czas rozwiązania, a nie miał dotąd żadnych od niej wiadomości.

— Czy panowie jedziecie do obozu? Gdzie teraz stoi Waszyngton? Jak daleko ztąd? pytał się Pułaski.

Niezbyt daleko, odrzekł Gimat; spoczywamy już od paru tygodni nad rzeczułką Neshamini. Flota angielska wyruszyła już przed paru miesiącami



POMNIK K. PUŁASKIEGO W SAVANNAH, GA.

z Nowego Yorku, ale nic nie wiemy o jej zamiarach. Gdyby miała ruszyć ku Filadelfji, powinna byłaby ukazać się już w zatoce Chesapeak. Dotąd wszakże nigdzie jej nie dostrzeżono. Główny dowódzca twierdzi, że wyruszyła na północ i miał zamiar posunąć się w tym kierunku, lecz na żądanie Kongresu wstrzymał się jeszcze przez jakiś czas, póki nie wyjaśni się sprawa. Oto właśnie ci panowie przybywają z Bostonu, dodał, wskazując na towarzyszy swoich, i zapewniają, że nic tam nie było słychać o flocie angielskiej.

— Tak jest, odrzekł Pułaski, jedziemy również z Bostonu, bo przybyliśmy na „Belle Louise” z tymi panami. Nic tam nie było słychać podobnego. Ale jakżeście się spotkali z panem Gimat? zwrócił się do p. Giraud. Myślałem, że pan już jest na oceanie w drodze do Europy i nie mało byłem zdziwiony spotykając go w tem miejscu.

— O to cała historja i bardzo romantyczna, zaczął Giraud. Lecz Monfort przerwał mu.

— Wcale nie romantyczna i bardzo prosta. Pan Gimat towarzyszył pewnemu oficerowi amerykańskiemu, który wysłany był do Easton w sprawach furażu dla armji. Tam spotkaliśmy się przygodnie w oberzy podobnie jak z panami i p. Gimat był tak uprzejmy, iż podjął się towarzyszyć nam do obozu po załatwieniu interesów.

— A pański zamiar powrotu do Europy? zapytał Pułaski zwracając się do Girauda; lecz natychmiast zauważył, że pytanie to nie było zbyt miłem dla niego.

— Zmieniłem go, odpowiedział, postanowiłem zobaczyć się z Waszyngtonem i przyjrzeć się armji zanim coś postanowię.

— Zapachniały mu amerykańskie dolary, jak

dawniej moskiewskie ruble, mruknął po polsku Rogowski.

— Byłem bardzo zniechęcony pierwszem przyjęciem, jakiego doznaliśmy od amerykanów, mówił dalej Giraud, zwracając się do Gimata, do tego stopnia, iż chciałem wracać natychmiast; lecz rozmyśliwszy się postanowiłem przyjrzeć się im bliżej.

- Miałeś pan słuszność, odrzekł Gimat; amerykanie wiele wygrywają na bliższem poznaniu. Nie są tak gładcy w obejściu jak francuzi lub polacy i pierwsze wrażenie bywa dlatego raczej na ich niekorzyść. Pan Lafayette mógłby wiele panom powiedzieć w tym przedmiocie, lecz wolę zamilczeć o tem teraz, póki panowie sami ich bliżej nie poznacie, bo przy bliższem poznaniu zmienicie opinję niezawodnie.

Tymczasem zbliżyła się do mówiących gosposia oświadczając, że obiad podany. Była to mała i szczupła brunetka, czyściutko ubrana, z przyjemnym uśmiechem na twarzy i uprzejma w obejściu. Właściciele karczmy byli kwakrami, których bardzo wiele było w Jersey i Pensylwanji. Nie byli więc przychylni wojnie o niepodległość, gdyż wszelką wojnę uważali za złe. Nie mniej wszakże wypadało być politycznym dla oficerów amerykańskich, gdyż cała ta część kraju była jeszcze w ich władzy. Przytem miny wojownicze, rzeźbione rysy i tradycyjna galanterja polaków i francuzów robiły wogóle dobre wrażenie na kobiety amerykańskie.

Podróżni zasiedli do uczty zapraszając i polaków, którzy, chociaż niedawno po posiłku, nie mogli odmówić im tego, i jak się pokazało według przysłowia, że apetyt przybywa w czasie jedzenia, spisywali się nie gorzej od francuzów. Ożywiona rozmowa prze-

ciągnęła się parę godzin. P. Giraud opowiadał wiele o swoich niezwykłych przygodach, o czynach walecznych jakie był dokonał. Ale gdy przyszedł z kolei do opisywania burzy na morzu, którą w drodze przebyli i zaczął chwalić się dumnym spokojem, z jakim spoglądał na bałwany miotające niewielkim statkiem, p. Monfort zrobił złośliwą uwagę:

— Musiał p. Giraud bardzo cierpieć także i na chorobę morską, bo widziałem, że był bardzo blady i nie opuszczał łóżka.

Nie zmieszało to bynajmniej gaskończyka.

— O tak, odrzekł, miewałem czasem migrenę z tego kołysania i wtedy musiałem odleżeć swoje parę godzin.

Słońce było już dosyć nisko i orzeźwiający wietrzyk zaczynał rozpędzać nawisły nad ziemią żar południa, gdy cała kalwakada wyruszyła w dalszą drogę.

Korzystając w ten sposób przeważnie z wieczornych godzin i wczesnych ranków, przybyli nasi podróżni w kilka dni do obozu amerykańskiego.

ROZDZIAŁ II.

Obóz w Neshamini.

Było to ku wieczorowi 21 sierpnia. Słońce chyliło się ku zachodowi, oświecając skośnemi promieniami niezwykły widok, który odsłonił się oczom naszych znajomych, gdy wyjechali na wzgórze, z którego droga lekką spadzistością prowadziła do doliny rzeczułki Neshamini.

Rzeczułka ta przecinała w tem miejscu w po-

przek tak zwaną starą drogę z Filadelfji do Yorku i płynęła wężową linią wśród zieleni pól.

Obóz Waszyngtona przeniesiony tu został dopiero przed kilku dniami. Już bowiem przez dłuższy czas, nie otrzymując żadnych wiadomości o ukazaniu się floty angielskiej w zatoce Chesapeak, zrobił był jeden marsz ku północy. Lecz cofnąwszy się ztamtąd postanowił czekać na pewniejsze wiadomości, gdyż Kongres nie bez słuszności posądzał dowódców angielskich o zamiar zawładnięcia Filadelfją, która była siedzibą owej reprezentacji 13-tu niepodległych kolonji. - Od dziesięciu dni już cała armia spoczywała w obozie u rzeczułki Neshamini. Zarówno droga jak i brzegi rzeczułki okolone były gęstym lasem; tylko niewielka dolina ciągnąca się wzdłuż rzeki o pochyłościach nieznacznych stanowiła zieloną łąkę usianą gdzieniegdzie kępami drzew i krzewów. Dolina ta przedstawiała jakby miasto utworzone z kilku tysięcy zielonych szałasów, splecionych z gałęzi, a rozmieszczonych tak regularnie, że pomiędzy ich rzędami snuły się długie ulice. Te czasowe przytuliska zastępowały amerykanom namioty, których bardzo mało posiadała ich armja.

Kilkanaście tysięcy żołnierzy stanowiło ludność tego zielonego miasta. Rozmieszczeni byli w tej chwili gromadkami dokoła ognisk palących się koło każdego szałasu. Jedni z nich zajęci byli gotowaniem wieczerzy, inni przynosili wiązanki suchego drzewa do ognisk nocnych, inni znów czyścili broń lub leżeli na powietrzu zawinięci w kołdry, które dla wielu stanowiły jedyne odzienie.

Nie wielka część była odziana w mundury. Większość miała na sobie szare długie, myśliwskie koszule wełniane, jakie były wówczas w pospolitem użyciu

w Wirginji, podpasane skórzanym pasem z przerzuconą przez ramię ładownicą; różnorodne karabiny o krzemiennym zamku stanowiły ich broń. Niektórzy mieli na nogach długie buty myśliwskie i skórzane spodnie; inni obuci byli w trzewiki i skórzane kamasze. Znaczna część wszakże chodziła boso. Wielu nie miało na sobie nic prócz bielizny; inni okrywali nagość swoją kołdrami, noszonemi na sposób indyjski.

— Być że to ma owa armja powstańcza? rzekł z cicha Rogowski do Pułaskiego po polsku. Więcej mi to wygląda na hołotę i tałałajstwo spędzone do kupy niż na wojennych ludzi. Nawet na buty się nie zdobyli!

— Butów nie mają, odrzekł Pułaski, i wyglądają jak obdartusy ale serca mają szlacheckie i animusz republikański, a z takiemi rzeczami można zajść daleko i bosą nogą.

Pocieszając w ten sposób towarzysza swego, nie mógł wszakże Pułaski ukryć wyrazu rozczarowania i przygnębienia, jakie sprawił na nim widok tego obozu. Był on przyzwyczajony do widoku najrozmaitszej ruchawki i miał był pod komendą swoją w Polsce nie zbyt regularne zastępy konfederatów. Ale nigdy nie spodziewał się widoku tak okropnej nędzy w wojsku broniącem niepodległości kraju.

Na francuzów widok obozu, przez który właśnie teraz przesuwała się zwolna kalwakada, zrobił nie mniej przygnębiające wrażenie, połączone ze zdziwieniem. Nie domyślał się z nich żaden, że za piętnaście lat podobneż bandy obdartusów bosonogich odeprą najazd skoalizowanych mocarstw Europy od granic Francji i rozniosą zasady republikańskie razem

ze sławą oręża francuskiego po całym lądzie europejskim.

Tymczasem gromadka jeźdźców, przebywszy długie szeregi szałasów nawpół w ziemi wykopanych, nawpół z góry gałęźmi okrytych, zbliżała się ku wzgórzu, na którem widać było kilka zabudowań. Na samym szczycie wznosił się ładny murowany dom, prawie zupełnie nowy. Było to mieszkanie właściciela gruntów, w tej chwili nieobecnego. Mieściła się tu chwilowo główna kwatera armji, mieszkanie głównego dowódcy i miejsce narad wojennych głównego sztabu Tuż obok mieścili się w kilku oficynach jego adjutanci, a nieco opodal w namiotach gwardja przyboczna złożona z kilkudziesięciu ludzi.

Nowo przybyli zsiedli z koni. Oddawszy dwóch francuzów pod opiekę jednego z ich współrodaków, którego spotkali po drodze, Gimat udał się z dwóma polakami do oficyny, zajętej przez Lafayetta.

Młody generał, który dopiero przed trzema tygodniami przyjęty został w tej randze do służby amerykańskiej, dziś właśnie był poraz pierwszy na radzie wojennej, zwołanej przez Waszyngtona, aby coś postanowić o dalszych ruchach armji. Był więc pod świeżem wrażeniem tego pierwszego znalezienia się swego w gronie poważniejszych wiekiem i starszych urzędem dowódców armji; przepełniony tem zadowoleniem, jakie w duszach płomiennych i ambitnych wywołuje spełnienie się wymarzonych zamiarów.

Mierzył właśnie nerwowym krokiem kilkunastostopową przestrzeń swego mieszkania, nucąc wesołą piosnkę francuzką, gdy podróżni zapukali do jego drzwi. Gimat przedstawił nowo przybyłych, a Pułaski wręczył mu natychmiast listy pani Lafayette i markiza de Noavilles, młodego zapaleńca i rówienni-

ka Lafayetta, który na równi z nim marzył o podróży do Ameryki i o walce za wolność na tej nowej ziemi. lecz wstrzymany został przez surowy zakaz ministra de Vergennes, w odpowiedzi na prośbę o ułatwienie mu tego przedsiewzięcia i o uzyskanie pozwolenia od króla. Stryj jego był wówczas posłem francuzkim w Anglji i „wybryk" jego synowca, jak go nazwał w liście do niego, kompromitował by zdaniem tych oględnych dyplomatów dobre stosunki Francji z Anglją, które za rok mieli sami doprowadzić do jawnej nieprzyjaźni.

Lafayette, chociaż za młody był w tym czasie, gdy gazety europejskie pełne były czynów bohaterskich Pułaskiego w Polsce, i nie czytał w Gazecie Lejdejskiej jego protestu przeciwko oskarżeniu o zamach królobójczy, słyszał był jednak o Pułaskim od oficerów francuzkich, którzy brali udział w Konfederacji Barskiej. Przyjął więc go z wielką uprzejmością i licznymi komplementami.

Ulokowawszy gości swoich i przeprosiwszy za niecierpliwość zaczął Lafayette czytać listy. Gimat tymczasem wysunął się, aby kazać przygotować mieszkanie dla nowo przybyłych.

Lafayette po przeczytaniu listów podwoił uprzejmość dla polskich gości; zasypał Pułaskiego pytaniami o żonie, o Paryżu i o wspólnych znajomych. Zadość uczyniwszy ciekawości swojej i potrzebom serca, zwrócił się ku przedmiotowi, który stanowił główną troskę nowo przybyłych.

—Przepraszam Pana za niecierpliwość z jaką wypytywałem pana o drogich dla mnie osobach i Francji ukochanej, zapominając o tem, co pana tu sprowadza, rzekł po chwili namysłu. Niech mnie wytłumaczy. tęsknota za krajem i szczupłość wieści jakie

tu przychodzą. Ale teraz powinniśmy się zająć pańską sprawą. Nie mogę ukryć przed panem, że przyjęcie cudzoziemca do wojska amerykańskiego napotyka na ogromne trudności.

— Wiem coś o tem, odrzekł Pułaski. Spotkaliśmy w Bostonie licznych oficerów europejskich, a wśród nich wielu francuzów, których usługi ofiarowane dobrowolnie zostały odrzucone przez kongres. Pełni goryczy gotują się do powrotu i obawiam się, aby nie szkodzili sprawie amerykańskiej w opinji Europy. Mamy wszakże listy polecające pp. Franklina i Dean'a pełnomocników amerykańskich w Paryżu, a przytem mam nadzieję, że trochę doświadczenia wojennego, które nabyłem w swoim kraju i w Turcji może być użytecznem w tej walce.

— Nie ma wątpliwości, że imię pańskie utorowałoby mu łatwo drogę do zaszczytnego stanowiska w każdej armji europejskiej, lecz tu mało wiedzą o tem, co się dzieje w Europie po za Anglją, a jeszcze mniej się tem interesują. Co zaś do poleceń Deane'a, to nie dają one zupełnej pewności przyjęcia. Niedawno kongres złamał formalną umowę zawartą przez swego pełnomocnika z całą gromadą oficerów francuzkich i wypowiedział mu naganę za przekroczenie pełnomocnictw swoich przez jej zawarcie.

— Być że może, iżby amerykanie gardzili pomocą ludzi, którzy bezinteresownie ofiarowują im swoje życie w walce o wolność?

— Właśnie, że nie bezinteresownie. Takich jest przynajmniej bardzo niewielu. Niektórzy z przybywających tu oficerów, stawiali odrazu zbyt wygórowane wymagania rang i pensji. Pierwsze budziły niechęć miejscowych oficerów, którzy nieżyczliwym okiem widzieli promocją młodszych w służbie cudzo-

ziemców; drugie napotykało trudność w ubóstwie kasy związkowej; wymagania zaś nadmierne niektórych przybyszów, ich chełpliwość i pogardliwe traktowanie armji miejscowej, obrażały uczucia narodowe i miłość własną amerykanów. Złe postępowanie niewielu uprzedziło nieżyczliwie względem wszystkich. Sam doznałem takiego przyjęcia, że nie chcę o nim panu opowiadać, dopóki pan bliżej nie pozna naszych przyjaciół. Bo i sam, poznawszy ich, umiem cenić i nie mam za złe przykrych chwil, jakie przebyłem w pierwszym czasie.

— Cóż pan nam poradzi uczynić? zapytał Pułaski, kręcąc wąsy z wyrazem oczywistego niezadowolenia i tłumiąc jakieś gorętsze słowa, które mu się cisnęły na usta.

— Przedewszystkiem muszę pana przedstawić Waszyngtonowi. Jego opinja najwięcej waży, a reputacja pańska upoważnia do nadziei, że będzie panu przychylna. Następnie napiszę zaraz do pana Lovella, jednego z członków kongresu, od którego wiele uprzejmości doznałem. Ta znajomość oszczędzi panu przykrych przejść, które sam przebyłem. Co zaś do towarzysza pańskiego, to radziłbym mu tymczasem wstąpić na ochotnika. Pierwsza okazja odznaczenia się da mu możność uzyskania szarży oficerskiej.

Nie odkładając sprawy na potem, Lafayette zbliżył się do stołu i napisał list następującej treści:

Główna kwatera 21 sierpnia 1777

„Szanowny Panie!

Oddawcą listu mego jest p. Kazimierz Pułaski, który uda się do wydziału waszego jako oficer cudzoziemski, proszący o pozwolenie walczenia za waszą wolność. Chociaż nie znałem go osobiście, odebra-

łem dokładne wieści o nim i uważam za właściwe zaznajomić Pana z niemi. Był on jednym z przedniejszych członków Konfederacji Polskiej, najwybitniejszym oficerem i najniebezpieczniejszym nieprzyjacielem tyranów w swoim kraju. Zdobył sobie wielką sławę odwagą i znajomością sztuki wojskowej oraz szlachetnem i pełnem zapału postępowaniem po rozbiorze nieszczęśliwej Polski.

Z wysokim uznaniem

Lafayette". *)

— A teraz, rzekł oddając do rąk Pułaskiemu list, chodźmy przedstawić się Waszyngtonowi. To mówiąc poprowadził gości swoich do siedziby wodza, i kazał zameldować, że dwóch cudzoziemców z listami od Franklina i Deane'a pragną przedstawić się głównemu dowódzcy.

ROZDZIAŁ III.

U Waszyngtona.

Podróżnych wprowadzono do dużej komnaty. Dom, w którym stał Waszyngton, należał do najbardziej elegancko urządzonych rezydencji wiejskich, według wymagań ówczesnych w północnych stanach. Wymagania te zresztą były bardzo skromne i więcej skierowane ku wygodzie niż ku zbytkowi i elegancji. Nie było tu ani licznych obrazów w złoconych ramach, ani rozmaitych fatałaszków, któremi zastawiano salony w Europie. Wszystko proste, nawet surowe, ale doskonale przystosowane do potrzeb i zwyczajów ludności.

*) Autentyczne.

Nie zdążyli nasi podróżni rozejrzeć się w tem urządzeniu, gdy wyszedł mężczyzna liczący około 45 lat, wysoki i barczysty o postawie wspaniałej, twarzy pełnej dobroci i głębokiej zadumy, o przenikającem wejrzeniu. Oczy jego głęboko osadzone, były duże i niebieskie; nos duży i szlachetnego kroju; usta zwarte z wyrazem stanowczości. W mundurze koloru niebieskiego z gliniastymi wyłogami; włosy miał starannie upudrowane i związane starannie w warkocz. W ruchach jego i sposobie mówienia panował jakiś niezwykły spokój, jakaś niezamącona równowaga połączona z uprzejmością dyskretną i nienarzucającą się a z wielką delikatnością i dobrocią raczej ukrytą niż widoczną. Był to Waszyngton. Lafayette przedstawił mu nowo przybyłych i służył im za tłómacza. Jakkolwiek bowiem Pan Kazimierz pracował był w czasie podróży nad angielszczyzną, nie śmiał się z nią popisywać przed tak wielkim mężem; Waszyngton zaś ani słowa nie umiał po francusku.

Przebiegłszy listy wręczone przez Pułaskiego i Rogowskiego, główny dowódzca bardzo uprzejmie przywitał obu. Następnie, zwracając się ku Pułaskiemu, rzekł:

— Muszę przyznać się do niewiadomości swojej o sprawach polskich, która była powodem, że samo imię pańskie nie objaśniło mię z kim mam zaszczyt mówić. My tu żyjemy tak daleko od Europy i tyle mamy własnych spraw na pieczy, że nie zbyt pilnie śledzimy za przewrotami, które odbywają się w bardziej odległych jej częściach. Z listów posłów naszych widzę wszakże, że panowie we własnym kraju walczyli już o sprawę podobną do naszej. Jest to zasługą, że niepowodzenia doznane i ofiary poniesione nie zraziły panów; że zostaliście wierni zasadom wol-

ności i gotowi walczyć przeciw tyranji na obcej ziemi. Zasługę tę kongres i naród amerykański ocenić potrafią.

— Naród nasz jest wrogiem tyranji we wszelkiej formie; pryncypalnie zaś tyranji cudzoziemskiej, odparł Pułaski. Gdziekolwiek więc biją się o wolność i niepodległość, jest to dla nas jakby nasza własna sprawa.

— Godzien pięknego losu naród, który takie zasady wyznaje, odrzekł Waszyngton. A chociaż na tak szczupłym teatrze wypadnie ci teraz panie stosować wysokie talenta militarne i odwagę, o których mi pisze p. Franklin, mam nadzieję, że i tu znajdziesz właściwe pole dla szlachetnej ambicji.

— Jestem republikaninem, generale, odrzekł Pułaski; jedyną moją ambicją jest walczyć o wolność i poledz za nią.

— Obyśmy takich więcej mieli, zawołał Waszyngton; nie wszyscy cudzoziemcy, którzy tu przybywają, są tak skromni w wymaganiach. Jakiż rodzaj broni obrałbyś dla siebie?

— My, polacy, mamy wrodzone upodobanie do konnicy a śmiem powiedzieć, że pierwszą w świecie zawsze mieliśmy kawalerję. Ja zaś osobiście prawie wyrosłem na koniu. Najmilszą by więc mi była jakaś komenda w tym rodzaju broni.

— Dobrze się to składa. Właśnie potrzebujemy kogoś, ktoby mógł objąć dowództwo ogólne nad kawalerją. Proponowano niedawno tę szarżę generałowi Reed; lecz on nie przyjął jej, nie czując się na siłach. Czy zechciałbyś przyjąć to dowództwo w randze generała brygady?

Pułaskiemu twarz zajaśniała i oczy zabłysnęły ogniem. Nie była to ani zbyt wysoka ranga ani tak

rozległe dowództwo w porównaniu z tem, czemu przywodził w kraju. Ale widok tylu oficerów wracających z niczem, narzekania na niechęć cudzoziemców, które słyszał dokoła, wreszcie przestrogi Lafayetta usposobiły go tak pesymistycznie, że ta propozycja tak niespodzianie uczyniona napełniła go odrazu wielką radością.

— Czy zgodzę się? ależ bardzo chętnie. Jednego tylko pragnę: abym zostawał w bezpośredniej zależności od ciebie tylko, generale, i nie miał innej komendy nad sobą.

— Nie wiem, o ile to będzie możliwe, odrzekł Waszyngton. Ostrzedz także muszę, że udzielenie szarży oficerskiej zależy wyłącznie od kongresu. Ja mogę tylko przedstawić kandydatów, lecz nie mogę zaręczyć, czy zostaną przyjęci. Kawalerja zaś nasza zaledwie zasługuje na tę nazwę: mamy tylko cztery pułki, a każdy liczy mniej od dwustu koni.

Pułaski znacznie ochłonął słysząc te uwagi. Bądź co bądź jednak liczył, że polecenie takiego wodza jak Waszyngton zapewni mu życzliwość kongresu. Tymczasem Waszyngton przeprosił gości, tłómacząc się potrzebą napisania listu do kongresu.

— Radzę panu pospieszyć z nim do Filadelfji, dodał, gdyż armja stosownie do decyzji dzisiejszej rady wojennej rychło wyruszy na północ. I pożegnawszy uprzejmie gości oddalił się.

W kwadrans po tem wszedł młody oficer. Przedstawił się grzecznie po francusku Pułaskiemu jako Hamilton, adjutant Waszyngtona i doręczył mu pismo głównego dowódzcy, adresowane do Hancock'a prezesa kongresu.

Lafayette zaprosił gości do siebie, gdzie przy kolacji, na jaką można było zdobyć się w obozie, upły-

nęło im mile parę godzin w ożywionej gawędzie. Po czem p Gimat zaprowadził ich do przygotowanego dla nich mieszkania.

ROZDZIAŁ IV.

Jeszcze Polak!

O rannym świcie uderzono w bębny i cały obóz w jednej chwili był na nogach. Podróżni nasi zerwali się na równi z innymi. Pułaski miał zamiar tegoż dnia wyruszyć do Filadelfji, aby przedstawić kongresowi swoją propozycję służby oraz listy polecające doręczone mu przez Waszyngtona i Lafayetta. Zaledwie zdążyli wyjść z kwatery, zapukano do ich drzwi i za chwilę wszedł młodzieniec o pięknym wzroście i urodzie, wyrazistych rysach twarzy, głębokiem spojrzeniu, a minie tak dziarskiej, że od pierwszego spojrzenia niepodobna było omylić się co do narodowości jego.

Młodzieniec, przywitawszy gospodarzy uprzejmym ukłonem, zwrócil się do Pułaskiego odpowiadając na jego zdumione spojrzenie:

— Polak jestem, Jan Zieliński; zasłyszałem wczoraj o przybyciu sławnego wodza konfederacji i przychodzę mu hołd złożyć i prosić, aby mię pod komendę swoją przyjął.

Podobała się Pułaskiemu śmiała postawa młodzieńca; za serce go wzięły proste słowa jego i to zaufanie, które w nim pokładał; więc uścisnął mu dłoń serdecznie po polsku i grzecznie przemówił do niego:

— Witam waćpana z radością na tej ziemi, gdzie wolność sobie ojczyznę zdobywa, a rad będę go mieć

w komendzie swojej, bo widzę, żeś waćpan człowiek szczery i determinacja ci z oczu wygląda. Ale powiedz mi waćpan, jakżeś się tu dostał?

— Byłem w szkołach u jezuitów w Kieleckiem, gdy rozpoczęła się walka narodowa w kraju naszym. Czyny Waszmości dochodziły do uszu młodzieży i budziły zapał powszechny. Wszyscy marzyliśmy o tem, aby iść do obozu pod komendę Waszą. Jakoż pewnego dnia wymknęło się nas sześciu. Poszliśmy cię szukać w Częstochowie. Niestety przybyliśmy po twoim odjeździe. Zaciągnęliśmy się mimo to i w pierwszej potyczce dostałem awans na oficera. Gdy konfederacja rozproszyła się, koledzy moi powrócili do rodziców. Ja zaś mając ojca impetyka, nie chciałem mu się pokazywać. Pojechałem do Francji razem z jednym z oficerów francuskich, którzy byli w Polsce w naszych szeregach. Tam się natułałem dosyć probując różnych zawodów. A gdy wybuchło powstanie kolonji amerykańskich, udało mi się uprosić, aby na okręt francuski mię wzięto Sądziłem, że gdzie biją się o wolność, tam dla polaka najwłaściwsze jest miejsce.

— Słusznieś waćpan rozsądził! A widzę, że i jam się nie omylił dobrze tusząc o waćpanu z pierwszego wejrzenia. I mnie tu nie co innego przywiodło. Bo sprawa wolności czy w Polsce, czy w Ameryce, jest zawsze naszą sprawą. A czy walczą przeciw tyranji zagranicznej, czy przeciw swojej, walka taka jednakowo zasługuje na poparcie z ramienia polskiego. Daleki to kraj od naszego, Ameryka; ale jeśli tu lud wolność uzyska, nie przejdzie to bez korzyści dla Polski.

— Rad jestem słyszeć to od tak zasłużonego męża, odrzekł Zieliński, a nadzieja walczyć pod Wasz-

mości dowództwem napełnia mnie radością. Marzyłem o tem w Polsce; a szczęśliw będę, że chociaż w obcym kraju za tę samą sprawę i pod twoją komendą walczyć będę.

— Uścisnęli sobie dłonie, a znać było z oczu p. Kazimierza, że do serca mu przypadł młodzieniec.

— Gdzież waćpan stoisz? zapytał.

— Wolontarjuszem jestem w kawalerji i mieszkam w szałasie z żołnierzami amerykańskimi.

— Przeniesiesz się waćpan do nas, gdy będziemy w armji; znajdzie się tu kąt dla waćpana, a jak tylko komendę dostanę, postaram się go ulokować.

Zieliński podziękował za życzliwość i pożegnawszy przyszłego naczelnika i Rogowskiego poszedł do służby swojej.

Puławski z Rogowskim tymczasem dosiedli koni i wyruszyli w drogę. Gdy dojechali do głównej kwatery, zauważyli ruch niezwykły dokoła. Pułaski wstąpił do Lafayette'a, aby uścisnąć mu dłoń i dowiedział się, że przybył goniec z Filadelfji i przywiózł wieść o ukazaniu się angielskiej floty w zatoce Chesapeak. Nie było więc już wątpliwości, że anglicy zamierzali skierować atak na Filadelfję. Ten sam kurjer przywiózł i pocieszającą wieść: oto 16 sierpnia na dalekiej północy nad rzeką Hudson generał amerykański Gates pobił dowódzcę angielskiego Bourgoyne'a. Waszyngton ogłaszał o tem w rozkazie dziennym armji, nakazując z tego powodu salwy armatnie o południu i poczęstunek z rumu dla żołnierzy.

Pułaski nie wiedział jeszcze, że w zwycięstwie tem czynny udział brał jego współrodak Kościuszko. Dowiedział się natomiast, że ma być ogłoszony rozkaz dzienny o wyruszeniu nazajutrz o świcie armji z

obozu, w którym już od dwóch tygodni spoczywała. Miała maszerować ku Filadelfji.

Pułaski i Lafayette winszowali sobie wzajemnie tryumfu amerykańskiego oręża jak i nadziei prędkiego spotkania z nieprzyjacielem. Obydwaj mieli serca gorące i pełne szlachetnej ambicji, więc nieczynność nie przypadała im do smaku. Nie było jednak czasu na zwłokę. Blizkość wroga podniecała niecierpliwość Pułaskiego; pragnął jak najprędzej zaciągnąć się do wojska i objąć komendę Wyruszył więc w towarzystwie Rogowskiego pośpiesznym kłusem, kierując się ku Filadelfji, odległej zaledwie o 25 mil angielskich.

ROZDZIAŁ V.

W Filadelfji.

Filadelfja była jednem z najznaczniejszych miast amerykańskich w owym czasie, a dzięki położeniu swemu środkowemu wśród trzynastu kolonji obrana została na siedzibę kongresu złożonego z ich przedstawicieli. Był to ważny port handlowy, do którego przybywały liczne statki z towarami, a ponieważ polityka metropolji względem kolonji polegała na tem, aby w ten sposób zmuszać kolonistów do kupowania wyrobów fabrykantów angielskich, więc prawie wszystkie przedmioty codziennego użycia przywoziły się z Anglji. Statki angielskie miały także wyłączne prawo przywożenia wyrobów innych kolonji, dostarczając Ameryce cukru, herbaty, tytoniu i innych towarów kolonjalnych Indyj wschodnich i zachodnich.

Pomimo znaczenia portu swego i licznych tran-

zakcyj handlowych zawieranych w mieście, Filadelfja ówczesna daleką była od dzisiejszych rozmiarów i wspaniałości. Zaledwie mała część przestrzeni pomiędzy rzekami Delaware a Schuylkill (czytaj Skujkil) była zabudowaną. Wzdłuż brzegu Delaware ciągnęły się doki licznych statków; szereg głównych ulic przebiegał równolegle do nich; poprzeczne przecinały je gubiąc się na pewnej odległości od brzegu w pustych placach porośniętych drzewami, po za któremi ciągnął się obszerny lasek (zwykłe miejsce pojedynków) aż do brzegów rzeki Schuylkill. Najdalej posuniętym budynkiem w tym kierunku był Dom Poprawy. Niektóre z ulic poprzecznych przedłużały się w drogi wiejskie prowadzące do trzech przepraw przez Schuylkill: wyższej, średniej i dolnej. Od ostatniej ciągnęła się droga do Derby, a wzdłuż niej, po drugiej stronie rzeki Schuylkill znajdowały się obszerne ogrody słynnego szwajcara Bartrama, który przywiózł do miasta kwakrów kunszt ogrodniczy i zamiłowanie do kwiatów.

Kwakrowie stanowili przeważną część ludności stałej Filadelfji. Posuwali oni skromność do przesady; domy więc przeważnie były niepokaźne najczęściej o parterze i jednem piętrze. Spotykały się wszakże i ładne budynki wystawione przeważnie przez urzędników angielskich, którzy tuż obok surowej prostoty kwakrów wystawiali na pokaz cały zbytek, jaki panował wówczas wśród zamożnych klas Europy. Zamożne rezydencje, otoczone ogrodami i wspaniale urządzone wewnątrz, spotykały się więc tu i owdzie.

Jednym z okazałych gmachów była w owym czasie sala Związku Ciesielskiego (Carpenters Hall). W niej odbywały się pierwsze posiedzenia kongresu. Ale już w następnym roku przeniesiono je do innego lo-

kalu, w którym kongres z r. 1776 ogłosił 4 lipca niezależność kolonji amerykańskich od korony brytańskiej, a który od tego czasu znany jest pod nazwą Sali Niepodległości (Independence Hall).

Pułaski i Rogowski przybyli do miasta około południa i stanęli w zajeździe na ulicy Kasztanowej (Chesnut). Był to skromniutki lokal utrzymywany przez kwakrów; ale ceny były już bardzo wygórowane zarówno w skutek upadku wartości pieniędzy, spowodowanej przez liczne emisje asygnatów na koszta wojny, jakoteż dzięki niezwykłemu napływowi do miasta rozmaitych osób, którego przyczyną była obecność kongresu w Filadelfji. Przyjeżdżała tu masa wojskowych i urzędników cywilnych, czy to dla porozumień z członkami kongresu czy dla chwilowego wypoczynku po niewygodach obozowego życia, czy też dla zakupna rzeczy potrzebnych dla armji. To też z drugiej strony skupiła się tu cała chmara handlarzy korzystających ze sposobności robienia własnych interesów na sprawie wspólnej i na patrjotyzmie ludu.

Rogowski więc mruczał zawzięcie na chciwość amerykanów, ale Pułaski z pańską wspaniałomyślnością zgadzał się na zdzierskie żądania oberżysty. Po posiłku wziętym na prędce Pułaski udał się do sali posiedzeń kongresu, który rozpoczął był właśnie popołudniową sesję. Posiedzenia nie były wówczas publiczne. Wypadło Pułaskiemu zaczekać dobre pół godziny, zanim Lovell, któremu przesłał był przez woźnego list Lafayetta, parę słów od siebie i wyszedł do sieni.

Lovell przywitał go bardzo uprzejmie, przepraszając za opóźnienie. Powiedział, że prezydenta kongresu nie będzie mógł widzieć przed zamknięciem sesji, ale podjął się doręczyć mu list Waszyngtona i obie-

cał ze swej strony czuwać nad tem, by wszystko poszło jak najgładziej.

Resztę dnia spędził Pułaski, rozglądając się po mieście, podziwiając prostotę obyczajów, pracowitość mieszkańców, brak wszelkiej wystawności i w ogóle tego, co stanowi różnicę stanów tak jaskrawą w owym czasie w całej Europie, niemniej jak i w Polsce. Można było wprawdzie po odzieniu i po obejściu się odróżnić tych, których nazywano „panami" (gentleman) od ludzi prostych (man). Jedni mieli odzież eleganckiego kroju, drudzy skromniejszą i bardziej przystosowaną do potrzeb pracy.

Można było zatem domyślać się z tej różnicy wyglądu zewnętrznego stanu zamożności właściciela, ale nie było tu ani złotem szytych jaskrawych strojów arystokracji francuskiej, ani wspaniałych kontuszów naszej szlachty, tak jaskrawo odbijających od nędznego odzienia chłopa lub rzemieślnika. A jeśli z odzienia można było wnosić coś o zawartości kieszeni tego, kto je nosił, to obejście się i stosunki wzajemne obywateli wcale by o tem domyślać się nie pozwoliły. Najuboższy rzemieślnik zachowywał się z przyzwoitą godnością wobec najzamożniejszego obywatela. Nie było ani uniżoności z jednej strony ani hardej buty z drugiej.

Rzemieślnik lub subjekt mówił ze swoim patronem w tonie zupełnej równości, a ten mu odpowiadał z grzecznością i bez wywyższania się.

Te spostrzeżenia ulotne uczynione przez Pułaskiego podczas wędrówek po mieście nasuwały mu niejedną myśl, niejedno porównanie, a Rogowskiemu mniej lub więcej drastyczne uwagi. Jakkolwiek bowiem Pułaski (a i Rogowski również, który był do pewnego stopnia echem myśli jego) szczycił się z te-

go, że poświęcił życie sprawie wolności, rozumiał ją wszakże raczej w polskiem, lub co jest prawie tem samem w starożytnem znaczeniu, niż w nowożytnem europejskiem. Wolność była w ich oczach raczej przywilejem pewnej warstwy społecznej, obywateli czynnych, czyli „wolnych” w duchu greckim, szlachty — mówiąc po polsku; nie łączyła się zaś z wymaganiem równości. Nie była tą wolnością, co wyciąga równie dłoń do wszystkich; stanowiła raczej należność tych niewielu uprzywilejowanych, którzy przez urodzenie, wychowanie i poczucie świadomości własnej, dorośli byli do korzystania ze wszystkich praw obywatelskich, pozostawiając pod sobą tłumy, których jedynem prawem i obowiązkiem było posłuszeństwo. Chociaż nazywał siebie republikaninem, nie był wszakże Pułaski jeszcze demokratą. Obyczaje amerykańskie, jakkolwiek nie zupełnie odpowiadające wówczas demokracji, dawały mu jednak nie jedną naukę poglądową i pobudzały do zastanowienia się nad budową tego społeczeństwa tak dobrze obchodzącego się beż przywilejów i klas uprzywilejowanych.

Nazajutrz z rana przedstawił się Pułaski Hancock'owi, który był prezydentem kongresu i polecił mu sprawę swojej nominacji. Pułaski nosił się wciąż z myślą utworzenia oddziału lekkiej kawalerji podobnej do ułanów polskich. Starał się on przez pośrednictwo Lovell'a zainteresować Hancock'a tym planem lecz wkrótce zauważył, że prezes kongresu zna się nie wiele na rzeczach wojskowych. Hancock prosił Pułaskiego, aby przedstawił na piśmie plan i kosztorys projektowanego oddziału i Pułaski natychmiast wziął się do tej pracy.

Zajęła mu czas do południa. Zagłębiony w niej zapomniał był o godzinie obiadowej, gdy nagle wyr-

wały go ze skupienia dźwięki muzyki wojskowej dolatujące z ulicy. Żwawy i energiczny rytm marsza świadczył o tem, że idzie za nią znaczny oddział wojska. Pułaski poskoczył ku oknu i oczem jego przedstawił się widok, który mógł radością i żądzą czynu napełnić serce wojownicze.

Poprzedzony przez muzykę wojskową posuwał się wolnym krokiem na pięknych koniach sztab armji amerykańskiej, tworząc nieregularną kawalkadę z Waszyngtonem na czele; za nią w szeregach prawidłowych postępowały cztery pułki kawalerji — tej kawalerji, którą on miał dowodzić niebawem. Dalej szła piechota w dobrym szyku i przyzwoicie ubrana, część w mundurach, część w szerokich bluzach myśliwskich podpasanych paskami z zawieszonemi na nich prochownicami. Wszyscy mieli gałązki zieleni pozatykane na kapeluszach. Część armji pozbawiona przyzwoitego odzienia, wysłana została bocznemi drogami dokoła miasta razem z wozami bagażowemi tak, iż kolumna przesuwająca się po ulicach robiła wrażenie naprawdę imponujące. Tylko nieznaczna część wozów amunicyjnych zamykała pochód, poprzedzona przez artylerję.

Pułaskiemu serce rosło na ten widok, a nie tylko jemu. Waszyngton dowiedziawszy się o zbliżającem się wylądowaniu anglików w pobliżu Filadelfji, rozmyślnie zarządził ten pochód wojowniczy przez ulice tymczasowej stolicy związku kolonij, aby podnieść ducha jej mieszkańców i pokazać, że ma czem obronić ich przed najazdem nieprzyjaciół. Skutek ten został osiągnięty. Tłumy ludu zapełniały chodniki: był to właśnie czas gdy wszyscy opuszczali biura udając się na posiłek. Z okien powiewały chustki dam; panie rzucały kwiaty oficerom. Gdy pułk Moy-

lane'a zbliżał się do okien jego, poznał Pułaski w szeregach Zielińskiego, który służył w kawalerji na ochotnika. Postać jego wyróżniała się w szeregach zarówno szlachetnością rysów, jak i doskonałą posadą konną: znać było, że czuje się na siodle z zupełną swobodą, a każdy ruch i cała postawa jeźdzca zlewały się w jedną całość z ruchami konia. Oczy jego przebiegały z ciekawością okna przyległych domów, ozdobione postaciami niewieściemi w strojach świątecznych. Nagle dostrzegł pan Kazimierz, że wzrok ten utkwił w jednym punkcie, a rysy Zielińskiego przybrały niezwykły wyraz. Podnosząc oczy wślad za jego spojrzeniem, ujrzał Pułaski dziewczę o jasnych, złocistych warkoczach i głębokich jak morze szarych oczach wychylające się z okna i przyglądające się z zaciekawieniem i sympatją Zielińskiemu. Musiał i on odczuć to spojrzenie, bo odpowiadał na nie wzrokiem pełnym zachwytu i uśmiechem jakim witamy kogoś i bliskiego i znajomego. I Pułaskiemu wydały się rysy dziewczęcia tak swojskie, że prawie znajome. Zdawało mu się, że widzi dziewczę polskie. I przeniosła go myśl na rodzime pola i przypomniały mu się chwile uroczej polskiej wiosny, kiedy wśród zbóż dojrzałych kłosów, widzi się tyle czerwonych maków i błękitnych chabrów a po dworkach wiejskich podobne nawpół dziecinne twarzyczki, o warkoczach płowych, ozdobionych temi prostemi kwiatami pól rodzinnych....

Zkądżeby jednak mogło tu wziąść się? Nie; zapewnie to złudzenie tęskniącego za krajem serca, które chwyta wszędzie najsłabsze podobieństwa, aby roić o rodzinnej ziemi, o ukochanych, utęsknionych rysach.

W tej chwili Zieliński jadący z brzegu zrównał

się był z oknem dziewczęcia. Szybkim ruchem odpięła ona różę z gorsu i rzuciła jeźdzcowi. który zręcznie pochwyciwszy ją, podniósł do ust. Dziewczę zarumieniło się, i ukryło w głębi pokoju.

Pułaski z melancholijnym uśmiechem przyglądał się tej scenie. Przypomniały mu się lata wczesnej młodości, prawie dzieciństwa, gdy pełen uwielbienia dla Franciszki Krasińskiej, nie śmiał podnieść oczu ku niej, chociaż przeczucie mu mówiło, że i ona sprzyja mu tajnie. Później ona została księżną kurlandzką, a on pędził tułaczy żywot żołnierza powstańca. Od 20-go roku już przysiągłszy ojcu poświęcić życie sprawie wolności i dotąd wierny tej przysiędze, nie miał ani czasu ani chęci na miłostki; głębszego zaś przywiązania dla innej powziąść nie mógł. W sercu jego płonęła, jak cicha lampa alabastrowa, dawna miłość do Franciszki a pociechą w walkach była myśl, że służąc sprawie narodowej, służy także i jej stronnictwu. Było bowiem w zamiarze niektórych, po strąceniu Stanisława Augusta, osadzić na tronie polskim księcia kurlandzkiego. Projekt ten nie sprzeciwiał się bynajmniej zasadom republikańskim, jak je Pułaski pojmował. Polska była wszak rzecząpospolitą, a obecność obieralnego króla nie zmieniała tej formy rządu: różnica z prezydentem polegała tylko na tem, że był obierany na całe życie.

Nie mało więc uroku dla niego miała ta myśl, że prace jego dla Ojczyzny przyczynić się mogą do wyniesienia na tron polski uwielbianej kobiety. Nie była to bynajmniej ani główna ani nawet uboczna pobudka jego oddania się sprawie Konfederacji Barskiej. Miłość jego dla ojczyzny, którą pragnął widzieć wolną i wyzwoloną z pod wpływu moskali, zręcznie zapuszczających sieci zdradzieckie przy po-

mocy uległego Katarzynie, słabego i trwożliwego Stanisława Augusta, była jedynem, czystem i świętem źródłem jego poświęcenia. Dla tej to miłości spędził młodociane lata wśród trudów obozowego życia i niebezpieczeństw walki; dla niej zapomniał o wszelkiej innej miłości, o tych rozkoszach i promieniach, które tak potężnym głosem przemawiają do serca w jego wieku. A teraz już miał prawie 35 lat i żył wciąż tylko cieniem-wspomnieniem swojej dawnej miłości dla Franciszki i nie miał innych wspomnień w przeszłości swojej prócz krwawych walk, ciężkich trudów, niebezpieczeństw i tułaczki po obcych krajach, często w niedostatku i samotności. Takie myśli snuły mu się po głowie póki wojsko maszerowało wzdłuż ulicy. Nagle dźwięki orkiestry nowego zbliżającego się pułku wyrwały go z zadumy. Wrócił do biurka i napisał szybko następujący list do prezydenta kongresu Jana Hancock'a w dosyć kulawej jeszcze angielszczyznie:

„Panie!

Nie sądzę, iżby obowiązkiem moim było zostawać tu dłużej, tembardziej iż, jak dowiaduję się, Jego Excelencja Generał Waszyngton poszedł na spotkanie nieprzyjaciela. Udaję się więc do armji. Zapewne nie będę mógł dokonać wiele, wszakże postaram się wykazać dobre chęci swoje. Polecam się względom pańskim i pozostawiam mu swój memorjał dotyczący oddziału lekkiej konnicy. Wszystkie niezbędne przedmioty sprowadzę z Francji; Kongres zechce awansować mi na nie pieniądze. Oczekuję szybkiej i stanowczej odpowiedzi. Jeśli to możliwe chciałbym poprzednio otrzymać szarżę, w której nie byłbym pod żadną inną komendą prócz generała Waszyngtona. W tym wypadku uważałbym za nieodzowny obowią-

zek swój wytężyć wszystkie usiłowania na służbę kraju.

Kazimierz Pułaski".

Zaledwie zdążył p. Kazimierz skończyć ów list, gdy nadszedł Rogowski z miasta z rozmaitymi sprawunkami.

— Panie Macieju, rzekł do niego Pułaski, wyślij waćpan ten list do prezydenta Hancock'a i każ okulbaczyć konie. Pojedziemy wślad za armią.

ROZDZIAŁ VI.

Bitwa u Brandywine.

Armja tymczasem po wypoczynku w Derby, dokąd odprowadziły ją tłumy patrjotów pieszo lub w powozach, udała się do Wilmington na spotkanie nieprzyjaciela. 25 sierpnia generał angielski Howe wylądował w Turkypoint, a 27 wyruszył do Head of Elk, skąd wydał odezwę w imieniu króla, ogłaszając przebaczenie wszystkim tym, „buntownikom", którzy dobrowolnie powrócą do poddaństwa koronie brytańskiej. Odezwa ta nie wywarła żadnego skutku na dobrych patrjotów, a tylko ośmieliła torysów, którzy powołując się na łagodność rządu, zachęcali do zaniechania „bezowocnej" walki. 3 września straż przednia angielska potknęła się z wysłaną na jej spotkanie brygadą amerykańską Maxwella i zmusiła ją do cofnięcia się. W parę dni później Waszyngton zajął pozycję w Newport. Usypano tu szańce i oczekiwano ataku nieprzyjaciela, zmierzającego ku Filadelfji. W nocy 8 września Waszyngton zwołał radę wojskową, która zdecydowała zająć pozycję u Chadd's Ford.

Było to wzgórze u brodu przez strugę Brandywine bardzo korzystnie położone na wschodnim jej brzegu. Armja wyruszyła tam o świcie 9-go i zajęła je tegoż dnia. Następny przeminął spokojnie. Zużytkowano go na sypanie szańców. Jedenastego spodziewano się ataku nieprzyjaciela, który miał nadejść z wschodniej strony. Waszyngton przerzucił przez strugę na zachodni jej brzeg lekką brygadę strzelców Maxwella, która miała bronić przystępu do przeprawy. Reszta armji rozciągnęła się na znacznej przestrzeni wzdłuż biegu rzeczułki. Prawe skrzydło armji, leżące na północ od brodu, składało się z brygady pod komendą Sullivana. Lewe skrzydło umieszczone na południu, znacznie niżej od brodu, tworzyła milicja Pennsylwanji pod dowództwem generała Jana Armstronga. Faliste wzgórza naprzeciwko brodu z szańcami i działami skierowanemi ku przeprawie, zajmowała dywizja Wayne'a. Proctor dowodził artylerją. Waszyngton zostawał przy rezerwie, którą dowodził Green. Zajmowała ona wzgórze nieco wyższe z tyłu tego, na którym mieściła się artylerja Proctora i oddzielone od niego drogą idącą od Binton's Ford do wioski Dillworth. Była to pierwsza bitwa na gruncie amerykańskim zarówno dla Lafayetta, który tylko na parę miesięcy wyprzedził Pułaskiego, jak i dla pana Kazimierza. Lafayette, będąc bardzo młody i pełen żądzy odznaczenia się, uprosił Waszyngtona, by mu pozwolił przyłączyć się do korpusu Sullivana, który musiał wytrzymać pierwsze natarcie nieprzyjaciela. Pułaski, jako wojownik doświadczony, pragnął objąć okiem całość bitwy; wiedział zresztą, że rada i pomoc, jeśli będzie mógł jaką okazać, najwłaściwszą będzie przy głównym sztabie. Został więc przy boku Waszyngtona.

Niedaleko od zachodniego brzegu strugi zaczynał się las ciągnący się na znaczną przestrzeń po obu stronach brodu Chadd'a a przerzucający się na południu od niego na lewy jej brzeg w tem właśnie miejscu, gdzie stała milicja Pennsylwanji. Po długich godzinach oczekiwania, o 9-ej dopiero, na brzegu lasu ukazały się czerwone mundury piechoty angielskiej. Drzewa zasłaniały ją tak, iż nie można było ocenić, jak znaczne siły skupiły się w tym pukcie. Niebawem sformowały sią na drodze szwadrony dragonów królewskich i uderzyły na wzgórze zajęte przez Maxwell'a. Jednocześnie otwarła ogień baterja nieprzyjacielska ukryta na wzgórzu lesistem w niewielkiej odległości od pozycji Maxwell'a, a strzelcy Fergussona i pułk królowej poparli energicznie atak konnicy. Nie mogli wytrzymać tego nacisku amerykanie. Brygada Maxwell'a cofnęła się pospiesznie przez strugę ku ukryciu leśnemu na lewem brzegu po za lewe skrzydło amerykańskie. Artylerja angielska natychmiast zajęła opuszczone przez nie miejsce. Armaty szybko odprzodkowano i skierowano na baterje amerykańskie, które odpowiedziały żwawym ogniem.

Tymczasem Waszyngton ze sztabem przejeżdżał drogą ciągnącą się wzdłuż strugi, witając i zachęcając wojsko swoje, które odpowiadało głośnymi, pełnymi zapału okrzykami, zapowiadającymi, jakby się zdawało, zwycięstwo.

Anglicy utrzymywali kanonadę, ale nie robili próby przejścia przez strugę i Waszyngton gotów był uderzyć na nich; ale wprzód chciał się przekonać, czy nie jest to atak fałszywy i czy główne siły nieprzyjacielskie nie obchodzą go, aby uderzyć z tyłu. Wysłał więc oddział kawalerji, aby przeprawił się przez stru-

gę i zbadał drogi prowadzące na północ ku odleglejszym brodom.

Nastąpiło południe. Bitwa przeciągała się i żołnierze stojący od świtu pod bronią znużeni i głodni, pragnęli raz potknąć się bliżej z nieprzyjacielem, który jednak unikał akcji stanowczej, ograniczając się do kanonady. Około 2-ej nadjechał ordynans z depeszą donosząc, że nie widziano nieprzyjaciela na żadnej z dróg po drugiej stronie strugi. Waszyngton gotów już był dać rozkaz ataku, gdy nagle Pułaski rozglądający się przez lunetę dokoła, zwrócił uwagę głównego dowódzcy na cóś, co zastanowiło jego uwagę. Wzdłuż gościńca od północnej strony pędził co koń wyskoczy dwukołowy wózek o jednym koniu, jakie zwykle po wsiach używają w Ameryce. Wysoki i chudy mężczyzna o twarzy poważnej i wygolonej, prócz niewielkiego kawałka brody zaczynającego się o parę centymetrów niżej od dolnej wargi, powoził nim jedną ręką, w drugiej zaś trzymał kapelusz, którym rozpaczliwie wywijał, starając się widocznie zwrócić na siebie uwagę.

Waszyngton wysłał natychmiast kilku jeźdźców ze swej gwardji przybocznej, aby przyprowadzić przejeżdżającego. Niebawem podoficer, który z nimi był odjechał, wrócił galopem, wyprzedzając pozostałych.

— To squaire Cheney, ze znaczniejszych farmerów z sąsiedztwa, doniósł Waszyngtonowi. Pragnie widzieć się z Waszą Ekscellencją i powiada, że główna siła anglików przeszła przez Brandyvine na północy i zbliża się szybkim marszem ku naszym tyłom.

— To być nie może! Przyprowadźcie go tutaj!

Squaire Cheney ukazał się za chwilę.

— Pan widział wojsko angielskie po tej stronie strugi? zapytał go Waszyngton.

— Tak jest, generale; jestem tego najzupełniej pewien. Obecnie musi być niedaleko od Birmingamskiego domu modlitwy. Błagam cię, nie trać czasu, jeśli chcesz ocalić armję, bo zajdą cię z tyłu.

— Czy wiesz jak ciężką odpowiedzialność przyjmujesz na siebie, budząc popłoch w armji? Ja mam zupełnie pewne wiadomości od podjazdów swoich, że cała armja angielska znajduje się około Chadd's Ford.

— Gotów jestem życiem odpowiadać za dokładność tego co donoszę. Zatrzymaj mnie jako zakładnika i każ rozstrzelać, jeśli skłamałem; ale błagam cię nie trać czasu. Tyle szczerości i głębokiego przekonania było w słowach mówiącego, iż niepodobna było nie uwierzyć mu. Po chwili namysłu Waszyngton odpowiedział:

— Dobrze; zatrzymuję pana. Jeśli wieść, którą przywiozłeś. okaże się prawdziwą, zasługa twoja względem kraju będzie bardzo wielka; bo tobie zawdzięczać będziemy ocalenie armji. Lecz jeśli lekkomyślnie w błąd wprowadzisz nas, pamiętaj, że ciężka odpowiedzialność będzie twoim udziałem. Jak liczna jest kolumna nieprzyjacielska?

— Około siedmiu tysięcy.

— Dobrze, dziękuję panie Cheney.

Waszyngton zwrócił się do adjutanta swego i powiedział mu półgłosem:

— Każ zatrzymać go do końca bitwy, lecz niech obchodzą się z nim jak najgrzeczniej.

Natychmiast wysłał wódz rozkazy do pojedynczych korpusów armji, nakazując odpowiednie zmiany pozycji.

Kościół Braci, o którym wspominał Squaire Cheney, mieścił się na wzgórzu w odległości trzech mil angielskich na północ od pozycji, którą zajmował o-

becnie Waszyngton. W kierunku północno-zachodnim, zkąd zbliżać się miał Cornwallis, wzgórze to razem z drugiem sąsiedniem, na którem mieścił się dom Williama Jones'a, panowało nad pochyłością okrytą zaoranemi pólmi, a spadającą stopniowo ku drodze. Pochyłość ta tworzyła rodzaj naturalnego glassisu, a całość stanowiła znakomitą pozycję do obrony. Za wzgórzami ciągnęły się gęste lasy, przecięte drogami do Dillworth i do Chester. Inna droga łączyła owe wzgórza z Chadd's Ford.

Dywizja Sulliwana razem z brygadami Convey'a, Stirlinga i Stephena skierowane tam przez Waszyngtona pośpiesznie sformowały się w rzadkim lasku u stóp kościółka i na przyległem wzgórzu prawie na oczach nieprzyjaciela, w tej chwili już się ukazującego na drodze, wiodącej od Jeffrie's Ford, w którem to miejscu przeszedł był rzeczułkę.

Przedni oddział anglików, utworzony z czwartej brygady, niebawem rozwinął się na równienie. Armaty szybko ustawione na skraju lasu otwarły ogień kartaczowy, a pod jego osłoną rozsypała się linja strzelców hesseńskich, którzy opierając ciężkie muszkiety o płoty celnymi strzałami niepokoili przednią straż amerykańską, gdy jednocześnie kolumna bojowa sformowana w najlepszym porządku zdwojonym krokiem rzuciła się ku wzgórzu zajętemu przez amerykanów.

Środkowa dywizja amerykańska, złożona z 800 ludzi pod doskonałą komendą Convay'a, przyjęła celnym ogniem atakującą kolumnę; czerwone mundury poległych zaznaczyły wśród zielonej murawy drogę, którą się posuwała. Oba wszakże skrzydła pierzchnęły na widok zbliżającej się najeżonej bagnetami kolumny.

Nieprzyjaciel przyśpieszył kroku i skupił cały o-

gień na owej środkowej dywizji, która niebawem zachwiała się również, utraciła szyk i popędziła w ślad za innemi. Powstał niesłychany zamęt. Ludzie piesi i konni, wozy i działa, wszystko zmieszało się w jedną masę pędzącą po drodze ku Dillworth. Kolumna angielska pogoniła za niemi a stojący na uboczu dragoni formowali się, gotowi gonić i tępić rozproszone siły amerykańskie. Zniweczenie całej armji zdawało się nieuniknionem. W tym samym bowiem czasie, gdy pierwsze salwy dały znać o rozpoczynającej się potyczce, oddział angielski u Chadd's Ford przekroczył Brandyvine i uderzył z całą siłą na piechotę Wayne'a i artylerję Proctora, które cofając się w największym pośpiechu, zwiększyły zamięszanie.

Lecz oto nagle jak lawina stacza się z dalszego wzgórza niewielki oddział kawalerji, lecący całym pędem. Na czele jego na wspaniałym czarnym koniu pędzi jeździec w białym mundurze z rozwianym włosem i wysoko podniesioną szablą i wskazując na nieprzyjaciela powtarza w złej angielszczyznie:

— Forward, forward!

Jeźdźcy zapaleni jego przykładem, porwani tą szaloną odwagą dowódzcy, zmagnetyzowani jego iskrzącym wzrokiem, bodą konia ostrogami i pędzą jak na stracenie.

Nakształt ostrego klinu z szalonym impetem wrzyna się garstka ta w bok goniącej kolumny. Mały oddział rąbie na prawo i na lewo sprawiając zamieszanie w szykach, łamiąc kolumnę, zmuszając przednie szeregi do cofania się na tylne, które nie mogąc się utrzymać odrazu, powiększają zamęt. Pogoń została wstrzymana; wszakże mała garść otoczona chmarą wrogów, skazana była zdawało się na zagładę. Ale wódz czuwa nad nią: widząc, że pogoń wstrzyma-

na i ciosy prześladujących skierowane na nich, wykrzykuje znowu swoje „forward”! i zaczyna torować krwawą drogę wśród masy otaczających piechurów. Nagle masa ta poczęła się chwiać i cofać; ze stoku tegoż wzgórza, z którego spadł był Pułaski z garścią naprędce zebranych kawalerzystów amerykańskich, pod jego dowództwem przeobrażonych na zuchów, zstępowała teraz zdwojonym krokiem piechota Greena. Szeregi jej otworzyły się, aby przepuścić ocalony oddział konny i zamykając się za nim, rozpoczęły regularny ogień, który na chwilę zatrzymał nieprzyjaciela. Cofając się w dobrym porządku tylnia straż armji odstąpiła na milę w kierunku ku Dilworth, gdzie droga zwężała się w wąwóz otoczony wzgórzami okrytemi lasem. Obsadziwszy tę pozycję wstrzymano tu nieprzyjaciela do późnego wieczora, kiedy, widząc niemożność dalszego prześladowania sam się cofnął.

Pułaski, którego śmiała szarża ocaliła armję, zatrzymując rozpęd pogoni, zbliżył się do Waszyngtona i przez pośrednictwo Hamiltona odzywał się z największemi pochwałami o konnicy, z którą dokonał był swej szarży:

— Doskonały to materjał na żołnierza, mówił, i może pójść daleko pod dobrą komendą. Tylko brak im dobrych ćwiczeń i znajomości ruchów militarnych.

— Mam nadzieję, że pan uformuje jak najlepiej ten materjał, skoro obejmie nad nim komendę, odrzekł dowódzca. Dziś przekonał nas pan, że odwaga żołnierza jest tylko odbiciem męztwa dowódcy.

Gdy ostatnie strzały zamilkły w zapadłym już zmierzchu i kolumna rezerwy pomaszerowała śpiesznym krokiem przez Dilworth ku Chester, zbierając po drodze opóźnionych ludzi, opuszczone wozy i działa, porzuconą broń, Pułaski, wyprzedziwszy ją, jechał

konno obok Rogowskiego, dzieląc się z nim wrażeniami dnia....

— Niepomyślnie poszła nam pierwsza potyczka na amerykańskiej ziemi, mówił Rogowski. Ale jak to mówi przysłowie: pierwsze koty za płoty. Prawdę mówiąc, miałem lepsze pojęcie o amerykanach: któż to widział, żeby tak zmykać po pierwszym nacisku....

— Żołnierz jest dobry, odrzekł pan Kazimierz, tylko komenda licha. Pod umiejętnymi oficerami możnaby z nich cuda robić. Widziałeś waćpan, jak korpus Conway'a stał murem, dopóki była możność oparcia się. Bo to oficer wytrawny, w służbie francuzkiej wyćwiczony i sam pełen odwagi.

— Panowie amerykanie jakoś są nazbyt ostróżni.

— Ostróżność nie jest wadą, byleby się nie wyradzała w trwożliwość. Świętym obowiązkiem oficera jest oszczędzać życie żołnierza. Znać jednak po nich, że większość nie ma żadnej szkoły militarnej, bo i gdzieżby mieli się wyćwiczyć w tym kunszcie; chyba w potyczkach z dzikimi indjanami — ale to nie szkoła dla rycerza.

— Mieli oni ponoć niedawno wojnę z francuzami?

— Tak, ale już czternaście lat upłynęło od zawarcia pokoju. A oficerowie, którzy się w niej odznaczyli, należą pryncypalnie do armji angielskiej. Niektórzy jak Gates i Lee przyłączyli się do amerykanów. Ale z rodowitych amerykanów to mało kto prócz Waszyngtona ma talent i doświadczenie wojskowe.

Tak gwarząc obaj jeźdzce nieznacznie przeszli na kłus i wyprzedziwszy kolumnę piechoty wyjechali na wzgórze przy drodze, aby rzucić okiem na cały po-

chód. Księżyc w pełni stał już dosyć wysoko i oblewał srebrzystem światłem gościniec, ciągnący się ku Chester, wśród lasów przerzynanych ornemi polami. Przedstawiał on w tej chwili niezwykłe widowisko. Na kilkaset kroków przed kolumną Greena, idącą w dobrym porządku, rozpoczynała się bezładna masa uciekinierów z rozmaitych pułków, koni, wozów komunikacyjnych i lazaretowych i dział. Masę tę przerywały gdzieniegdzie porządniej idące kompanie strzelców, lub bezładne lecz zwarte kupy milicji. Jeździcy wspięli konie ostrogami i puścili się kłusem ku Dillworth, gdzie ochłonąwszy od pośpiechu rejterady większość ludzi probowała odnaleść swoje kompanie i uformować się jako tako. Tu też robiono opatrunki rannym. Między nimi znalazł się i Lafayette, który widząc ucieczkę korpusu Smallwood'a, rzucił się był naprzód, chcąc przykładem odwagi wstrzymać żołnierzy i dostał lekki postrzał w nogę. W pierwszej chwili nie zauważył rany, a porwany potokiem uciekających pędził z nimi. Dopiero po drodze dostrzegł krew płynącą z buta. W Dillworth zdjęto go z konia i opatrzono ranę, a Waszyngton dowiedziawszy się o tym wypadku, przysłał mu swego chirurga, polecając mu Lafayetta jak własnego syna. Pułaski zbliżył się do niego i wyrażając ubolewanie z powodu rany, powinszował mu zarazem odwagi, która zjednała wszystkie serca młodemu francuzowi.

Pochód wyruszył dalej, a Pułaski jadąc wolno dał się ominąć przez większą część pochodu. Już kolumna Greena dogoniła go. Pan Kazimierz przyglądał się pojedyńczym jej bataljonom przy świetle księżyca, gdy nagle uderzyła go postać jednego z oficerów dowodzącego kompanią w bataljonie niemieckim.

Otwarta mina i piękna postać przyciągały go mimowoli, a z powierzchowności domyślał się w nim francuza. Zbliżywszy się ku niemu zaczął więc rozmowę po francuzku.

Nie omylił go bystry wzrok. Młody oficer przedstawił mu się jako Paweł Bentalon. Opowiedział Pułaskiemu swoje przygody w Ameryce. Przybył z Francji w listopadzie zeszłego roku a wylądowawszy w Filadelfji udał się wprost do Morristown, gdzie wówczas była główna kwatera. Przedstawiwszy się Waszyngtonowi i złożywszy listy polecające, prosił, aby go umieszczono w kawalerji. Odpowiedziano mu, że niema wakansu. Wstąpił więc na ochotnika do piechoty i został porucznikiem w niemieckim bataljonie, który stanowił wówczas część brygady Maxwella a następnie przyłączony został do dywizji Green'a.

Pułaski z zajęciem słuchał jego opowiadania. Podobał mu się młodzieniec; a że miał wyższe pojęcie o oficerach francuzkich niż o amerykanach, zapisał sobie jego nazwisko i miejsce służby obiecując, że odwoła się do niego przy pierwszej sposobności umieszczenia go w kawalerji, której spodziewał się zostać dowódzcą.

Około północy przybyła armja do Chester; tu rozkazano ulokować się na nocleg. Pułaski znużony trudami dnia, udał się na spoczynek razem z Rogowskim do oberży, która posłużyła za przytułek dla wielu innych oficerów. Wszystko, prócz szyldwachów rozstawionych na gościńcach, spało niebawem snem twardym. Tylko w oknie głównej kwatery świecił się ogień. Waszyngton dyktował list do kongresu, w którym ze zwykłą prawością swoją donosił o porażce, nie zmniejszając jej rozmiarów, ani łagodząc oko-

liczności, przeciwnie, przyjmując na siebie całą odpowiedzialność.

Chester 11 Września;
12-a północ.

Panie!

„Z żalem donoszę Wam, panie, że w potyczce dnia dzisiejszego zmuszeni byliśmy ustąpić pola nieprzyjacielowi. Na nieszczęście wiadomości o tem, że nieprzyjaciel posunął się w górę wzdłuż Brandywine i przeprawił się przez rzekę w odległości sześciu mil powyżej naszego stanowiska, były niepewne i sprzeczne z sobą, wbrew najlepszym chęciom moim uzyskania dokładnych. Przeszkodziło to mi uczynić dyspozycje odpowiednie do sił, z jakiemi nieprzyjaciel uderzył na prawe skrzydło nasze. Wskutek tego oddziały, które pierwsze uległy spotkaniu, zmuszone zostały do odwrotu wpierw, nim zdążono je wzmocnić. W czasie ataku na prawe skrzydło nasze, część armji nieprzyjacielskiej, która zostawała po drugiej stronie Chadds Ford, przeszła go i uderzyła na dywizją pod komendą generała Wayne'a oraz na lekkich strzelców pod dowództwem generała Maxwella, które po energicznym oporze cofnęły się również".

List ten niebawem został ogłoszony w „Gazecie Bostońskiej". *) Naród, który pragnął być wolnym, nie potrzebował oszukiwać siebie fałszywymi biuletynami zmniejszającymi rozmiary porażki lub przerabiającymi klęski na zwycięztwa, jak to czyniły zwykle rządy monarchiczne względem swoich poddanych. Szczerość i świadomość dokładną własnej sytuacji uważano za najlepszą rękojmię powodzenia powsta-

*) No. z dnia 22 Sept. r. 1777.

nia, za najpewniejszy środek podniesienia energj ludu.

ROZDZIAŁ VII.

Oberża Białego Konia.

Nazajutrz rano wojsko zbliżyło się ku Filadelfji, aby ściągnąć nieco amunicji, umieścić rannych w szpitalach, zaopatrzyć się w odzienie, obuwie i inne potrzebne rzeczy, pogubione podczas gwałtownej ucieczki. Wieść o porażce wywołała panikę w mieście. Zamożniejsi obywatele pakowali rzeczy i gotowi byli lada chwila opuścić miasto, które uważano za stracone. Rodziny oficerów armji amerykańskiej i urzędników cywilnych skompromitowanych wobec rządu angielskiego za udział w rewolucji wyjeżdżały w głąb Pensylwanji. Szeregi powozów i wozów z rzeczami snuły się po drodze do Lancaster.

Kongres wszakże odbywał jeszcze tam posiedzenia swoje i to łagodziło cokolwiek panikę ogólną. Jednakże kazano przewieść w bezpieczniejsze miejsce archiwa kongresu. 700 wozów z bagażami wysłano do Betlehem, dokąd także przewieziono chorych, w tej liczbie i Lafayetta. „Dzwon wolności”, ten, w który uderzył był rozentuzjazmowany woźny kongresu w dniu 4 lipca 1776, kiedy po długich naradach owej pamiętnej sesji zapadło wreszcie postanowienie ogłoszenia niepodległości kolonij, dzwon ten, który zwiastował pierwszy miastu ową śmiałą rezolucją, przewieziono również na osobnym wozie do Betlehem.

Tymczasem Waszyngton z armją wzmo c nion

posiłkami i milicją manewrował w ten sposób, aby, unikając potyczki, czuwać o ile możności nad Filadelfją. Po krótkim wypoczynku u wodospadów na Schuylkill koło Germantown, gdzie przed kilku tygodniami armja obozowała była przez dłuższy czas, a teraz zastała swoje szałasy nietknięte, wyruszył Waszynton po drodze wiodącej ku Lancaster, a zostawiając w Paoli, miejscowości odosobnionej i doskonałej do odparcia ataku, Wayne'a z 1500 żołnierza dla obrony tej drogi, sam zatrzymał się 16-go u oberży Białego Konia, pragnąć dać wypoczynek armji, znużonej szybkimi marszami nocnymi, dzięki którym jedynie umykała przed natarczywie ścigającym ją nieprzyjacielem.

Tymczasem wodzowie angielscy zręcznie manewrowali, aby otoczyć i ująć to, co uważali za niedobitki wojska powstańczego. Cornwallis zajął Ashtown 12-go, a Chester 13-go, odcinając Waszyngtona od Delawaru i zagrażając Filadelfji; Howe zaś posunął się ku Westchester, przecinając na wskróś linię pochodu Waszyngtona. Było południe, gdy armja amerykańska spoczęła u oberży. Wyruszyła była tej nocy o 3-ej na długo przed późnym świtem jesiennym i nie miała nic w ustach od wczorajszego wieczoru. Waszyngton nie wiedział nic o ruchu Howe'a i sądził, że oddalił się na bezpieczną odległość od nieprzyjaciela, a mając tył zabezpieczony przez oddział Wayne'a, pozwolił na parogodzinny wypoczynek. Armja rozłożyła się na prędce i zaczęto gotować żywność. Dzień był upalny, powietrze przesycone parą i elektrycznością: żołnierz znużony pragnął wypoczynku, ochłody, pożywienia.

Ale Pułaski nie był skłonny do korzystania z tych chwilowych dobrodziejstw. Czujna dusza je-

go pragnęła nieustannej czynności. Poprosił więc Waszyngtona, aby mu powierzył niewielki oddział kawalerji, z którym chciał zrobić rekonesans. Wódz chętnie się na to zgodził i Pułaski zebrawszy kilkadziesiąt koni wyruszył w pole.

Nie upłynęło pół godziny, gdy nagle dały się słyszeć strzały, po drodze do Westchester. Dano hasło alarmu. Kotły z żywnością wywrócono i żołnierze rzucili się do broni. Armja miała przed sobą równinę otwartą. Pozycja więc była bardzo niekorzystną dla obrony. Niebawem kilku jeźdźców rannych przybyło do obozu. Strzały stawały się gęstsze i oddalały się coraz bardziej. Jeszcze kwadrans i Pułaski przybył w cwał, wyprzedzając swój oddział. Przyskoczywszy do głównej kwatery zażądał widzenia się z Waszyngtonem. Hamilton wyszedł na spotkanie mu i odpowiedział, że główny dowódzca jest w tej chwili zajęty i nie może go widzieć.

— Ale ja potrzebuję mówić z nim natychmiast, zawołał Pułaski, tu idzie o zbawienie armji!

W tej chwili Waszyngton słysząc głośną rozmowę, wyszedł sam dowiedzieć się o co chodzi.

— Proszę powiedzieć generałowi, zawołał Pułaski do Hamiltona, że korpus anglików jest w odległości paru mil ztąd i posuwa się ku nam.

— Nie może być, odrzekł Hamilton, pan może wziąłeś nasze opóźnione oddziały za wojsko nieprzyjacielskie?

— Nie jestem dzieckiem, zawołał z gniewem Pułaski. Przetłumacz pan natychmiast moje doniesienie jego Excellencji!

Waszyngton, dowiedziawszy się o co chodzi, zaczął przepraszać Pułaskiego za swego adjutanta.

— Jest on młody i pośpieszny w sądach, mówił,

ale bynajmniej nie chciał obrazić tak szanownego wojownika. Jak wielkie siły nieprzyjaciela i gdzie pan go spotkał? dodał wódz.

— Potknąłem się o przednią jego straż na drodze do Westchester; uderzyłem na nią z nienacka z moimi ludźmi i zmusiłem do cofnięcia się. To wstrzyma chwilowo pochód głównej kolumny liczącej kilka tysięcy żołnierza.

— Co pan uważasz za najwłaściwsze do uczynienia w tej chwili? zapytał Waszyngton.

— Sądziłbym, że oddział z trzechset ludzi i jeden pułk kawalerji pod moją komendą wystarczy do zabawienia nieprzyjaciela, póki generał obierze lepszą pozycję i uszykuje armję.

— Słusznie, odrzekł Waszyngton. Dziękuję panu za tę wiadomość; a zwracając się do jednego z adjutantów rzekł do niego: zanieś do generała Scotta mój rozkaz, aby z trzystu strzelcami wyruszył na drogę do Chester, a pułk Blanda niech się odda pod komendę p. Pułaskiego.

Niebawem mały oddział wyruszył po drodze ku Westchester. Wtem zaczęły padać ciężkie krople deszczu, które wkrótce zamieniły się na potoki. Ulewa przybrała charakter tropikalny. W pół godziny żołnierze byli już zmoczeni do nitki. Niepodobna było użyć broni. Nawet ładunki w ładownicach zwilgły tak, że proch wyglądał jak czarne ciasto. Pułaski, który z kawalerją wyprzedził był piechotę, przekonał się, że anglicy zaniechali ataku i ukryli się od deszczu w miasteczku. Zwróciwszy się więc wstecz, popędził z tą miłą wieścią ku armji, która brnęła po kolana w potokach płynących po gościńcu. Zdążyła ona wczas przekroczyć Schuylkill szybko wzbierający. Niebawem rzeka ta utworzyła nieprzebytą barjerę po-

między armią amerykańską a nieprzyjacielem. Armja ta, bezpieczna teraz, mogła pomyśleć o wypoczynku i pożywieniu, którego tak długo była pozbawiona. Zapalono ognie trzymając kołdry nad niemi dla zabezpieczenia ich od deszczu. Ulewa trwała przez dwie doby i łącznie z czynnością Pułaskiego ocaliła jeszcze raz wojsko powstańcze.

ROZDZIAŁ VIII.

Zwierzenia.

Następnego dnia udała się armja do Yellow Springs, ztamtąd do Warwick Furnace. Tu mógł Pułaski obejrzeć warsztaty broni i odlewnię armat, założone w r. 1776. Zabawiono tu dwa dni i wyruszono dalej ku Pottsgrove, po lewej stronie rzeki Schuylkill.

W tem miejscu nadeszła przez kurjera z Filadelfji nominacja Pułaskiego na dowódcę kawalerji w randze generała brygady, uchwalona przez kongres jeszcze 15 września. Waszyngton ogłosił tę nominację w rozkazie dziennym 21 października. Nie potrzebujemy mówić, jak wieść ta ucieszyła naszego bohatera Od tej chwili czuł się rzeczywistym członkiem armji, w której dotąd był niejako gościem tylko. Mógł z należytą powagą przeprowadzać ulepszenia, których widział potrzebę naglącą, a o których dotąd, jako cudzoziemcowi i ochotnikowi nie wypadało nawet wspominać. Obiecywał więc sobie z całym zapałem i energią oddać się reorganizacji kawalerji i postawieniu jej na stopie odpowiedniej wymaganiom czasu. Lafayette i inni oficerowie winszowali mu tej

szybkiej stosunkowo nominacji, a gdy wieczorem został Pułaski sam z Rogowskim w swojej kwaterze, przyszedł Zieliński złożyć życzenia swemu obecnemu generałowi.

Przy skromnej wieczerzy obozowej, mile spędzili wieczór trzej rodacy zbliżeni z sobą przez ową odległość od kraju, przez owo obce otoczenie. A chociaż różni wiekiem, doświadczeniem i stanowiskiem w armji, bliscy byli sercami pełnemi tęsknoty za ukochaną ojczyzną, opuszczoną na długo może. Mówili więc o przeszłości, o nadziejach i niebezpieczeństwach minionych walk, opowiadali sobie przygody przebyte, układali plany przyszłości, snuli nadzieje nowych walk w Polsce, do których obiecywali sobie wrócić z doświadczeniem i sławą zdobytą za oceanem,

Rozmowa przybierała coraz bardziej poufny charakter; wynurzenia stawały się coraz serdeczniejsze. Przyszło jakoś do tego, że Rogowski opowiedział o afekcie swoim do pięknej córki konsula francuskiego w Sylistrji, gdzie bawił przez dłuższy czas razem z Pułaskim po niefortunnej wojnie Turcji z Rosją. W wojnie tej brał udział Pułaski z znacznym oddziałem konfederatów polskich. Gdy sułtan, po rozbiciu olbrzymiej armji swojej, zmuszony został oddalić Pułaskiego z Konstantynopola, prowadząc układy z Rosją, wyznaczono polakom siedzibę w Sylistrji. Tu podczas kilkomiesięcznego pobytu, Pułaski gościnnie przyjmowany był przez konsula francuskiego, a Rogowski w córce jego Marji, znalazł nauczycielkę francuskiego języka i kunsztu miłowania, w którym płeć piękna zawsze była i zostanie mistrzynią brzydkiej. Niestety, nagły wyjazd do Francji przerwał niespodzianie te piękne początki. Zachował jednak p. Maciej wiernie w sercu pamięć swojej damy, chociaż nie

żywił żadnej nadziei spotkania się z nią kiedykolwiek, a tem bardziej związania z nią losów swoich.

Zachęcony tym przykładem zwierzył się i Zieliński z tajemnicy serca swego. Gdy przybył do Ameryki, zmuszony był przez kilka tygodni zabawić w Filadelfji. Wypadło mu zamieszkać w domu pewnej rodziny, której nazwisko, *Zabriske*, zbliżone do polskiego uderzyło go odrazu. Była tam młoda dziewczyna cudnej urody, według słów Zielińskiego, która posiadała cokolwiek języka francuskiego nabytego w renomowanej wówczas szkole nauczycielki francuskiej. Ona to służyła za tłumacza między Zielińskim a rodzicami. Pewnego razu zaczął się Zieliński rozpytywać o pochodzeniu nazwiska Zabriskich, które brzmiało dla ucha jego jakby rodzinne.

— Bo też w rodzinie naszej, odpowiedział p. Zabriske, istnieje tradycja, że protoplasta nasz z Polski pochodzi. Miał to być wielki magnat, który zbuntował się przeciw królowi swojemu. Po przegranej walce brat jego zginął na rusztowaniu, prapradziad zaś nasz wyjechać miał do Holandji, a ztamtąd razem z osadnikami holenderskimi przybył do osady Nowy Amsterdam, później przezwanej Nowy York. Dużo też jest rodzin noszących nasze nazwisko w kolonji Nowy York; ale ja za młodu przeniosłem się do Pensylwanji i tu się ożeniłem.

Niezmiernie wzruszyła ta opowieść Zielińskiego. Czuł on już wielką sympatję dla swojej ślicznej tłumaczki, a teraz oto, gdy dowiedział się o jej polskiem pochodzeniu, zdawało mu się, że to przeznaczenie samo zsyła mu tę latorośl dawnego polskiego rodu, aby ją przywrócił ojczyźnie, nauczył języka przodków, zaznajomił z historją kraju i kazał go kochać.

Zaczął więc bliżej wypytywać o szczegóły owej

tradycji, ale p. Zabriske mało co wiedział nad to, co już był wypowiedział. Dodał tylko, że protoplasta ów przywędrować miał do Ameryki w 17 stuleciu. Przypominając sobie szkolne wiadomości z historji ojczystej wpadł Zieliński na domysł, który niebawem stał się dlań pewnością, że nazwisko jego gospodarza było przekręconem nazwiskiem Zborowskich. Opowiedział więc zaciekawionym słuchaczom o rokoszu przez Samuela Zborowskiego wznieconym, o jego śmierci, o banicji brata, o panowaniu Stefana Batorego i jego charakterze. Opowieść ta ułatwiła przypomnienie niektórych drobnych szczegółów z tradycji słyszanej w dzieciństwie przez p. Zabriske'go, które zgadzały się doskonale z faktami historycznymi przez Zielińskiego opowiedzianymi.

Coraz więcej zaczął więc opowiadać im Zieliński o Polsce i odtąd długie wieczory upływały im mile na tych gawędach, cała rodzina bowiem rada była usłyszeć coś o kraju, z którego pochodziła, a panna Mary, która poraz pierwszy dowiadywała się o swojem polskiem pochodzeniu, przejęła się ogromnie tem odkryciem. Z gorejącemi oczyma słuchała ona najmniejszych szczegółów dotyczących życia w Polsce i jej dziejów; kazała sobie opowiadać o rodzinie Zielińskiego, jego dzieciństwie, naukach szkolnych i prosiła, aby uczył ją po polsku. Prośba ta napełniła go wielką radością, czuł bowiem, że serce dzieweczki garnie się zarówno ku niemu jak i ku wspólnej ojczyźnie.

Powinność żołnierza przerwała tę słodką sielankę. A chociaż nie śmiał Zieliński w obecnej roli bezdomnego awanturnika mówić o miłości bohdance swojej, tuszył jednak nadzieję, że gdy wojna wyniesie go na wyższe stanowisko i postawi zaszczytnie wśród obywateli amerykańskich, będzie mógł prosić o jej

rękę, a przebłagawszy surowego ojca, przywiezie mu razem z wawrzynami amerykańskimi synowę z dawnego polskiego rodu.

Pułaski pochwalił bardzo jego powściągliwość i plany na przyszłość. A zwracając się żartobliwie do p. Jana zapytał:

— Czy panna Mary ma dwa złociste warkocze i parę czarnych oczu i czy mieszka przy ulicy Kasztanowej?

Zieliński szeroko roztworzył oczy i przez pewien czas nie mógł ze zdumienia słowa wypowiedzieć.

— A jakże wiesz o tem? generale! zawołał nareszcie.

— Oko dowódcy musi wszystko widzieć, odrzekł z uśmiechem Pułaski. A może przypominasz sobie panie Janie o pewnej róży, którą z pięknych rączek dostałeś 24 sierpnia, przechodząc przez Filadelfją?

— Dotąd mam ją na sercu zaszytą w szkaplerzu, odrzekł z zapałem młodzieniec.

— Dobrze to. Strzeż jej; nie ochroni cię od kuli — ale kula nie stanowi ujmy dla rycerza. Natomiast będzie twoim talizmanem, obroną od złego i pokus wszelakich.

Przewidywane bliskie zajęcie Filadelfji przez anglików, zwierzył się dalej Zieliński, że napełnia go obawą o losy rodziny Zabriske'ch. Należeli bowiem do gorących patrjotów, jako zwolennicy wolności i niepodległości kolonij.

Pułaski starał się go uspokoić zapewniając, że anglicy, jako naród ucywilizowany, nie będą wywierać zemsty na obywatelach bezbronnych a tem mniej na kobietach. Sam wszakże głęboko się zamyślił i już nie brał udziału w dalszej rozmowie. Snuły mu się w myśli wspomnienia młodocianych lat i Fran-

ciszki Krasińskiej, a mimowoli porównywał beznadzieję swej miłości z pełną wiary w przyszłość postawą młodzieńca. O ileż szczęśliwszy był od niego Zieliński, przed którym przyszłość stała otworem. On już niczego nie mógł spodziewać się dla siebie; zostawała mu tylko służba publiczna: poświęcenie się dla sprawy ludzkości, nadzieja służenia ojczyźnie i ta myśl kojąca, że sława czynów jego dojdzie uszu Franciszki i wywoła z jej piersi westchnienie na myśl o wiernym rycerzu swoim.

ROZDZIAŁ IX.

Germantown.

Armja zostawała w Pottsgrove do 26 września. Brak wszelkich rzeczy potrzebnych dawał się jej odczuwać, zwłaszcza zaś odzienia i obuwia. Przeszło tysiąc żołnierzy było bez trzewików Tymczasem nadzieja na dowóz z Filadelfji została ostatecznie utracona. Jeszcze 20 uderzył niespodzianie Grey na obóz Wayne'a w Paoli podprowadzony do niego w nocy przez ludność miejscową złożoną z torysów. Odbyła się okropna rzeź, w której zabijano bezbronnych nawpół sennych amerykanów. Trzystu ludzi poległo, reszta uciekła i kupami przybywała do obozu Waszyngtona. Brygada Smallwooda, która była tylko o milę odległa od miejsca porażki, zamiast pośpieszyć na pomoc, uciekła w nieładzie słysząc strzały i wrzawę bitwy.

Usunąwszy w ten sposób niebezpieczeństwo z tyłu swej armji, anglicy z dwóch stron zbliżyli się ku Filadelfji a 25 września Cornwallis wkroczył do mias-

ta z wielką uroczystością na czele swoich grenadjerów w pąsowych mundurach z granatowymi wylotami i wysokich śpiczastych czapkach z srebrnemi blachami. Lud witał ich również hałaśliwie, jak dawniej armję Waszyngtona. Kongres już przedtem wyniósł się był do Yorktown. Jednocześnie flota generała Howe zbliżyła się do ujścia Delawaru, lecz odcięta była jeszcze od Filadelfji kilku fortyfikacjami zajętemi przez amerykanów. Z tych dwie ważniejsze, — Mud Island i Red Bank, stawiały mężny opór pułkownikowi Sterlingowi, który otrzymał polecenie wziąść je i utorować w ten sposób komunikację Filadelfji z morzem.

Kongres, opuszczając Filadelfję, rozszerzył znacznie pełnomocnictwo Waszyngtona, aby uczynić jego działalność bardziej niezależną; komunikacja bowiem armji z tem ciałem została teraz utrudniona, a można było przewidywać jej zupełne zerwanie. Zażądano również posiłków od generała Putnama, który wciąż czynił niefortunne próby niepokojenia anglików w okolicach Nowego Yorku, a do Gates'a napisano, aby przysłał z powrotem korpus Morgana wysłany dla wzmocnienia jego armji.

Tymczasem Waszyngton zbliżył się nieco do Filadelfji, przenosząc obóz do Pennybecker's Mill, wioski odległej od stolicy Pennsylwanji na 20 mil angielskich. Przyczyną tego ruchu była wieść otrzymana z północy o nowem zwycięstwie Gates'a nad Bourgoyne'm. O tym nowym tryumfie oręża amerykańskiego ogłosił główny dowódzca w rozkazie dziennym 28-go września. Parada i salwy zostały zarządzone, a tegoż wieczoru zwołał Waszyngton radę wojenną.

O ile więc ta działała korzystnie na umysły żołnierzy i władz cywilnych, budząc otuchę zwłaszcza

wśród armji, zniechęconej i zdemoralizowanej ciągłem cofaniem się przed wrogiem, o tyleż wieści o zwycięstwach na północy wywoływały mimowolne porównanie z opłakanym stanem rzeczy w armji głównej. Zapominano, jak to zwykle bywa, uwzględnić warunki nieprzyjazne, w których znalazła się ta armja, otoczona najlepszemi siłami angielskiemi, znacznie ją przewyższającemi liczebnie i nie znajdująca pomocy, lecz raczej niechęć i przeszkody ze strony ludności miejscowej. Zapominano o tem, że i Waszyngton umiał był okazać energję w śmiałych i niespodziewanych przedsięwzięciach, jakiem był atak na obóz heseński w Trenton w dzień Bożego Narodzenia 1776 r., kiedy to przeprawiwszy armję na łodziach przez okryty krą Delawar rzucił się na śpiących, rozpitych całodzienną hulanką niemców i rozproszywszy cały oddział zabrał paręset jeńców, a następnie przerzuciwszy się napowrót za Delawar w parę dni później również niespodzianie napadł na oddział angielski i rozbiwszy go cofnął się pomyślnie za rzekę. Zapominali o tem oficerowie, zwłaszcza młodsi, którzy pełni byli zapału i chęci czynu. Dawały się słyszeć szemrania na „fabiuszowską” politykę wodza. Jego oględne cofanie się przed wrogiem porównywano ze śmiałym postępem naprzód Gates'a i imię tego wodza powtarzano z coraz większem uznaniem.

Czuł Waszyngton całą niekorzyść dla siebie tych zestawień, nasuwających się mimowoli. Czuł to, że i armja i kongres potępią go, jeśli pozostawi Filadelfję anglikom bez żadnej próby nawet zważenia szans na szali bitwy. Ostrożność wszakże dowódzcy, rozumiejącego jak zgubną byłaby w tych warunkach porażka, i sumienność obywatela, która nakazywała mu raczej narazić na szwank swoją sławę wojskową, niż postawić

na wątpliwą kartę losy całej rewolucji, zmuszały go do taktyki oględnej. Gdy jednak przybyło cokolwiek posiłków, gdy duch armji został podniesiony przez wieść o nowem zwycięstwie Gates'a, postanowił wódz oddać rzecz pod rozwagę rady wojennej, aby nie decydować osobiście w sprawie, w której mógłby być sędzią stronnym.

Rady wojenne amerykańskie owego czasu rzadko przechylały się ku decyzjom śmiałym: więcej zwykle dostrzegano trudności, niż środków ich przezwyciężenia. Tak też było i w wypadku danym. Rada większością głosów zawyrokowała przeciw walnej bitwie. Wtedy Waszyngton postanowił wbrew ujemnym wynikom narady przedsięwziąść jeden z tych niespodziewanych, w największej tajemnicy obmyślanych, a cicho i szybko wykonanych ataków, które stanowiły jego siłę. Plan przezeń ułożony był doskonały i rokował zdawało się powodzenie.

Główny obóz anglików znajdował się w miasteczku Germantown odległem o jakiś dziesiątek mil od Filadelfji, a umieszczonem w ten sposób, iż pozycja ta dawała armji kontrolę nad wszystkiemi drogami wiodącemi ku Filadelfji z północy po lewym brzegu rzeki Schuylkill. Na to stanowisko postanowił Waszyngton uderzyć niespodziewanie. Zamiast więc cofać się, jak chciało postanowienie rady wojennej, Waszyngton posuwał wojsko nieznacznymi ruchami ku nieprzyjacielowi. Pierwszego października posunął się o 5 mil od Skippak ku wzgórzu Methacton w Worcester Township. Tu wypoczęło wojsko przez dzień następny. O siódmej wieczór, gdy rozłożone w obozie ogniska nadawały mu wszelkie pozory spokoju, trzy kolumny wyruszyły w największej ciszy. Wcześniej jeszcze wysłano armję Trouga z milicją, który miał

iść wzdłuż rzeki Schuylkill i o świcie uderzyć z wielkim hałasem na lewe skrzydło nieprzyjaciela utworzone z hessów, aby tym fałszywym atakiem odwrócić uwagę od miejsca, ku któremu skierowane były poważniejsze siły. Główna kolumna pod dowództwem Sullivane'a, Conway'a i Wayne'a wyruszyła gościńcem ku Filadelfji, kierując się na wzgórze Kasztanowe (Chestnut Hill). Stąd uderzyć miała na centrum pozycji nieprzyjacielskiej. Maxwell i Nash stanowili rezerwę tej kolumny, do której należał i Waszyngton. Dwie inne kolumny miały zajść obóz angielski z prawej strony. Green i Stephen z brygadą Mac-Dougall'a mieli rozkaz uderzyć na prawy flank; Smallwoed i Forman powinni byli iść starą drogą do Yorku i uderzyć z prawa i z tyłu. Obok tego wysłane zostały oddziały milicji dla ukazania się obok Filadelfji po obu jej stronach za Delawarem i za Schuylkill.

Przez noc zapadła gęsta mgła. Główna kolumna posuwała się w niej tak cicho, że nieprzyjaciel nie dostrzegł jej aż do chwili, kiedy znienacka uderzyła na bataljon lekkiej piechoty, stanowiący przednią straż. Nawpół senni padali anglicy pod bagnetem amerykanów, którzy płonęli zemstą za podobną porażkę swoich sił pod Paoli; ci, którzy zdążyli wymknąć się, uciekali śpiesznie, niosąc trwogę w dalsze części obozu. Pułaski ze swoimi dragonami gonił uciekających przez cały obóz. Groźny, jak bóg wojny, pędził na ogromnym czarnym koniu na czele niewielkiej swej konnicy, uszczuplonej przez liczne oddzielone od niej podjazdy. Klinga szabli jego połyskiwała jak błyskawica, a gdzie spadała, raziła jak gromem. Połowa pułku Musgrove'a, probującego uformować się na prędce, pierzchnęła przed tym groźnym widmem, a on ją gonił, szerząc panikę coraz dalej

w głąb obozu. Już znaczna część wrogów zapełniła drogę ku Filadelfji, tam szukając ucieczki.

Ale tymczasem druga połowa pułku Musgrove'a, umykając przed natarciem kawalerji, rzuciła się do masywnego murowanego domu stojącego niedaleko od placu targowego i z okien jego zaczęła strzelać do nacierającej kolumny amerykańskiej. Nie mogli oni zrobić wielkiej szkody i oddział z paruset ludzi postawiony tu dla obserwacji, mógłby był utrzymać ich w nieczynności przez czas trwania bitwy, a uwięzić w razie zwycięstwa. Ale brak rozumnej komendy w kolumnie amerykańskiej zgubił całą sprawę i popsuł owoce tak doskonale obmyślonego i rozpoczętego dzieła. Cała kolumna zatrzymała się dokoła domu Chew'a; strzelano do okien, nie czyniąc żadnej krzywdy oblężonym, którzy odpowiadali celnymi strzałami. Postanowiono wreszcie posłać po działa do Armstronga. Misja przeniesienia rozkazu tego przypadła Zielińskiemu, który tego dnia był w oddziale kawalerji tworzącym przyboczną gwardję Waszyngtona. Milicja Armstronga została odkrytą przez nieprzyjaciela jeszcze przed świtem, zaraz po rozpoczęciu głównego ataku. Uformowawszy swój oddział na wzgórzu po prawej stronie rzeki Schuylkill, ustawił on cztery działa, któremi rozporządzał i prażył z nich hessów uformowanych na przeciwległym brzegu rzeki, którzy odpowiadali podobnym ogniem działowym. Misja Zielińskiego była więc bardzo niebezpieczną; musiał on przebiedz znaczną przestrzeń wobec frontu nieprzyjacielskiego pod ogniem karabinowym, i przeprawić się przez rzekę, którą z obu stron osypywano pociskami armatniemi.

Pan Jan lubił podobne sytuacje. Spiął konia ostrogami i popędził najbliższą drogą, skośną linją

przecinając pole walki; kule gwizdały mu koło uszu, ale odważny młodzieniec nie zważał na nie, myśląc tylko o celu; nie była zresztą ta muzyka nową dla niego. Niebawem dotarł brzegu rzeki, która mętna i spieniona toczyła fale podmywające gliniany brzeg, wezbrane od niedawnych deszczów. Nie szukając przeprawy rzucił się Zieliński z koniem wpław przez rzekę. Zaledwie upłynął kilkanaście kroków, gdy dostrzegli go hessi i zaczęli mierzyć w niego. Kule z głośnym szumem padały w wodę u boków jego konia; ale żadna nie drasnęła ani jeźdzca, ani rumaka. Nagle porwał go silny w tem miejscu prąd i poniósł w kierunku pozycji amerykańskiej, która znajdowała się cokolwiek niżej na przeciwnym brzegu. Rzeka tworzyła w tem miejscu raptowny zakręt i lewy brzeg podnosił się nagle tworząc wzgórze, na którem stały baterje angielskie. Uniesiony prądem ku zakrętowi, Zieliński znikł z oczu hessom ukryty za wyniosłym brzegiem. Widząc się bezpiecznym od strzałów, skierował natychmiast konia w poprzek prądu i niebawem uczuł dno pod stopami rumaka.

Wywijając białą chustką, aby nie zostać przez pomyłkę postrzelonym od swoich, pędził teraz p. Jan ku wzgórzu, na którym stały działa amerykańskie.

Stanąwszy przed Armstrongiem oddał mu napisany przez Waszyngtona na siodle rozkaz i powtórzył łamaną angielszczyzną, na jaką już wówczas mógł się zdobyć, treść jego i okoliczności, które go wywołały.

Krótka opowieść ta obudziła najlepsze nadzieje w duszy Armstronga.

— Chwała Bogu, zawołał, zwycięstwo po naszej stronie.

Zostawiając jedną armatę i część milicji pod komendą pułkowników Eyers'a i Dunlap'a, z resztą wy-

ruszył w kierunku ku północy. Nie było jednak przeprawy bliżej jak na 2 mile wyżej na rzece, a droga wzdłuż brzegu była tak ciężka, że wypadło zostawić jeszcze drugie działo ciężkie wśród piaszczystych wzgórz. Nakazawszy kanonierom, aby drogą uboczną, ale bezpieczną przyłączyli się do oddziału Eyers'a, jeśli będzie się cofał, podążał Armstrong z resztą oddziału i dwiema lekkiemi armatami polnemi ku miejscu, gdzie główna siła amerykańska oblegała bezowocnie i niepotrzebnie garść anglików zabarykadowanych w kamienicy.

Tymczasem Howe, który był popędził za uciekającymi, zdążył dogonić i zatrzymać uciekające brygady. Donop sformował swoich hessów, a z Filadelfji nadążali szybkim krokiem grenadjerowie. Siły brytańskie sformowały się w linję bojową i dostrzegłszy jak nieznaczny był oddział przed którym uciekali, zaczęły ostro następować. Przednia straż amerykańska cofała się szybko ku miejscu, gdzie główne siły kolumny stały nieczynne zaprzątnięte oblężeniem Musgrove'a. Pułaski z kawalerją osłaniał ten odwrót, rzucając się to tu to ówdzie i wstrzymując w ten sposób częściowo pochód następującej linji nieprzyjacielskiej. Jednak musiał coraz szybciej odstępować przed ogromną przewagą wytrawnego żołnierza angielskiego i heskich najemników. Chociaż już było po dziewiątej, mgła osłaniała całe pole bitwy; niepodobna było zdać spobie sprawy z ruchów pojedyńczych oddziałów wojsk ani z ich rozmiarów. Wtem przypędził jeden z adjutantów z wieścią, że znaczny korpus wojska ukazał się po lewej stronie. Była to kolumna Stephena, która zbłądziwszy we mgle teraz dopiero zdążała na pole bitwy. Waszyngton sądząc, że to były posiłki nieprzyjacielskie, a widząc pędzącą

ku sobie przednią straż amerykańską sądził, że nastąpiła porażka na wszystkich punktach i zarządził odwrót ogólny. Pulaski z bólem w sercu usłyszał ten rozkaz: widział on doskonale położenie, rozumiał, że gdyby główna kolumna amerykanów, porzucając bezcelowe oblężenie kilkuset ludzi, uderzyła całą siłą na następującego nieprzyjaciela, byłaby go niechybnie zmusiła do odwrotu, a odwrót ten musiał stać się porażką, bo właśnie w tym czasie oddziały amerykańskie, które miały uderzyć na prawe skrzydło, spóźnione wskutek błądzenia we mgle, nadążały i gotowe były wziąść udział w bitwie. Śpieszył właśnie z tą radą do głównego dowódzcy, gdy dały się słyszeć trąbki zwiastujące odwrót.

Nie pozostawało mu nic więcej, jak tylko zasłaniać ów odwrót, aby uczynić go najmniej zgubnym. Wkrótce jednak cofanie zamieniło się na ucieczkę. Amerykanie uciekali teraz tą samą drogą, po której na parę godzin przedtem gonili byli przed sobą nieprzyjaciół. Około tysiąca żołnierzy poległo w tej pośpiesznej rejteradzie. Armstrong, który podążał z oddziałem swoim, jak sądził, aby wziąść udział w ostatecznej porażce nieprzyjaciela, musiał po krótkiej utarczce uciekać wraz z innymi.

Gęsta mgła i niepewność anglików co do sił amerykańskich, zastanowienie się wywołane przez tę odważną i niespodziewaną napaść ze strony tych, których uważano za zwyciężonych, przyczyniły się do ocalenia armji amerykańskiej, która szybko ochłonąwszy z pierwszego popłochu, odstępowała w dobrym porządku ku Pennybakers Mill. Tak skończyła się bitwa, doskonale obmyślana, pomyślnie rozpoczęta a tak fatalnie zakończona dzięki brakowi bystrego sądu i stanowczości w komendzie.

ROZDZIAŁ X.

Tajna wyprawa.

Pomimo niepowodzenia i znacznej straty w ludziach, bitwa pod Germantown wywarła raczej dodatni wpływ na usposobienie armji. Powodzenie pierwszego ataku, widok uciekającego nieprzyjaciela, podniosły zaufanie żołnierza ku sobie i ku dowódzcy. Przekonał się on naocznie, że gdy zostanie dobrze pokierowany, może odnieść zwycięstwo nad regularnemi i dobrze wyćwiczonemi siłami angielskiemi; widział, że nie samo cofanie się, lecz niekiedy i śmiały atak może być jego udziałem. Myślom tym dał wyraz Waszyngton w rozkazie dziennym wydanym nazajutrz do armji, w którym dziękował oficerom i żołnierzom za ich odwagę we wczorajszej bitwie. „Pomimo niepowodzenia, mówił w nim główny dowódzca, mogliście się przekonać, że nieprzyjaciel nie jest zabezpieczony przeciwko silnemu atakowi i że może być zmuszony do ucieczki, gdy śmiało nań się naciera”.

Dzień był jasny, niedzielny. Ton rozkazu dziennego pełnego otuchy, i porcje rumu udzielone żołnierzom przyczyniały się wielce do podniesienia usposobienia armji. Inne wszakże były uczucia oficerów a zwłaszcza wyższych. Upór w oblęganiu domu Chew'a i niewczesny rozkaz odwrotu podlegały surowej krytyce w gawędach, które oczywiście miały za przedmiot wypadki tego dnia. Krytyka była tem łatwiejszą, że gdy zestawiano opowiadania oficerów z rozmaitych oddziałów wojska stawało się oczywistem to, co nie mogło być tak widocznem w chwili bitwy, t. j., że „amerykanie sami uciekli z objęć zwycięstwa, wyciągającego ku nim ramiona”, jak się wyraził jeden z ge-

nerałów w liście do przyjaciela. Uwagi te krytyczne przesyłano sobie wzajemnie; dochodziły one uszu członków kongresu również jak i oficerów armji północnej. Jedna z takich uwag krytycznych, dosyć zresztą niewinnych, znalazła się w liście Conway'a do Gates'a. Powtórzona z ust do ust, doszła ona do Waszyngtona, który ze zwykłą szczerością zawiadomił o tem Conway'a pisząc mu krótko i węzłowato:

„Panie!

„Doniesiono mi, że w jednym z listów pańskich znajduje się następujące zdanie: „Niebo widocznie sprzyja sprawie amerykańskiej; inaczej słaby dowódzca i źli doradzcy byliby ją doprowadzili do zguby".

Ten drobny epizod został później wydęty przez niektórych nazbyt gorliwych historyków; ukuto z niego tak zwaną „intrygę Conwaye'a", chociaż cała ta domniemana intryga polegała w istocie tylko na nieoględnem odezwaniu się z jego strony i na plotkarskiem powtarzaniu tego odezwania się przez innych.

Pułaski mniej był krytycznie usposobiony względem głównego dowódzcy. Miał on dla niego wysoką cześć i przyjaźń, a rozumiał, że błędy popełnione w czasie akcji wynikały ze zbiegu okoliczności i braku dokładnych wiadomości o sytuacji; że łatwo je było dostrzedz po dokonanym fakcie, ale nierównie trudniej zorjentować się w chwili, gdy przy braku pozytywnych informacji wypada powziąść szybkie i stanowcze postanowienie. Natomiast położenie kawalerji w armji amerykańskiej, jak się ujawniło w ostatniej bitwie, nasuwało mu smutne myśli. Nieliczne to ciało zostało tak rozbite na poszczególne komendy dla zadość uczynienienia potrzebom pojedyńczych dowódzców, że zaledwie mała garść zostawała pod jego komendą. Czuł on doskonale, że inaczej mógłby był

zaciążyć na szali walki, gdyby zamiast owej garści miał był pod swoją komendą chociażby tylko cztery pułki stanowiące całość kawalerji amerykańskiej, a liczące razem niespełna 700 głów, zwłaszcza zaś gdyby pułki te znały dobrze służbę i wprawione były w karność wojskową.

To też postanowił od tej chwili wszystek czas wolny od służby w obozie poświęcać ćwiczeniom. Nie bardzo to w smak poszło wielu oficerom, którzy uważali wszelkie trudy za służbą czynną za zbyteczne. Szczególniejszy opór pod tym względem okazywał pułk Moylan'a. Pułkownik ten był poprzednio przez pewien czas adjutantem Waszyngtona, a przez to miał łatwy do niego przystęp. Z drugiej strony, będąc najstarszym w służbie z pomiędzy pułkowników kawalerji, liczył, że po odmowie Reed'a, dostanie dzięki protekcji głównego dowódzcy, komendę nad całą kawalerją. Przybycie Pułaskiego i objęcie przez niego dowództwa nad konnicą pokrzyżowało te plany. Oficerowie tego pułku, licząc na protekcję swego pułkownika, lekceważyli sobie rozkazy Pułaskiego.

Było w zwyczaju wśród oficerów armji amerykańskiej branie urlopów i przeciąganie ich poza termin. Działo się to zwłaszcza często w pułku Moylana. Waszyngton niejednokrotnie w listach do pułkownika zalecał surowe karanie podobnych wykroczeń; ale Moylan nie uważał na to. Pułaski dostrzegłszy podobne nadużycia, ukarał aresztem paru młodszych oficerów. Moylan głośno potępiał postępowanie swego naczelnika, co słysząc młodsi oficerowie zaczęli szemrać.

— Czyliż poto, mówiono, zwalczamy tyranję rządu, aby w samym wojsku znosić ucisk cudzoziemskich oficerów?

Jednego z aresztowanych uwolnił sam Moylan nie odwołując się do Pułaskiego. Pułaski skarcił go. Moylan zataił złość i postanowił zemścić się przy pierwszej sposobności, na kimkolwiek dla kogo Pułaski był życzliwy.

Wkrótce sposobność ta nasunęła się.

Zieliński był bardzo niespokojny o los Zabriske'ich od czasu zajęcia Filadelfji przez anglików. Wiedział, że stan ich majątkowy nie pozwalał na opuszczenie miasta i szukanie bezpiecznego schronienia, jak czynili zamożniejsi mieszkańcy. Pragnął zasięgnąć wiadomości, co się z nimi dzieje, a jeśliby potrzeba była, dopomódz w czem będzie mógł, gotowy odważyć się na wszystko dla bezpieczeństwa swojej damy.

Zwierzył się więc przed Pułaskim z powziętego zamiaru: przekraść się tajnie do Filadelfji i widzieć się ze swoją bogdanką, jeśli ją tam znajdzie, ratować — jeśli potrzeba zajdzie. Zamiar był nader niebezpieczny; gdyby bowiem został schwytany, posądzonoby go niewątpliwie o zamiar szpiegowania i musiałby zapłacić gardłem. Panu Kazimierzowi bardzo podobał się ten śmiały projekt; tembardziej, iż przy tej sposobności mógł zasięgnąć pożytecznych dla armji wiadomości o rozkładzie sił i fortyfikacjach nieprzyjacielskich; zalecił tylko Zielińskiemu wszelką ostrożność. Ponieważ wyprawa ta musiała odbyć się w największej tajemnicy, dał mu Pułaski tylko ustne zezwolenie od siebie; zwalniając od obowiązku brania urlopu od Moylan'a, w którego pułku zostawał wciąż Zieliński.

Zieliński zaopatrzył się w odzienie jakie zwykle nosili koloniści niemie ccy w Pennsylwanji; nabył od jednego z farmerów dwukołowy wózek, do którego za-

prząg najgorszego z brakowanych koni obozowych. Napełniwszy wózek jarzynami zakupionemi po drodze u kwakrów i udając kolonistę niemca, w czem mu dopomagała znajomość języka niemieckiego nabyta podczas wędrówek w Europie, zajechał pomyślnie Zieliński do linij brytańskich, które po bitwie w Germantown ściągnięte były bliżej ku Filadelfji.

Bez trudności przepuściły go forpoczty brytańskie, anglicy bowiem potrzebowali dużo żywności i wspierali wszelki przywóz jej do miasta. Złą angielszczyznę swoją tłómaczył Zieliński tem, iż jest kolonistą niemieckim z Lebanon, a słaba znajomość języka zwalniała go od obszernych tłómaczeń i pozwalała nie odpowiadać na niektóre pytania udając, iż ich nie rozumie. Ta nieznajomość języka czyniła go w oczach nieprzyjaciół mniej podejrzanym. Udzielono więc mu paszport na wyjazd z powrotem.

Po przybyciu do miasta sprzedał Zieliński jarzyny swoje po bardzo wysokiej cenie, targując się zawzięcie swoją łamaną angielszczną. Załatwiwszy się z tem i zostawiwszy konia i wózek w oberży, udał się do mieszkania Zabriskich. Wielką radość sprawiło tu jego ukazanie się, a wieści, które przynosił, wysłuchano z ogromną ciekawością. Panna Mary z wielkim strachem przyjęła wiadomość o niebezpieczeństwach, na które się narażał, domyślając się, chociaż nie śmiejąc przyznać się sobie samej o tem, że dla niej to czynił. Błagała go, aby był ostrożnym. Zapewnili wszyscy Zielińskiego, że nic im nie zagraża. Postępowanie generała Howe było raczej łagodne niż surowe; starał się on zjednać sobie ludność miasta. Oficerowie zaś myśleli o zabawie więcej niż o czemkolwiek innem. Zajęcie Filadelfji uważano za cios ostateczny zadany rewolucji. Sądzono, że chłody i brak pożywienia pod-

czas zimy rozproszą ostatecznie niedobitki armji Waszyngtona. Zamiast więc ścigać ją urządzano się w ten sposób, aby jak najprzyjemniej spędzić zimę wśród zabaw i rozrywek, jakich dostarczyć może wielkie miasto. Znaczna liczba torysów, którzy teraz tłumnie powracali do Filadelfji, ułatwiała znakomicie to zadanie. Domy zamożne lojalnych mieszkańców Filadelfji stały otworem dla oficerów zwycięskiej armji. Panie prześcigały się nawzajem w uprzejmości dla nich, olśnione europejskim polorem towarzyskim i umiejętnością prowadzenia konwersacji. Bale, zabawy, miłostki, teatr grany przez oficerów angielskich, koncerta, improwizowane wieczory literackie pochłaniały czas i uwagę powszechną, a dowódzcy armji ulegali pokusom towarzyskim na równi z oficerami niższej rangi.

Spędziwszy uroczy wieczór wśród serdecznie usposobionej dla niego rodziny, Zieliński udał się na noc do oberży.

Nazajutrz z rana wyszedł na ulicę, aby przyjrzeć się fortyfikacjom, które anglicy energicznie wznosili dokoła miasta. Niby więc błąkając się bez celu po mieście, które znał dobrze, posuwał się zwolna od Delawaru w kierunku ku Schuylkill. Niebawem ominął dom poprawy, gdzie ulokowani byli grenadjerowie angielscy, imponujący swoją wojowniczą postawą, świetnymi mundurami i urodą żołnierza tak jaskrawie odbijającą od braku jednolitego umundurowania, ubóstwa i wynędzniałych postaci żołnierzy amerykańskich. Minąwszy ich stanowisko, znalazł się w gaju prawie całkowicie wyrąbanym na budowę fortów, abatisu, blokhauzów i t. d. Jeden z blokhauzów*) wzno-

*) Blokhauz — dom zrobiony z grubych pni dla ochrony strzelców, ze strzelnicami w ścianach.

sił się po drugiej stronie rzeki Schuylkill u drogi wiodącej do Derby. Most pływający przerzucony został w tem miejscu przez Schuylkill, a pikiety angielskie stały na jego stronie wewnętrznej. Zwrócony przez nie udał się ku zachodniej stronie, trzymając się brzegu Schuylkill i niebawem natrafił na linję fortów wzniesionych w liczbie dwunastu wzdłuż drogi prowadzącej do Callowhill, a będącej wówczas zachodnią granicą miasta. Forty te broniły przystępu od lądu, skąd mogła być spodziewaną napaść, mianowicie po drodze do Germantown, po starej Yorkskiej lub po Frankfordzkiej. Wypatrzywszy wszystko, co tylko można było dostrzedz z tej strony i kilkakrotnie odsyłany przez szyldwachów, wobec których udawał zbłąkanego, rozpytując o drogę do Chestnut street, wrócił Zieliński do oberży i zabrawszy się z wózkiem wyruszył tą samą drogą, którą przybył. Pozwolenie, które był otrzymał na wjazd do miasta, posłużyło mu zarazem i do przebycia linij angielskich z powrotem. Gdy po długim objeździe pan Jan skierował się ku obozowi amerykańskiemu, było już ciemno. Wózek zwolna toczył się po niepewnej drodze; przeżywając w myślach wspomnienia miłych chwil spędzonych w towarzystwie panny Mary, Zieliński nie napędzał konia, który stąpał zwolna po kamienistej drodze. Nagle groźny okrzyk zbudził z zadumy podróżnego; zaledwie miał czas oprzytomnieć, gdy znalazł się otoczonym przez pikiet amerykański i schwytanym z wózka. Zieliński tłómaczył się, że należy do armji, że oddalał się z tajnem poleceniem swojej władzy, tłómacząc niem swoje przebranie. Nie zważając na to, związano mu ręce i odesłano go pod strażą do komendy właściwej, dla sprawdzenia tożsamości osoby.

Gdy zameldowano Moylanowi o tem, że jeden z

wolontarjuszów jego pułku oddalał się z obozu w przebraniu, wieść ta wprawiła pułkownika w zdumienie. Wyszedł z kwatery swojej, a poznając Zielińskiego, zaczął brutalnie strofować go.

— Ci cudzoziemcy, wołał, przychodzą tu po to jedynie, aby sprawiać zamieszanie i nieporządek w armji. Cóż się dziwić, że mamy tylu dezerterów i zdrajców, kiedy przyjmuje kongres bez różnicy wszystkich przybłędów z Europy! Idź pan do aresztu; śledztwo wykaże powody, dla których oddaliłeś się z obozu w tem przebraniu i bez pozwolenia naczelnika.

— Proszę pułkownika nie zapominać, że jestem szlachcicem polskim i że byłem oficerem w armji polskiej. Pozwolenie na opuszczenie obozu otrzymałem bezpośrednio od generała Pułaskiego. Gotów jestem dać wszelkie objaśnienia sądowi. Ale obrażających podejrzeń wysłuchiwać nie mam obowiązku i odpowiesz mi za nie pułkowniku.

— Oto jest moja odpowiedź, odrzekł brutalnie Moylan uderzając go laską po ramieniu. Wziąść go, zawołał do żołnierzy.

Zieliński zbladł z gniewu; wytężył siły, aby zerwać więzy; jeszcze chwila zdawało się a byłby się rzucił na Moylana i spoliczkował go. Lecz sznurki wpiły się w ręce jego, nie ustępując wysiłkowi; gdy jednocześnie żołnierze, widząc jego wysiłki, schwytali go za ręce i uprowadzili do aresztu.

Pułaskiego nie było w obozie w chwili, gdy to się działo. Objeżdżał on z oddziałem konnicy okolice, troskliwy, jak zawsze o bezpieczeństwo armji. Powróciwszy późno w nocy, p. Kazimierz dopiero nazajutrz z rana dowiedział się o uwięzieniu Zielińskiego. Natychmiast kazał go uwolnić i wezwał do siebie.

Zieliński opowiedział mu o całem zajściu i oświadczył się z zamiarem wyzwania Moylan'a.

— Słusznie waćpan postąpisz, odrzekł Pułaski; nie powinieneś znieść takiej obrazy, gdyż inaczej nie-tbędzie żadnej konsyderacji dla imienia polskiego w ej armji. Trzeba nauczyć tych gburów grzeczności. Jesteś waćpan ochotnikiem, więc chociaż bez rangi, możesz uważać się na równi z każdym oficerem. Weź waćpan świadków hr. Monfort'a i p. Bentalon. Obaj są ludzie grzeczni, pełni uczuć kawalerskich, a jako francuzi, muszą być w sprawach honorowych doświadczeni.

Przyjął z wdzięcznością tę radę Zieliński, a złożywszy szczegółową relację ze swej wyprawy i z wszystkiego co słyszał i widział w Filadelfji, udał się do obu wskazanych mu przez Pułaskiego oficerów francuskich. Wychowani w pojęciach europejskich o honorze, ktorych zasadą jest, iż w sprawach tych żaden kawaler usługi swej odmówić nie może, podjęli się obaj misji z wszelką gotowością.

Udali się więc natychmiast do Moylan'a, żądając w imieniu Zielińskiego satysfakcji. Pułkownik przyjął ich niegrzecznie; odpowiedział, że nie wie nic o tem, czy Zieliński jest „gentlemanem", a zresztą nie może się wdawać w pojedynek z podkomendnym, lecz każe go obić swemu służącemu.

Gdy dowiedzłał się Pułaski, że Moylan nie chce dać satysfakcji honorowej Zielińskiemu, przywołał go do siebie, zażądał tłómaczenia, dla czego obszedł się brutalnie z Zielińskim i kazał go uwięzić, bez sprawdzenia jego obrony, kiedy powoływał się na dane przez Pułaskiego pozwolenie wyjazdu z obozu i tajne polecenie. Moylan stawiał się bardzo; odpowiedział, że jest gospodarzem w swoim pułku i nikomu prócz

głównego dowódzcy nie myśli zdawać sprawy ze swego postępowania. Pułaski kazał go aresztować i zwołał na niego sąd wojenny, oskarżając go o „tchórzliwy i nieszlachetny czyn uderzenia p. Zielińskiego, gentelmana i oficera w wojsku polskiem, w chwili, gdy był bezbronny, o umieszczeniu go pod strażą bez powodu, nareszcie o niegrzeczną odpowiedź daną generałowi Pułaskiemu".**)

Sąd, złożony z oficerów kawalerji, zebrał się w oberży w White Pain pod prezydjum pułkownika Bland'a. Złożony przeważnie z rodowitych amerykanów, którzy niechętnem okiem widzieli próby zaprowadzenia karności na wzór europejski, sąd uniewinnił Moylana. Dotknęło to bardzo Pułaskiego. Wyrok ten przyjął jako obrazę osobistą, jako brak zaufania do jego oskarżenia i jawne popieranie niesubordynacji. Narzekał przed Lafayettem na ten wyrok; lecz generał francuzki opowiedział mu, że miał podobnyż wypadek.

Stosując się do rozkazu Waszyngtona, który wymagał, aby wszelkie wykroczenia, zagrażające bezpieczeństwu armji były surowo karane, oddał pod sąd wojskowy dwóch oficerów za niedbalstwo na pikietach. Sąd surowo ukarał mniej winnego; tego zaś, który najbardziej zawinił, usprawiedliwił jednogłośnie. Pocieszał się jeszcze Pułaski nadzieją, że Waszyngton zniesie wyrok podkopujący jego powagę. Ale Lafayette odjął mu i tę nadzieję, zapewniając, że główny dowódca unika z zasady zmian w wyrokach sądów wojennych, co najwyżej korzystając z prawa ułaskawienia w wyjątkowych wypadkach. Jakoż istotnie 31 października przysłał Waszyngton podpisą-

**) Historyczne.

ną przez siebie rezolucję sądu Pułaskiemu. Pan Kazimierz chciał natychmiast podać się do dymisji. Ale Lafayette odmówił go od tego zamiaru, zapewniając, że zwyczaj wydawania wyroków uniewinniających stał się powszechnym w armji amerykańskiej wskutek zbyt częstych bezzasadnych oskarżeń.

Każda przegrana bitwa, każda rejterada lub niezręczny krok taktyczny stawały się powodem oskarżenia, kongres bowiem żądał, aby w tych wypadkach poddawano zawsze badaniu postępowanie generałów. Niekiedy sami generałowie żądali sądu, aby mieć możność dokumentalnie udowodnić konieczność kroków, które potępiała opinja ogółu lub członków kongresu. Tak uczynił np. Saint Clair, gdy zmuszony okolicznościami nieprzezwyciężonemi ocalił armją północną przez pośpieszne opuszczenie Ticonderogi — krok, który był przez wielu krytykowany.

Istotnie nie dalej jak poprzedniego dnia odbył się sąd nad Wayne'em za porażkę jego pod Paoli. Chociaż trudno usprawiedliwić generała, którego oddział zostaje w nocy z nienacka napadnięty, sąd uznał go za niewinnego.

Postanowił więc Pułaski wytrwać na swojem stanowisku. Widział jednak, jak mu ustawicznie jakaś ręka niewidzialna psuła robotę. Każdy krok jego był fałszywie przedstawiany w oczach Waszyngtona; każdy plan zmierzający ku polepszeniu kawalerji pokrzyżowany. Domyślał się z łatwością w tem wszystkiem roboty Moylan'a, który korzystał z dawnej znajomości z Waszyngtonem, aby mu prywatnie donieść o każdym kroku swego najbliższego naczelnika, przedstawiając w niekorzystnem świetle jego postępowanie. Nieraz otrzymywał Pułaski niezasłużone uwagi od głównego dowódcy skarżącego się, że jego rozkazy nie

są przestrzegane, chociaż p. Kazimierz ciągle czuwał nad tem, aby zaprowadzić karność i porządek w swojej komendzie, a ci, którzy donosili o rozmaitych drobnych nadużyciach popełnionych przez jego ludzi, sami najwięcej przeszkadzali jego przedsięwzięciu.

Nie zważając na to, zajął się gorliwie Pułaski sprawami swojej komendy. Przedstawił Waszyngtonowi kilka memorjałów dotyczących potrzeb kawalerji, oraz sposobu zużytkowania zimowego wypoczynku dla ćwiczenia żołnierza i rekrutowania nowych w celu uzupełnienia braków. Napisał sam regulamin dla oficerów, aby dać im pojęcie o służbie w konnicy według najlepszych wzorów europejskich. Głównie zaś zaprzątała go myśl utworzenia szwadronu ułanów, który miał się składać ze 120 ludzi, uzbrojonych w piki, na wzór lekkiej konnicy polskiej. Chciał on sam osobiście wyćwiczyć ten oddział, dobrawszy uprzednio ludzi, aby mieć pod dowództwem swoim bezpośrednio garść żołnierzy, z którymi by na wszystko mógł się odważyć i wszystkiego dokonać. Chciało mu się pokazać amerykanom, czego dokonać można z takim oddziałem przy odwadze i przedsiębiorczości, jaką posiadał, a przez to zachęcić ich do utworzenia większego korpusu według tegoż typu.

Waszyngton aprobował ten plan i radził przedstawić projekt kongresowi.

Armja tymczasem zostawała we względnej nieczynności. Nieprzyjaciel spoczywał na laurach w Filadelfji, licząc nie bez słuszności, że chłody i niedostatek dokonają tego, czego nie uczynił jeszcze oręż jego i że pozostawiona samej sobie armja rewolucyjna stopnieje w ciągu zimy.

W tym czasie wypadło Pułaskiemu wziąść czynniejszy udział w sprawach ogólnych armji.

29 października zwołał Waszyngton radę wojenną w celu rozstrzygnięcia, czy ma armja uderzyć na Filadelfją i spróbować wysadzić z niej anglików, a jeśli nie, to jaką zająć pozycję?

Była to pierwsza rada wojenna, w której Pułaski brał udział. Dotąd bowiem niedostateczna znajomość języka angielskiego lub nieobecność w obozie stały mu na przeszkodzie.

Spotkał się tu Pułaski z gronem generałów, z których większość już znał, niektórych spotykał po raz pierwszy. Obok Waszyngtona brali udział w radzie Sullivan, Green, Stephen, La Fayette, których znał już dobrze p. Kazimierz, MacDougall, Maxwell, Smallwood, Knox, Varnum, niedawno przybyły z północy ze swoją brygadą, Wayne, Muhlenberg, Weedon, Huntington, Convay i sam Pułaski, którego nominacja była najświeższej daty.

Waszyngton rozpoczął posiedzenie, przedkładając zgromadzeniu stan obu armji walczących. Według dokładnych doniesień i ścisłych obliczeń armja angielska w Filadelfji i jej okolicach liczyła 10,000 ludzi. Założyli oni baterje na Providence Island na Delawarze, naprzeciwko portu Mifflina, z której ciągle molestują załogę tego portu. 22-go usiłowali wziąść port Red Bank, ale bezowocnie; 23-go statki ich i baterje lądowe bombardowały port Mifflin, ale zostały odparte. Pomimo obstrukcji na rzece utworzonych z zatopionych statków, udało się nieprzyjacielowi ustanowić komunikację między Filadelfją a flotą przez jednę z wysp rzecznych. Siły amerykańskie wynosiły 8313 żołnierza kontynentalnego i 2717 milicji prócz załogi w Mud Island złożonej z 300 żołnierzy i w Red Bank liczącej 350 ludzi. Prócz tego w pobliżu znajdowały się dwa oddziały milicji złożone z 300 i 500

ludzi. Dwóm tysiącom milicjonerów kończył się wkrótce termin służby; spodziewano się natomiast przybycia nowych w tej samej ilości. Przytoczył dalej wódz naczelny, jako pogłoskę, nie stwierdzoną jeszcze przez źródła urzędowe, wieść o poddaniu się na północy armji angielskiej pod dowództwem Bourgoyne'a generałowi amerykańskiemu Gates'owi.

Przedstawiwszy w ten sposób stan rzeczy, postawił Waszyngton pytania: czy mają uczynić próbę owładnięcia Filadelfją, jaką mają zająć pozycję i co przedsięwziąć względem portów na Delawarze. — Po długich dyskusjach większość wypowiedziała się przeciwko atakowi na Filadelfją; za miejsce najwłaściwsze dla obozu wskazano wzgórze sąsiednie umieszczone niedaleko White Marsh; portom postanowiono posłać posiłki i żądać również posiłków dla armji od Gates'a.

Przesunęła się więc armja ku White Marsh, stając w odległości 15 mil od Filadelfji. Tu urządzono obóz tak, aby przez dłuższy czas wojsko wypocząć mogło, gdyż z zachowania się nieprzyjaciół widocznem było, iż nie zamierzają nic poważnego przeciwko niemu. Jakoż jednostajność życia obozowego była zakłócona tylko przez wieści z dalszych lub bliższych okolic. Trzynastego listopada przyszła smutna wieść o opuszczeniu przez amerykanów portu Mifflin.

Pułaski oddawał się teraz gorliwie pracom nad kawalerją, pisał swój regulamin, przygotowywał projekta. Tak upłynął miesiąc cały. Brak potrzebnych rzeczy zwłaszcza odzienia wobec mrozów, które następowały, dawał się odczuwać boleśnie w obozie. Tem przykrzej było godzić się z temi brakami, że tuż obok nieprzyjaciel wygodnie umieszczony w wielkiem mieście korzystał ze wszystkich jego dogodności i

przyjemności, oraz z dowozu żywności z okolic zaludnionych przez torysów.

Postanowił więc Waszyngton ku końcowi listopada jeszcze raz zwołać radę wojenną i znowu postawił pytanie, czy nie da się cośkolwiek przedsięwziąść przeciw Filadelfji. Gdy zaś odpowiedź wypadła przecząca, gdy obejrzenie fortyfikacji wykonane osobiście przez Waszyngtona nazajutrz przekonało go o dokładności przywiezionych przez Zielińskiego wiadomości a zarazem i o tem, że trudno myśleć o powodzeniu w tym kierunku, zwołał wódz naczelny nową radę w celu zdecydowania, czy armja ma się udać na zimowe leże i jaką w tym celu obrać miejscowość.

Było w zwyczaju u Waszyngtona, po wyłuszczeniu położenia rzeczy i po postawieniu pytań, żądać od generałów należących do rady przedstawienia ich opinji na piśmie.

Pułaski, któremu bardzo nie podobała się oględność generałów amerykańskich, wystosował następującą notę w odpowiedzi na pytania głównego dowódcy:

„Pozostawiam wybór miejscowości tym, którzy dobrze są obeznani z krajem; ograniczam się tylko do wytknięcia korzyści, które wynikną z kontynuacji czynności wojennych i niedogodności towarzyszących oddaleniu się na kwatery zimowe. Jeśli będziemy trwali w walce, doda to odwagi naszym przyjaciołom, będzie przeciwdziałać zniewieściałości nowo-zaciężnego żołnierza, wprawi go do trudów, które przebywają weterani, będzie ćwiczyło go w zawodzie i kształciło w nim. Przeciwnie, nieczynność zimowego wypoczynku zrujnuje armję, zniechęci kraj, pozostawi obszar terytorjum otwarty dla rabunku i wyludnienia przez nieprzyjaciela. Nie wiemy przytem, jakie po-

siłki otrzyma nieprzyjaciel przed początkiem nowej kampanji. Sądził bym tedy, że należy pozwolić odd-dalić się tylko ludziom osłabionym z każdego pułku do miejsca, gdzie by pod kierunkiem oficerów mogli się poprawić; z pozostałą zaś armją uczynił bym energiczny atak na nieprzyjaciela skoro Schuylkill zamarznie.

K. Pułaski.

„W razie jeśli przyjęta będzie decyzja o wypoczynku zimowym, upraszam Waszą Excellencje pozwolić mi pozostać z oddziałem kawalerji i piechoty w pobliżu linji nieprzyjacielskich"*).

Przyszłość usprawiedliwiła w znacznym stopniu przewidywania Pułaskiego, dotyczące wpływu zimowego wypoczynku na armję. Ale w chwili danej nikt w obozie nie miał ani energji do odważnego czynu, ani wiary w powodzenie. Przytem tajne wieści o postępach dyplomacji Franklina i Deane'a w Wersalu czyniły pożądanem jak największe przedłużenie wojny bez narażania się na cios rozstrzygający, który mógł wypaść niepomyślnie. Jakoż ku końcowi grudnia traktat z Francją został zawarty.

ROZDZIAŁ XI.

Valley Forge.

Pewnego poranku na początku grudnia Zieliński z młodym oficerem francuzkim, kapitanem Balleville, który był również w kawalerji i z paru dragonami wysłany został na rekonesans w dalsze okolice obozu.

---

*) Autentyczne.

Poranek był chłodny i słoneczny, powietrze rzeskie i wzmacniające. Konie szły raźno; dwaj młodzi ludzie pełni animuszu, gwarzyli przyjaźnie, opowiadając sobie wzajemnie przebyte koleje i przygody. O ile bowiem stosunki polaków z amerykanami były przeważnie dalekie z powodu trudności językowych i różnicy usposobienia, o tyle z francuzami przyjaźń zawiązywała się bystro; zarówno bowiem Pułaski, jak Rogowski i Zieliński mówili dość biegle po francuzku; co zaś do temperamentu istniała zupełna zgodność między obu narodowościami: niedarmo we Francji nazywają polaków francuzami północy. Obaj więc czuli do siebie sympatją a to, co oddalało od amerykanów, tem bardziej zbliżało ich ku sobie.

Opowiadał właśnie Zieliński o przejściach swoich z Moylan'em i zwierzał się Ballevillowi z bolesnego uczucia, którego pozbyć się nie mógł na myśl, że pozostawił bez ukarania obrazę doznaną od pułkownika.

— Niech mi się tylko nasunie sposobność, mówił, a zmuszę go do tego, że sam mnie wyzwie.

Zaledwie wymówił te słowa, gdy na wzgórzu przerzynającem ich drogę ukazał się jeździec w mundurze pułkownika dragońskiego. Zieliński odrazu poznał w nim Moylan'a.

— O wilku mowa, a wilk tu! — zawołał do Balleville'a. Muszę się z nim rozmówić. I oddając mu swą ułańską lancę, zbliżył się do skraju drogi porosłego lasem. Szybkim ruchem złamał gałąź wierzbową i na prędce oczyściwszy od liści przybliżył się do Moylan'a, który widział, że na coś niedobrego się zanosi, wstydził się jednak skręcić z drogi lub się cofnąć.

— Pan pułkownik nie uważał za właściwe dać mi satysfakcji honorowej, gdy jej w sposób kawalersk

żądałem; teraz będę musiał nakłonić go do tego inną drogą, rzekł Zieliński po francuzku.

— Nie rozumiem po francuzku — odrzekł Moylan po angielsku — starając się wyminąć Zielińskiego. Lecz p. Jan szybko skręcił konia, zasłaniając mu drogę.

— Nauczę ja cię francuzkiej mowy, francuzkiej grzeczności — zawołał Jan — wymierzając pułkownikowi parę ciętych razów po plecach wierzbowym kijem, który miał w ręku.

Moylan zaczął kląć i porwał się za szablę; lecz Zieliński w jednej chwili odskoczył od niego, a wziąwszy lancę z rąk Balleville'a stanął w pozycji bojowej.

Moylan wydobył pistolet z olstrzy, lecz zanim zdołał go skierować, Zieliński zrobił zręczne pół obrotu koniem i uderzył go płazem drzewca po plecach. Pułkownik wyleciał ze strzemion i rozciągnął się jak długi na gościńcu*). Zieliński zaś spiął konia ostrogami i pojechał dalej. Moylan szybko podniósł się i ocierając kurz z odzienia klął okrutnie i krzyczał na dragonów, aby gonili za Zielińskim i aresztowali go. Lecz byli to dragoni z pułku Sheldona i nie myśleli słuchać rozkazów obcego pułkownika; spoglądali tylko na swego kapitana.

— Pojedziesz ze mną do obozu, aby zdać raport generałowi — rzekł głośno Balleville do jednego z dragonów; a wy jedźcie za p. Zielińskim i powiedzcie, że go rychło dogonię, rozkazał innym.

Po tym epizodzie Moylan zaniósł skargę do Waszyngtona, przedstawiając w przesadnem świetle ową napaść i żądając sądu nad Zielińskim; lecz Pułaski

---

*) Historyczne.

odpisał, że Zielińskiego nie ma w obozie i przesłał głównemu dowódzcy dokładny raport o zajściu przez dragona, który był jego świadkiem. Gdy Zieliński powrócił, Pułaski kazał go aresztować, ale jednocześnie napisał do Waszyngtona, iż z powodu nieobecności Moylana nie może teraz zwołać sądu, prosząc, aby mógł Zielińskiego uwolnić na słowo, zaręczając, że nie uchyli się od odpowiedzialności. Sprawa ta odciągała się wciąż, a ponieważ i Moylanowi nie pilno było paradować przed sądem z guzami, na które dobrze zasłużył, więc do zwołania jego nie przyszło wcale. Ale od tego czasu stosunki Pułaskiego zarówno z samym Moylane'em, jak i z całym jego pułkiem stały się wprost niemożliwe. Był to pułk najbardziej rozluźniony pod względem karności wojskowej, niedbały w służbie a oporny wszelkim próbom polepszenia, które niechęć oficerów czyniła wprost niemożliwemi. Postawił więc Pułaski nad nim krzyżyk i zajął się głównie pozostałymi, zwłaszcza zaś pułkiem Blanda, który i z charakteru dowódzcy i ze składu swego najlepiej się nadawał do wszelkich udoskonaleń.

Nazajutrz po owem zajściu 5 grudnia, armja amerykańska została zaniepokojona przez ukazanie się anglików na Chestnut Hill. Atakowali oni prawe skrzydło obozu amerykańskiego, lecz bez należytej energji i bez widocznej chęci do poważniejszej walki. Milicja Pennsylwanji stawiła im czoło pod dowództwem pułkownika Irvine'a, który został raniony i dostał się do niewoli. Przez dwa dni stał Howe nieczynny naprzeciwko obozu amerykańskiego; w niedzielę 7-go zrobiono znowu atak na lewe skrzydło, który odparty został przez korpus Morgana. Po tych paru próbach, których głównym celem było, jak się zdaje, dać odczuć amerykanom niedogodność zbyt

blizkiego sąsiedztwa z Filadelfją, anglicy powrócili do tego miasta.

Jakoż nie pozostała ta demonstracja bez skutku. Waszyngton postanowił obrać bezpieczniejsze i bardziej odległe ustronie na wypoczynek zimowy. Miejsce wyznaczone nazywało się Valley Forge.

Była to dość obszerna dolina, otoczona lesistemi wzgórzami, na prawym brzegu rzeki Schuylkill, w odległości dwudziestu paru mil od Filadelfji. Miejscowość ta nadawała się dobrze do ufortyfikowania; przepływająca przez dolinę rzeczułka dawała dostateczną ilość wody na potrzeby armji, a las otaczający materjał na chałupy, do których budowania przystąpiono natychmiast, aby zabezpieczyć żołnierzom ciepły i zdrowy przytułek na zimę. Wszyscy ludzie, prócz tych, których służba powoływała do szeregów, zajęci byli gorliwie rąbaniem drzewa, ciosaniem kloców i budowaniem domków, krytych gałęziami. Każdy z nich miał mieścić dwunastu żołnierzy lub odpowiednią (stosownie do rangi) mniejszą ilość oficerów. Stawiano je równymi szeregami, pozostawiając długie i równe ulice między niemi, tak iż obóz przybrał niebawem postać miasta.

Pułaski, jako generał brygady, dostał w rozporządzenie swoje osobny domek, w którym mieszkał razem z Rogowskim i Zielińskim. Trudy wojenne ustąpiły miejsce pracom bardziej pokojowym około potrzeb i dobrobytu armji, który był zresztą w bardzo opłakanym stanie. Odzienie niszczyło się coraz bardziej a dostać nowego nie było możności. Wielu z żołnierzy musiało spędzić cały dzień w chałupach, nie mając w czem wyjść. Ogromny brak trzewików powodował, że wielu miało nogi poranione lub poprzymrażane, a często można było widzieć krwawe ślady

na śniegu pozostawione przez tych nieszczęśliwych. Najgorzej wszakże było z żywnością. Nie było wcale regularnego jej dowozu. Istnienie armji zależało od powodzenia wycieczek na licznych drogach, przechodzących w pobliżu obozu, które chwytały partje bydła i mąki podwożone przez torysów dla anglików do Filadelfji.

Podjazdy te uformowane z ochotników musiały staczać ustawiczne walki z ludźmi konwojującymi dowozy angielskie. Rogowski i Zieliński, rozumie się, nie ominęli sposobności i z prawdziwym zapałem oddawali się temu sportowi. Zdarzało się jednak, iż pomimo odwagi i zręczności podjazdy amerykańskie wracały z próżnemi rękami. Cała armja zostawała nieraz przez dzień lub dwa bez żadnego pożywienia. Wtedy dawało się słyszeć szemranie a oficerowie, przechodząc koło chałup żołnierskich, widzieli nieraz wynędzniałe twarze, wychylające się przez drzwi i słyszeli okrzyki:

— Bez chleba niema żołnierzy!

Położenie oficerów nie było wszakże lepsze. Sam Waszyngton ze sztabem swym miewał często za cały obiad półmisek kartofli i kilka kawałków szynki. To też choroby i dezercja rychło zmniejszyły armję więcej niż do połowy. Najgorsze czasy przyszły ku końcowi zimy. W marcu żołnierze opuszczali obóz całemi dziesiątkami. Nawpół nadzy, okrywający łachmany bielizny lub zupełną nagość ciała kołdrami, w które owijali się, przepuszczając ręce przez zrobione umyślnie otwory, udawali się oni do Filadelfji, gdzie sprzedawali oręż, aby kupić chleba.

Pułaskiemu i towarzyszowi jego nie wypadło doczekać się tych najsmutniejszych chwil, których owocem było prawie całkowite rozproszenie się armji. Nie

mogąc bowiem wyżywić żołnierza Waszyngton przez palce patrzał na dezercją: każdy ubywający człowiek ułatwiał zadanie prowiantowania armji rewolucyjnej, co zaś do czynności, to tej nie spodziewano się przed wiosną. Wilja Bożego Narodzenia spędzona przez naszych tułaczy wspólnie przy zbyt skromnej wieczerzy, przypomniała im kraj i zwiększyła tęsknotę za nim. 31 grudnia otrzymał Pułaski rozkaz wyruszenia z kawalerją ku Trenton i okolicom, gdyż dostawanie furażu dla koni stawało się coraz to trudniejszem.

ROZDZIAŁ XII.

Wizyta rodaka.

Trenton był w czasie rewolucji wioską o paru dziesiątkach domów, rozrzuconych wśród ogrodów przy dwóch wązkich ulicach. Przybywając tu przekonał się Pułaski, że nie będzie miał gdzie umieścić swojej kawalerji, tem bardziej, że mieli tu już kwatery zimowe marynarze, którzy nie myśleli ustępować miejsca kawalerzystom.

Niemożliwem było także wyżywienie tylu koni w tak małej wiosce. Posłał więc natychmiast oficerów dla zbadania okolic, a otrzymawszy ich raporta umieścił pułki Baylora i Moylana w Flemington, Blanda i Sheldona w Pennytown i okolicznych wioskach; sam zaś został w Trenton z oddziałem wyborowym, który osobiście ćwiczyć zamierzał, aby utworzyć z niego kadry do zamierzonego oddziału ułanów.

Pułaski zajmował tu dwa niewielkie pokoje w mieszkaniu pewnej wdowy, niemłodej kobiety, której mąż zginął na morzu. Pełna była zapału dla sprawy

narodowej i uwielbienia dla Pułaskiego, słysząc często opowiadania Rogowskiego o jego czynach w Polsce. Przedni pokój obszerniejszy służył za sypialnię dla Rogowskiego i Zielińskiego oraz za wspólną jadalnię i poczekalnią dla interesantów. W drugim mieszkał i pracował pan Kazimierz. Dzień upływał zwykle na musztrach, na pracach około zaopatrzenia w odzienie i broń żołnierzy, zarządzenia reparacji siodeł i rynsztunku, co nie było łatwem wobec braku rzemieślników i niesłychanie wysokich cen. Długie wieczory zimowe spędzali zwykle we troje, siedząc przy kominku i gwarząc bądź o sprawach bieżących Ameryki, bądź, co najmilszem było, potrącając o dawne wspomnienia, gawędząc o Polsce, medytując nad szczupłemi wiadomościami o kraju, jakie niekiedy spotykały się w gazetach francuzkich lub amerykańskich i uzupełniając je rozmaitemi przypuszczeniami i domysłami.

Doświadczenie z ostatnich kilku miesięcy nabyte w armji amerykańskiej dawało także wiele materjału do medytacji naszym rodakom, a zwłaszcza Pułaskiemu, który chociaż w innych warunkach i pojęciach wychowany, otwarty miał umysł na wszystko dobre i postępowe, oraz Zielińskiemu, który pełen był młodzieńczego entuzjazmu dla sprawy wolności i pomimo paru przykrych doświadczeń z jednostkami cenił wysoko ogół amerykanów za ów szlachetny poryw do oręża w obronie praw obywatelskich, za wytrwałość w tej walce, za poświęcenie dla sprawy ogólnej. Rogowskiego umysł, napojony od dziedzińśtwa rozmaitymi przesądami przez wychowanie klerykalne a zesztywniały w szkołach jezuickich, trudniej poddawał się wpływom nowego otoczenia.

Skłonny więc był przedewszystkiem dostrzegać złe strony i dziwactwa amerykanów.

Z właściwą sobie przenikliwością odczuwał Pułaski, że prócz braku wyrobienia wojskowego ze strony żołnierza i niechęci niektórych oficerów, było coś jeszcze, co udaremniało jego gorące pragnienia stać się użytecznym i pracę nad wytworzeniem tej harmonji wewnętrznej, tego zaufania wzajemnego między dowódzcą a podkomendnymi, bez których korpus armji przestaje być żywym organizmem, przejętym jednym duchem. Pomimo karności wojskowej, pomimo tradycyjnego w Anglji rozróżnienia pomiędzy klasą zamożniejszą, z której rekrutowali się oficerowie, a ludem wiejskim i miejskim, farmerami, rzemieślnikami, stanowiącymi główną masę armji, dawał się odczuć w niej jakiś zupełnie nowy duch wolności i równości, który wyciskał piętno swoje na wszystkich stosunkach w wojsku, zarówno jak i w życiu cywilnem. Pułaski przejęty był głęboko poczuciem równości „braterskiej szlachty i ideałem „złotej wolności", jakie panowały w Polsce. Ale tu było coś zupełnie nowego dla niego i poczęści obcego mu: było to zupełne zrównanie ludzi z wykluczeniem wszelkich różnic stanu, a obok tego dążność do załatwiania ważnych spraw publicznych drogą wspólnej narady, do odwoływania się w każdym ważnym wypadku ku opinji publicznej.

Te właśnie klasy, które przywykł był Pułaski uważać w Polsce za najmniej znaczące, rzemieślnicy i włościanie, wykazywali tu największy patrjotyzm, najwyższe poczucie godności osobistej i obywatelskiej. Często żołnierze pochodzący z tych klas i pozbawieni wszelkiego wykształcenia, wprawiali go w zdumienie słowami i czynami swemi, świadczącymi o bezwzględnem oddaniu się sprawie wolności, o takiej dojrzałości myśli obywatelskiej, którą rzadko mógł spotkać nawet wśród szlachty polskiej przez kilka wie-

ków już przyzwyczajonej do rządów politycznych.

Wszak to owi farmerzy, uzbrojeni w swoje myśliwskie strzelby lub w muszkiety wyjęte z arsenałów kolonialnych zebrali się gromadnie nie czekając na żadne rozkazy i uderzyli 19 kwietnia 1775 pod Lexington na oddział angielski wysłany przez Gage'a w celu zabrania arsenałów i zapasów wojennych kolonistów oraz aresztowania głównych przywódców zaczynającej się rewolucji. Oni to podali w ten sposób hasło do walki zbrojnej, kiedy mądrzy i zamożni starali się wciąż dyplomatyzować i godzić to, co nie było do pogodzenia: duch wolności i despotyzm. Oni to owem pierwszem zwycięztwem nad regularnem wojskiem obudzili zapał powszechny i zaufanie do sił własnych. Porównywając zachowanie się tych prostych ludzi, często rubasznych w obejściu i mówiących lichym językiem, z postępowaniem szlachty polskiej oraz oficerów armji amerykańskiej, zaczynał Pułaski wątpić o tem, czy koniecznem jest, aby rządy narodu spoczywały w ręku jednej klasy wyżej ukształconej; zaczynał także tracić wiarę w wyższą godność takiej uprzywilejowanej klasy. Bo jeśli godność szlachty polskiej polegała na tem, że nadstawiała pierś w obronie kraju, to czyliż nie czynili tu tegoż w obronie wolności owe dwie klasy, mieszczan i rolników, odsądzone w Polsce od podobnego zaszczytu i połączonego z nim udziału w rządach krajem?

Takie myśli, pytania i wątpliwości przesuwały się przez umysł Pułaskiego. Nawał wszakże pracy bieżącej nie pozwalał mu zdać sobie jasno sprawę z nich i wysnuć ostatnie konsekwencje; niechętnie też wypowiadał zdanie swoje o rzeczach tych przed młodszymi współtowarzyszami, czując, że jeszcze nie jest sformowane ostatecznie. Niebawem jednak na-

stąpiło spotkanie, które wywarło potężny wpływ na sposób myślenia p. Kazimierza i przyczyniło się do zupełnego wyjaśnienia dla niego tego, co dotychczas niejasno przeczuwał.

Pewnego wieczoru styczniowego, gdy trzej polacy siedzieli jak zwykle przy kominku a na dworze śnieg pruszył i wichura zamiatała białe jego płatki, dało się słyszeć pod oknem stąpanie konia, a za chwilę ktoś zapukał do drzwi. Na zaproszenie wejścia ukazał się młodzieniec o wyrazistych chociaż nieregularnych rysach twarzy, cały okryty śniegiem i przemówił po polsku:

— Czy mam zaszczyt widzieć generała Pułaskiego?

Wielka była radość i zdumienie wszystkich na dźwięk polskiej mowy. Nowoprzybyły zrzucił płaszcz i przedstawił się jako inżynier armji północnej, Tadeusz Kościuszko. Teraz dopiero przypomniał sobie Pułaski, iż słyszał od generała Warnum, który przybył był z obozu Gates'a o inżynierze polaku, który położył wielkie zasługi, i o którym wszyscy odzywali się z wielkiem uznaniem. Nazwisko jego jednak było zbyt trudne dla angielskiego ucha, aby Warnum mógł je spamiętać.

Imię Kościuszki nie było wszakże obcem Pułaskiemu. Będąc w Paryżu, słyszał o nim od generała Miączyńskiego, jednego z wybitnych konfederatów, który odzywał się o nim, jako o wiele obiecującym młodzieńcu. Po ukończeniu bowiem szkoły rycerskiej został Kościuszko, jako odznaczający się w naukach i pilności, wysłany kosztem Adama Czartoryjskiego, generała Ziem Podolskich i jednego z gorliwych opiekunów szkoły, do Paryża dla dalszych studjów, którym oddawał się z wielką gorliwością, ucząc

się obok inżynierji wojskowej także rysunku i czytając dużo. Miączyński słyszał o nim od swoich przyjaciół francuzów. Ponieważ jednak partja Czartoryjskich przeciwna była konfederacji, wiadomem zaś było, że Adam Czartoryjski popierał Kościuszkę, nie poznał się z nim osobiście ani Miączyński, ani nikt z członków generalicji konfederackiej, mieszkających w Paryżu. Dopiero na krótko przed wyjazdem Pułaskiego do Ameryki, opowiadała mu znowuż marszałkowa Lubomirska romantyczną historję o Kościuszce, który po skończonych już studjach w Paryżu, powrócił był do kraju. Miał on kochać się w pannie Ludwice Sosnowskiej, bywając często jako sąsiad w domu jej ojca, głupiego i napuszonego senatora drążkowego. Młodzieniec, pełen zapału dla nowych idei, z któremi się poznał we Francji, przywiózł z sobą pisma wielu publicystów i filozofów francuskich i czytywał je z panną; dzieła polityczne Rousseau'a zapalały oboje dla ideałów, wolności i równości, a jego *Nowa Heloiza* otworzyła im oczy na obowiązki, jakie wkłada miłość prawdziwa na kochanków i na prawa jakie im daje. Tymczasem chytry Sosnowski wygrał pewnego dnia w karty od niedołężnego Stanisława Lubomirskiego całą wieś, Swiniogadczyznę. Gdy przyszło do likwidacji długu karcianego, stanęło między starymi, że syn dłużnika ożeni się z Ludwiką, aby w ten sposób utrzymać majątek w rodzinie. Panna Ludwika, która szczerze kochała Kościuszkę, z przerażeniem dowiedziała się, iż zostaje sprzedaną niemiłemu człowiekowi. Przejęta wysoką czcią dla uczucia miłości, pełna myśli świeżych, które zaczerpnęła we wspólnej z nim lekturze, błagała p. Tadeusza, aby ją ocalił od tej hańby i nieszczęścia. Postanowił więc Kościuszko porwać pannę, ale ufając Adamowi

Czartoryjskiemu jak ojcu, zwierzył się mu z planu swego. Czartoryjski nie odradzał, lecz wygadał się z tem przed królem, który ostrzegł Sosnowskiego.

Gdy Kościuszko przygotowawszy wszystko do ucieczki zbliżył się o naznaczonej godzinie do pałacu, znalazł go próżnym, gdyż Sosnowski pośpiesznie wyjechał uwożąc z sobą żonę i córki. Zrozpaczony młodzieniec opuścił kraj. Przedtem już słyszał często Kościuszko o zatargu pomiędzy koloniami amerykańskiemi a rządem Anglji od Adama Czartoryjskiego, który był przez parę lat w bliskich stosunkach z generałem Karolem Lee wówczas mieszkającym u niego w Warszawie przy boku króla, a obecnie walczącym za sprawę amerykańską. Postanowił więc wyjechać do Ameryki i tam poświęcić życie w walce o wolność.

Cała ta historja przypomniała się Pułaskiemu teraz gdy posłyszał nazwisko gościa Przyglądał więc mu się z ciekawością i współczuciem, podczas gdy przybyły mówił cicho i nieśmiałym tonem.

— Szczęśliwy zbieg okoliczności sprowadził mię z armji północnej w te oto strony. Zboczyłem więc z drogi swojej, aby złożyć hołd słynnemu wodzowi konfederatów.

Pułaski uścisnął serdecznie dłoń gościa, dziękując za ten „niezasłużony zaszczyt" jak mówił i błagając go, aby zechciał podzielić z nim kawałek chleba i żołnierskie łoże przez kilka dni przynajmniej.

— Wielką radość nam wszystkim waćpan przynosisz. Toć to miła dla ucha polskiego ta ukochana mowa nasza, a cóż dopiero w ustach tak uczonego kawalera.

I opowiedział co słyszał o nim od Miączyńskiego, zamilczając rozumie się delikatną sprawę historji miłosnej. Kościuszko tymczasem siadł przy ogniu

a za nim Rogowski krzątał się koło wieczerzy, którą pomimo biedy chciał urządzić po staropolsku, t. j. obfitą i osmaczoną serdeczną gościnnością, Pułaski mógł rozpatrzeć jego powierzchowność. Pan Tadeusz miał twarz nie piękną i nieregularną. Nos był cokolwiek zadarty, policzki zapadłe uwydatniały kości szczękowe; nie nosił wąsów zawiesistych jakie mieli konfederaci. Ale z oczu biło światło tak łagodne, ciche i głębokie, że opromieniało całą postać jego, czyniąc ją niezwykle pociągającą. Tyle dobroci i rozumu można było wyczytać w tych oczach, a obok tego posiadał skromność niezwykłą i zupełne zapomnienie o sobie. Strój jego był nad wyraz prosty, prawie zaniedbany. Był o rok starszy od Pułaskiego, lecz wydawał się znacznie młodszym zarówno z powodu braku zarostu jak i dla nieśmiałości swojej. Podczas gdy Pułaski przyglądał się tej dziwnej powierzchowności, czując jednocześnie, że coś go bierze za serce i ciągnie do tego człowieka, Kościuszko opowiadał, że po zwycięztwie nad Bourgoynem i kapitulacji jego armji, generał Gates powołany został na prezesa założonego świeżo Wydziału Wojennego przy kongresie. Udał się więc do Yorktown, gdzie zasiadał kongres, a że na północy po uwięzieniu armji angielskiej nie było żadnej roboty poważniejszej, zaprosił więc Kościuszkę w podróż z sobą, na równi z kilku innymi oficerami, stanowiącymi tak zwaną „rodzinę wojenną” generała. Przejeżdżając niedaleko od Trenton ku Betlehem, gdzie Gates miał zabawić parę dni dla wypoczynku i obejrzenia tej kolonji socjalistycznej niemieckiej, Kościuszko dowiedział się, że kawalerja stoi w Trenton. Zboczył więc z drogi, aby odwiedzić Pułaskiego.

Z ciekawością wypytywał się Pułaski o wszystkie

szczegóły tego wielkiego zwycięztwa, które tak podniosło ducha armji, a miało niebawem sprowadzić skutki, o których później dopiero dowiedzieli się: jawny sojusz z Francją i uznanie przez nią Stanów Zjednoczonych za państwo niepodległe. Musiał więc Kościuszko opowiadać po kolei cały przebieg walki: jak przybył do Ticonderogi (czytaj: Tajkonderogi) na początku roku i zastał tu niedobitki armji amerykańskiej, wysłanej na wyprawę do Kanady. Jak Gates, który mianowany był przez kongres dowódcą tej armji, zmuszony był ustąpić główną komendę Schuylerowi, mającemu w kongresie licznych przyjaciół; jak przez nieczynność tego dowódcy armja zmuszona była opuścić Ticonderogę a następnie cofała się ustawicznie, dopóki nie oddano ponownie dowództwa Gates'owi, który natychmiast rozkazał maszerować naprzód. Jak stopniowo rósł duch armji i wzmacniały się jej siły przez przybycie milicji z Nowej Anglji, jak wreszcie po kilku zwycięztwach u wzgórza Bemisa, u Stillwater i u Saratogi, armja Bourgoyne'a zostało otoczona, odcięta od dowozu żywności i generał angielski, mający jeszcze 7000 żołnierza zmuszony został złożyć broń i poddać się amerykanom. Zamilczał przytem Kościuszko o własnych zasługach, o tem jak dalece przyczynił się do zwycięztw trafnym wyborem pozycyj i doskonałem ufortyfikowaniem obozu. Musiał z kolei opowiadać wszystkie szczegóły bitew, o których Pułaski wiedział tylko z rozkazów dziennych głównego dowódcy i z krótkich relacyj w gazetach; o talentach wojskowych generała Gates'a, którego wysoko cenił Kościuszko i do którego szczerze był przywiązany. Gates był anglikiem i osiadł w Ameryce nienadługo przed wybuchem powstania; sympatyzował bowiem ze sprawą wolności i

przewidując wojnę, chciał poświęcić swoją wiedzę i zdolności sprawie amerykańskiej. Chociaż jednak miał licznych przyjaciół w kongresie, większość była dlań mniej życzliwą jako dla anglika, a historja amerykańska okazała się bardzo niewdzięczną.

Pułaski ze swej strony opowiadał koleje, które przeszedł był w Ameryce, swoje wrażenia, sądy o ludziach, których spotykał, o zwyczajach kraju i organizacji armji. Zdania obu różniły się w wielu przedmiotach. Kościuszko przybył do Ameryki na rok przed Pułaskim, miał więc większą sposobność poznania kraju i ludzi. Przytem, pracując przez jesień i zimę r. 1776 w okolicach Filadelfji, później zaś przez większą część roku 1777 na północy, miał sposobność poznać i porównać ze sobą ludność rozmaitych kolonij. Północna armja składała się przeważnie z mieszkańców Nowej Anglji, pracowitych rzemieślników szczerze oddanych ideom wolności, którzy pierwsi podnieśli hasło walki z koroną i przez cały czas stali na jej czele. Zgoła inaczej przedstawiały się kolonje Pensylwania i Nowy Jersey, których ludność przeważnie handlowa i w znacznym stopniu złożona z kwakrów i kolonistów niemieckich lub holenderskich, przekładała pokój nad wojnę, szkodliwą dla wszelkich spraw handlowych, a pod osłoną kwakrowskiej nauki „niesprzeciwiania się złemu" uprawiała służalczy lojalizm względem władzy królewskiej; gdy przeciwnie wśród ludzi ze stanów południowych było wielu gorących patrjotów oddanych idei wolności, ale zwyczaje i tradycje angielskie tam zakorzenione, obok istniejącego w nich niewolnictwa stały na przeszkodzie wyrobieniu poczucia równości obywatelskiej. Ludzie południa przypadali więcej do gustu Pułaskiemu, dla swojej grzeczności, dobrego wychowania,

i animuszu rycerskiego, przypominającego polaków lub raczej szlachtę polską. Kościuszko zaś, który miał sposobność bliżej poznać mieszkańców Nowej Anglji zwanych „yankee", pokochał ich szczerze. Był on przytem więcej od Pułaskiego oczytany w literaturze politycznej i filozoficznej francuskiej i stosował wyrobione na niej pojęcia ogólne do tego co widział. Ameryka była dlań owym krajem przyszłości, obiecaną ziemią demokracji, mającą urzeczywistnić plany i marzenia filozofów o uszczęśliwieniu i podniesieniu ludzkości przez instytucje postępowe polityczne i społeczne. Chętnie więc wybaczał kolonistom ich szorstkość i rubaszność, widząc w nich ludzi przyszłości oddanych ideom równości, braterstwa i wolności obywatelskiej.

Gdy więc w toku rozmowy kwestje te wysuwały się na porządek dzienny, Kościuszko robił uwagi swoje z początku bardzo nieśmiało, z szacunkiem bowiem traktował Pułaskiego, który chociaż prawie rówieśnik jego, tyle już był zasług położył dla kraju. Lecz gdy od wypadków poszczególnych rozmowa przechodziła do zasad ogólnych, Kościuszko zapalał się coraz bardziej. Mowa jego stała się teraz płynną i potoczystą, argumenta nabrały siły nieprzezwyciężonej. Słuchał go ze zdumieniem Pułaski, podziwiając jego oczytanie, a czując zarazem, że to co słyszał, nie było mu zupełnie obcem i nowem, lecz raczej wyrazem tych myśli i przeczuć nawpół niejasnych, które zaczęły się formować w umyśle jego od czasu przybycia na grunt amerykański. Słuchał więc z zajęciem, coraz mniej wtrącając zarzutów, a w miarę tego, jak Kościuszko mówił, czuł, że coraz większa jasność wstępuje do duszy jego, że coraz lepiej zaczyna rozumieć własne myśli.

Rogowski i Zieliński słuchali w milczeniu, podziwiając mądrość gościa ukrytą pod jego skromną postacią, zapał dla postępu i szczęścia ludzkości tający się pod pozornym chłodem i spokojem obejścia się. Nie śmieli wtrącić słowa, a widoczny wpływ jaki wywierały na Pułaskiego wypowiedziane przez Kościuszkę myśli, podnosił wielokrotnie jego znaczenie w ich oczach.

Tymczasem od zasad ogólnych rozmowa zwróciła się naturalnie ku niedawnym wypadkom w Polsce, w których Pułaski brał tak czynny udział jako bojownik i bohater, Kościuszko zaś zdaleka je obserwował i sądził o nich jak filozof.

— Konfederacja Barska, mówił Kościuszko, była szlachetnym porywem narodu ku wyzwoleniu się z pod brutalnie narzucającego się jarzma moskiewskiego. Ale od samego początku skazana była na niepowodzenie.

— Dlaczegoż tak waćpan sądzisz? gorąco zawołał Pułaski, pełen czci dla tej walki, w której postradał ojca i brata, której najlepsze lata swojej młodości poświęcił.

— Dlatego, odrzekł Kościuszko, że nie była rozpoczęta pod hasłami postępu. Aby Polskę wyzwolić z pod ucisku moskiewskiego, trzeba ją odrodzić, popchnąć na nową drogę. Potrzeba pomyśleć przedewszystkiem o naprawie Rzeczypospolitej. Dziś inne hasła rządzą światem, nie te, które w osnowie naszej Rzeczypospolitej leżą. Równość obywatelska powinna towarzyszyć wolności; nie powinna być wolność udziałem tylko stanu szlacheckiego, lecz całego narodu. Polepszyć nieszczęsny stan włościan, których zwłaszcza na kresach, na Litwie i Rusi, prawie za ludzi nie uważają; zrównać ich w prawach cywilnych

ze szlachtą; dać prawo wysyłania posłów do Sejmu, podobnież jak mieszczanom — oto co należało przedewszystkiem uczynić, a miljony obrońców stanęłyby w szeregach wolności i postępu. Konfederaci nie uczynili tego; chcieli uczynić Polskę wolną przez samo tylko wyrzucenie króla, nie dostrzegając, że cały gmach Rzeczypospolitej wymaga gruntownej przeróbki. A gorzej jeszcze, bo gdy na całym świecie szerzyć się poczęły światła filozofji walczące z zabobonem religijnym, konfederacja stanęła, chociaż pozornie, w obronie nietolerancji religijnej, odmawiając praw politycznych dyssydentom.

— Wszak sprawa dyssydencka była obłudnie i podstępnie rzucona przez Katarzynę, jako kość niezgody — zawołał Pułaski; nie mogła Polska ze względu na godność narodową zgodzić się na takie narzucanie sobie praw przez obcych!

— Słusznie, odrzekł Kościuszko, to też w chwili tej już nie było nic do zrobienia. Ale poprzednio fanatyzm przez jezuitów niecony wepchnął był już Rzeczpospolitą na tę drogę. Bo gdybyśmy zostawali przy tej tolerancji dla wszystkich wyznań, która stanowiła taką chlubę Rzeczypospolitej w XVI wieku i tak wielce przyczyniła się do rozbudzenia myśli narodowej, do rozszerzenia w kraju oświaty, gdybyśmy nie byli zaprzeczali dyssydentom praw słusznych, nie miałaby Katarzyna tego pozoru, a co najważniejsza, nie bylibyśmy w smutnej konieczności mieszania haseł wstecznictwa do szlachetnej walki o niepodległość narodu.

— To prawda, że wiele nam złego zrobili jezuici, mówił Pułaski w zamyśleniu, i jabym też wolał, ażeby o co innego walka się zaczęła niż o tę smutną sprawę dyssydentów. Ale co waćpan mówisz o zaniedbani

naprawy Rzeczypospolitej, nie zupełnie jest słusznem. Sądziłem wprawdzie zawsze, że odwaga i determinacja rycerska potrzebniejsze są dla ojczyzny naszej niż gryzmoły prawników, a sam ćwiczyłem się najwięcej w sztuce militarnej na karkach moskali i sprzedawczyków. I tu w Ameryce widzę, jak ci panowie z kongresu lubią zaciągać każdą sprawę a rzeczy wymagające kawalerskiej determinacji ważą i mierzą na mieszczańską miarę pieniężną. Ale słyszałem od p. Wielhorskiego, że na prośbę jego dwóch znakomitych pisarzy francuskich pisało o tem, jaką Rzeczypospolitej polskiej należy nadać konstytucję, a potem widziałem te pisma w Paryżu. Sam zresztą Wielhorski ślęczał podobno nad dziełem o naprawie Rzeczypospolitej.

— Czytałem ja dzieła obu filozofów francuskich. Jednym z nich był szlachetny opat Mably, obrońca wolności i równości, drugim Jan Jakób Rousseau, znakomity autor „Umowy społecznej". Mogę też waćpana zapewnić, że żaden z nich, ani też Wielhorski sam nie pozostał wiernym zasadom równości obywatelskiej, które w innych pismach ogólniejszych wygłaszali: sądzili, że tak daleko odrazu pójść nie można. Ale nie w tem trudność i błąd. Nie pisma nam potrzebne były, lecz czyn obywatelski. Nie w książkach te zasady wypisywać należało, lecz na sztandarach bojowych i mieczem je popierać. Ogłosić wolność chłopom, zrównanie w prawach ze szlachtą mieszczanom i wszystkich do boju powołać!

— A czy sądzisz waćpan, że szlachta by na to pozwoliła? A gdyby szlachtę zaniechać, któżby walczył?

— Szlachta by nie była przeciwną, skoroby uznała słuszność tych żądań. Ale za mało jeszcze była

oświeconą a i dziś nie wiele więcej. Nieszczęściem naszem, że przyszło to tak wcześnie. Teraz, gdy jezuitów co głowy naszej młodzieży tumanili z kraju wypędzono i fundusze zakonu na Edukację Narodową użyto, spodziewać się można, że oświecone wyrośnie pokolenie i sama szlachta zażąda może na sejmie tych praw dla włościan i mieszczan.

Prorocze to były słowa: za dziesięć lat rozpocząć się miały prace tego wielkiego sejmu, które zakończyły się konstytucją 3 maja.

— Uszczuplono obszar naszej ojczyzny, ciągnął dalej Kościuszko pełen zadumy, lecz naród żyje i wróci do swojej potęgi, To, co teraz w kraju się dzieje, to są znamiona odrodzenia. A gdy przyjdzie chwila walki, musi się ona odbyć pod hasłami wolności dla wszystkich, równości obywatelskiej, zniesienia różnic stanów Cały naród szlachtą zostanie, bo nic tak nie uszlachetnia, jak wolność i walka o nią.

— Oby jak najprędzej przyszła ta chwila, zawołał Pułaski, którego oczy płonęły szlachetnym zapałem.

— Obyśmy mogli w niej wziąść udział i nieść krajowi w pomoc doświadczenie i naukę na ziemi amerykańskiej nabyte, odrzekł Kościuszko.

Uścisnęli się pełni wzruszenia przyrzekając sobie przyjaźń dozgonną i przysięgając poświęcić życie wolności ojczyzny, jeśli je bez szwanku z obecnej walki wyniosą.

Jednemu tylko sądzone było spełnić tę przysięgę.

Większa część nocy upłynęła w tej biesiadzie. Kościuszko zabawił jeszcze dni parę i często wracano do spraw ojczystych. Nie zaniedbano też i osobistych. Pokochali się bowiem szczerze od tego pierwszego wieczora. Kościuszko zwierzył się Pułaskiemu z trosk swoich miłosnych, i opowiedział o nieszczęś-

ciu jakie go spotkało; a p. Kazimierz odwzajemniając się za zaufanie opowiedział historją miłości swojej dla Franciszki Krasińskiej, obecnej księżnej kurlandzkiej. I to ich jeszcze więcej zbliżyło: obaj nieszczęśliwi byli w miłości, jak gdyby przeznaczenie chciało, ażeby nic nie odrywało myśli i serca od wielkiej i ukochanej sprawy: szczęścia ludzkości, wolności i postępu ojczyzny.

ROZDZIAŁ XIII.

Wyprawa do Jersey.

Smutniej było Pułaskiemu po wyjeździe Kościuszki, ale zarazem otucha jakaś wstąpiła mu do serca. Jaśniej teraz widział położenie swoje; w tem, co dotąd przypisywał niechęci dla cudzoziemców i zawiści, zaczął dostrzegać inne pierwiastki: różnicę geniusza narodowego, odmienne przekonania i poglądy. Nie brakowało wszakże i zawiści. Moylan skarżył się Waszyngtonowi, że Pułaski zamęcza kawalerję musztrami, to znowuż denuncjował go, że zabiera konie od mieszkańców dla kawalerji, co działo się zresztą za wyraźnym rozkazem Waszyngtona i za wynagrodzeniem, które wypłacać miał kwatermistrz na podstawie wydanych kwitów. A chociaż po należytem wyjaśnieniu Waszyngton przyznawał słuszność Pułaskiemu, przykre mu były te ciągłe skargi i konieczność tłumaczenia się.

Tymczasem zbliżał się czas wielkich manewrów wspólnych dla całej kawalerji, ktorym chciał poświęcić Pułaski ostatnie dwa tygodnie wypoczynku zimowego. Za miejsce ich obrał p. Kazimierz Burlington

i kazał tam zwozić zapasy furażu. Jednocześnie wysłał na okaz do Waszyngtona wyekwipowanego już ułana spodziewając się, że kongres zatwierdzi projekt tak użytecznego oddziału.

Kongres jednak znalazł, że koszta wyekwipowania byłyby zbyt wielkie. Istotnie pieniądze papierowe wypuszczone w znacznej ilości przez kongres nie budziły zaufania i rzemieślnicy podnieśli ceny do ogromnej wysokości. Konie zaś zwłaszcza, w przeważnej części zabierane przez anglików, były niesłychanie drogie.

Jednocześnie prawie z odmową kongresu, która dotknęła bardzo Pułaskiego, przyszedł rozkaz od generała Wayne'a żądający, aby zebrawszy tylu kawalerzystów, ilu miał zdatnych do służby, przyłączył się do jego oddziału wysłanego do Jersey przeciw nieprzyjacielowi, który wysadził tam znaczny oddział wysłany z Nowego Yorku w celu furażowania i rabunku.

Wayne miał tę samą rangę, co Pułaski, t. j. generała brygady; lecz będąc w armji od początku wojny a więc mając wcześniejszą nominację, miał przed Pułaskim pierwszeństwo i prawo do komendy nad nim. Pan Kazimierz jednak będąc naczelnikiem oddzielnego korpusu kawalerji nie przypuszczał, aby miał zostawać pod komendą generała piechoty. Przytem od samego początku prosił, aby nie zostawał pod innym dowództwem prócz Waszyngtona; Waszyngton zaś opóźnił się z wysłaniem rozkazu do Pułaskiego. Depesza Wayne'a dotknęła go więc bardzo niemile. Odpisał Wayne'owi, że ma na razie zbyt mało ludzi aby mógł coś pożytecznego uczynić, a jednocześnie napisał do Waszyngtona zapytując, czy ma usłuchać rozkazu Wayne'a i jakie są pod tym względem

zwyczaje w armji amerykańskiej. Otrzymawszy w odpowiedzi wyjaśnienie, że kawalerja nie stanowi wyjątku co do prawidła komendy oficerów dawniejszej nominacji nad tymi, których nominacja jest świeższej daty, oraz prośbę, aby okazał wszelką pomoc Wayne'owi w wyprawie, do której główny dowódca przywiązywał wielką wagę, p. Kazimierz zajął się natychmiast przygotowaniem do niej.

Większa część oddziału, który miał pod swoją komendą bezpośrednią, była niezdatna do służby z powodu tego, iż siodła, rynsztunki, mundury i odzienie oddane były do reperacji. Prócz tego, niewielkie oddziały zajęte były ustawicznie konwojowaniem zapasów żywności dostarczanych do głównego obozu w Valley Forge. Zaledwie więc około pięćdziesięciu dragonów zgromadzić zdołał, z którymi wyruszył natychmiast ku Jersey.

Droga była zupełnie zniszczona, gdyż częste przejazdy wozów amunicyjnych i artylerji wyżłobiały ją ustawicznie, a nikt nie troszczył się o naprawę. Późno wieczorem przybył oddział do Burlington. Konie i ludzie byli tak pomęczeni, że Pułaski zarządził wypoczynek. Sam zaś po rozlokowaniu żołnierzy i zaopatrzeniu ich udał się do swojej kwatery.

Odesławszy do snu Rogowskiego i Zielińskiego Pułaski długo chodził po pokoju rozważając jeszcze postanowienie, które był powziął podczas drogi do Burlington. Było już blisko północy, gdy zasiadł p. Kazimierz do improwizowanego biurka i napisał następujący list do Waszyngtona:

„Panie,

„Mam zaszczyt donieść Ci, że zgromadziwszy całą kawalerję regimentu Blanda i oddziału, który był przy mnie, znalazłem zaledwie 44 jeźdźców i 5 podoficerów zdatnych do służby; a chociaż nie są w naj-

lepszym stanie, wyruszyłem z nimi przeciwko nieprzyjacielowi. Ponieważ jednak droga jest niemożliwa, zmuszony jestem spędzić noc w Burlington. Jutro mam zamiar zrobić rekonesans i postąpię stosownie do jego wyników. Zobaczę się z generałem Wayne i odbędę z nim naradę; nie zaniedbam nic, czego dobro służby wymaga; lecz nie spodziewałem się tego, aby być pod jego komendą; będę wszakże służył z krzywdą dla siebie dla dobra publicznego.

„Potem zaś postaram się, Generale, zmniejszyć kłopoty, które Ci przyczyniam, składając urząd, którym kongres zaszczycił mię na podstawie twego polecenia.

„Wysyłam stąd dwie łodzie uzbrojone na Anapes Creek dla obserwowania zbliżania się nieprzyjaciół od strony rzeki. O drugiej po południu był on na czterech statkach w miejscowości zwanej Saint Merize.

„Powtarzam Waszej Excelencji o konieczności zadośćuczynienia potrzebom kawalerji. Brakuje jej wszystkiego a pragnąłbym wyekwipować dobrze chociażby pułk Blanda i ułanów. Ponieważ jednak nie będzie to w mojej władzy, potrzeba, aby przyjęte zostały inne środki, nie polegając zbytnio na pułkownikach, którzy niezawodnie nie będą w stanie wykonać tego. Nie mówię o tem ze względu na siebie. Nie liczę bowiem, abym mógł zatrzymać zaszczyt komenderowania tym korpusem w najbliższej kampanji. Ponieważ jednak zostanę zawsze przyjacielem sprawy amerykańskiej, zmuszony jestem wypowiedzieć zdanie swoje, tem bardziej, że jeśli po mnie komenda powierzona zostanie pułkownikowi Moylan'owi, cała kawalerja znajdzie się w tym stanie, w jakim obecnie jest jego pułk. Pułkownik Bland jest oficerem czyn-

nym i na stanowisko to byłby najodpowiedniejszym; p. Moylana zaś możnaby zadowolić czemkolwiek innym. Wypowiedziałem co uważałem za niezbędne i pozostaję z szacunkiem

„Sługa Waszej Excelencji

K. Pułaski".

Burlington, 27 lutego
1777 o północy.

Nazajutrz oddział wyruszył o świcie i ku wieczorowi połączył się z Waynem niedaleko od Haddonfield leżącego w sześciu lub siedmiu milach od Delawaru naprzeciwko Filadelfji. Wayne przybył tu od strony Mount Holly i po drodze dowiedział się, że anglicy przeprawiwszy się za rzekę, rozbili się na niewielkie partje, zabierając bydło i wszelkiego rodzaju żywność po wsiach. Oddział Wayne'a liczył 600 ludzi; prócz tego pułkownik Ellis z 250 milicji stanął na przecięciu dróg prowadzących do Egg Harbor i do Mount Holly, aby zabezpieczyć tył.

Pułaski spotkawszy się z Wayne'm zaczął od tego, że z właściwą sobie prawdomównością wyświetlił to, co uważał za punkt honoru w sprawie otrzymanego od niego rozkazu. Zaznaczył więc, że jakkolwiek pierwszeństwo nominacji dawało Wayne'owi formalne prawo do wysłania rozkazu, nie powinien był tego czynić w stosunku do Pułaskiego, jako dowódzcy osobnego korpusu, który przytem zastrzegł był sobie bezpośrednią zależność jedynie od głównego dowódzcy. Dodał, że nie przyjmując rozkazów, gotów będzie wszakże dla dobra publicznego wykonać wszystko, co po poprzedniem porozumieniu z nim uzna Wayne za właściwe. Wayne przyjął słowa Pułaskiego bez żadnej urazy, wytłómaczył się przed nim, że ton listu jego mógł się wydać nakazującym tylko dla

tego, że go pisał w pośpiechu i nie uważając zbytnio na formy; wogóle zaś okazał p. Kazimierzowi tyle szacunku i grzeczności, że ujął go od razu; a że i charakter miał zdeterminowany, gotów będąc na odważne przedsięwzięcia, więc harmonja zupełna zapanowała rychło między nimi.

Tegoż wieczora wybrał się Pułaski ze swoją garstką kawalerji, aby pochwycić pikiet nieprzyjacielski i zasięgnąć w ten sposób języka co do liczby i położenia anglików. Lecz pułkownik Stirling, który dowodził nimi, miał już wiadomość o ruchu Wayne'a; straże nieprzyjacielskie miały się na baczności i umknęły widząc zbliżający się oddział. Wiadomość Stirlinga o liczbie amerykanów była niedokładną i przesadną. Pośpiesznie więc zwinął obóz i o 11-ej w nocy cofnął się ku przeprawie przez Delaware naprzeciwko Filadelfji, zwanej Cooper's Ferry, pozostawiając masę wozów z bagażami, koni i bydła, które był pozabierał od mieszkańców, a które w ciągu kilku następnych dni rozdawano w obozie zgłaszającym się po nie właścicielom.

Pułaski zwyczajem swoim, zerwawszy się przed świtem, udał się na rekonesans, a przekonawszy się, że nieprzyjaciel cofnął się, pośpieszył do obozu nagląc Wayne'a, aby go ścigał. Ale Wayne ociągał się tłómacząc się znużeniem żołnierza; później wysłał patrole, aby przekonać się, czy droga jest bezpieczna, tak, iż gdy posunięto się nareszcie ku Cooper's Ferry, znaleziono tu nieprzyjaciela dobrze osłoniętego z boków i z tyłu statkami stojącymi na Delawarze, których artylerja stanowiła doskonałą obronę. Wiatr był wszakże zbyt mocny, aby mogli uskutecznić przeprawę przez rzekę. Pułaski naglił, aby natrzeć na obóz, lecz Wayne wahał się jeszcze. Dopiero o godzinie 4-j,

gdy wiatr spadł i anglicy zaczęli przeprawiać część bydła, którą zdołali ocalić, Wayne dał rozkaz przedniej straży, złożonej z 50 piechoty pod dowództwem kapitana Dole, aby zbliżyła się ku nieprzyjacielowi i starała się go odciągnąć od rzeki z pod ochrony dział okrętowych. Jednocześnie drugi oddział Butlera wyruszył na wzmocnienie tej przedniej straży. Garstka piechoty uderzyła na przednią straż anglików i energicznie poparta przez konnicę Pułaskiego, zmusiła ją do cofnięcia się. Sterling wyruszył na ich poparcie, gdy tymczasem pułkownik Ellis z milicją zabawiał oddział, który się przeprawił był z Filadelfji, oraz zamykał drogę dragonom hesseńskim, daremnie probującym przejść most pod celnymi strzałami milicjonerów. Piechota amerykańska cofała się zwolna, strzelając wciąż i usiłując wyciągnąć Sterlinga z obrębu ognia dział okrętowych, wymierzonego na tę garstkę odważnych, lecz na szczęście niezbyt celnego. Ale dowódzca angielski miał się na baczności; tak więc godziny upływały w nieszkodliwej strzelaninie. Tymczasem noc poczęła zapadać; amerykanie cofnęli się, a anglicy przeprawili się spokojnie.

Pułaski, który zawsze w potyczkach był na czele a ostatni cofał się z pola, poniósł dotkliwą stratę w ulubionym koniu, zabitym pod nim podczas ataku. Dragoni jego spisali się znakomicie. Pisał więc do Waszyngtona, donosząc o tej potyczce, że dokazali cudów, że są doskonałymi żołnierzami, lecz brak wszelkich niezbędnych rzeczy zniechęca ich ustawicznie. Gdy nieprzyjaciel cofał się, udało się panu Kazimierzowi ująć kilku jeńców, których odciął od głównego oddziału: byli to majtkowie wysłani na rąbanie drzewa i jeden z kapitanów okrętu, który zbliżył się zbytnio przyglądając się bitwie.

W kilka dni po tej potyczce przyszedł list od Waszyngtona w odpowiedzi na ten, który Pułaski wysłał był z Burlington. Główny dowódzca przyjmował dymisję Pułaskiego, ale jednocześnie zaznaczając wysokie uznanie dla jego zasług, dawał mu do zrozumienia, iż pragnąłby go zatrzymać. „Postanowienie pańskie opuszczenia służby, pisał wódz naczelny, spoczywać musi na przyczynach, które, jak sądzę, czynią je w oczach pańskich koniecznem. Mogę więc jedynie powiedzieć tyle, że zawsze z przyjemnością świadczyć będę o gorliwości i odwadze, którą Pan okazywał przy każdej sposobności”.

Był to istotnie czas, kiedy zniechęceni nieczynnością armji i ciężkimi warunkami ekonomicznymi — gdyż pensja wypłacana w pieniądzach papierowych nie wystarczała na najskromniejsze utrzymanie — oficerowie masami żądali dymisji. Około trzechset wystąpiło z armji w ciągu paru miesięcy a drugie tyle z trudnością dało się nakłonić do pozostania. Odczuł to pan Kazimierz, że nie pięknie byłoby porzucać armję w tak krytycznej chwili. Ale słowo się rzekło, a nie rzekło się lekko. Już od wyjazdu Kościuszki medytował Pułaski nad tym zamiarem; czuł bowiem, że przy tej niechęci, jaka panuje ze strony wielu oficerów kawalerji, przy tej różnicy temperamentu, usposobień, zwyczajów, nawyknień, przy słabej znajomości języka, która przyczyniała się do wytwarzania nieporozumień, stanowisko jego na czele kawalerji nie mogło być tak użytecznem, jakby tego pragnął.

Po odebraniu więc listu Waszyngtona, wzruszony wyrazami sympatji i uznania ze strony tego, tak wstrzemięźliwego w wyrażaniu uczuć swoich człowieka, postanowił wyjechać do Valley Forge i rozmówić się z nim otwarcie, przedstawić mu powody, które go

skłaniały do opuszczenia stanowiska a zarazem okazać gotowość dalszego służenia sprawie amerykańskiej, o ile by dały się wytworzyć warunki, w których służba ta byłaby użyteczną i odpowiednią zdolnościom, ambicji i dążeniom Pułaskiego.

W Jersey nie było nic pilnego do roboty; pozostawiwszy więc niewielką komendę swoją pod opieką Wayne'a, Pułaski wyruszył w towarzystwie Rogowskiego do Valley Forge.

ROZDZIAŁ XIV.

U Waszyngtona.

Wjeżdżając do obozu, który opuścił był przed paru miesiącami, Pułaski doznał bolesnego wzruszenia na widok tych resztek armji w łachmanach; tych wyczerpanych, wychudłych postaci ćwiczących się tu i owdzie niewielkiemi gromadkami w przerwach między chałupami, w których spędzono zimę. Zbliżająca się wiosna przyniosła wszakże otuchę i napełniała serca nadzieją. Nowy kwatermistrz generalny Greene gorliwie pracował nad wyżywieniem armji. Żywność dopływała obficiej; ciepłe dni niezwykle wczesnej wiosny usunęły cierpienia, które mrozy sprawiały, a nadzieje na pomoc Francji i na uznanie przez nią niepodległości kolonij budziły lepsze myśli. Brak odzienia i obuwia dawał się jednak czuć bardzo dotkliwie. Panie, które przybyły do obozu na zimę: żony Waszyngtona, Greene'a, Sterlinga, aby dzielić z mężami trudy obozowego życia, przyniosły z sobą to tchnienie poezji, które otacza zawsze szlachetną kobietę. Mniej teraz było słychać brzydkich zaklęć,

któremi zwykli byli oficerowie i żołnierze pocieszać swoje głodne żołądki. Wszyscy starali się zachowywać przyzwoiciej i utrzymywać w większym porządku znoszone i wytarte mundury. Urządzano teatr grany przez samych mężczyzn; młodzi oficerowie grali role kobiet, pożyczając suknie od pań. Było wogóle pełno wesołości i dobrego humoru, jakiego trudno było spodziewać się po zewnętrznym wyglądzie armji, zwłaszcza zaś, wiedząc w jakich warunkach spędziła była zimę.

Zwyczajem było Waszyngtona zapraszać zawsze na obiad kilku oficerów prócz adjutantów, którzy stale z nim jadali, zwłaszcza zaś dotyczyło to tych, z którymi chciał mieć dłuższą gawędę w tonie mniej urzędowym. Obiady te były nad wyraz skromne: kilka cynowych talerzy i parę półmisków stanowiło zastawę; gdy gromadka była większa, wypadało nieraz czekać kolei na noże i widelce. Potrawy zaś składały się najczęściej z pieczeni wołowej (jeśli była świeża wołowina) lub z wołowiny solonej, szynki, misy kartofli i garści bobu. Od czasu przyjazdu dam, stół bywał zwykle uświetniony ich obecnością, a zastawa staranniejsza, dzięki pani Waszyngton, która przywiozła bieliznę stołową oraz zapasy sztućców i talerzy.

Pułaski, gdy zameldował się Waszyngtonowi, został przez niego zaproszony na obiad tegoż wieczora. Obok innych przyjemnych rzeczy nadmienił przy stole główny dowódzca o słowach uznania dla jego odwagi i talentu w raporcie generała Wayne'a z ekspedycji do Jersey, oraz o odebranem od gubernatora tego stanu Livingstona pochlebnem świadectwie o jego zachowaniu się w Trenton podczas zimy i o dobrem sprawowaniu zostających pod jego komendą żołnierzy.

O ile bolesną była dla Pułaskiego niechęć, której doznawał ze strony niektórych oficerów amerykańskich, o tyleż miłe mu były te wyrazy uznania od ludzi, których sprawie poświęcał się, zwłaszcza, gdy przechodziły przez usta Waszyngtona, którego wysoko cenił i szanował, a wypowiedziane były w obecności generałów amerykańskich. Wszystko więc utrwalało go coraz bardziej w postanowieniu nieporzucania sprawy amerykańskiej, jeśli tylko będzie mógł służyć jej z korzyścią i bez uszczerbku dla honoru. Gdy po skończonym obiedzie Waszyngton oddalił się z Pułaskim na osobność i począł mu malować smutne położenie armji, liczne dezercje żołnierzy i dymisje oficerów, pan Kazimierz uczuł wielkie współczucie dla tej garstki bohaterów, która mężnie trwała przy obronie szlachetnej sprawy. Tłómacząc więc ze swej strony pobudki, które go skłaniały do opuszczenia komendy, pominął zupełnie wszelkie urazy i przykrości osobiste, jakich był doznał, lecz z całą szczerością wypowiedział, że nie czuje się zdolnym w warunkach, w jakich mu pracować wypada, do uczynienia tego wszystkiego, coby pragnął; że brak harmonji, panujący w korpusie kawalerji, skłania go do opuszczenia jego komendy w tem przekonaniu, że jakiś inny oficer potrafiłby może lepiej utrzymać ową zgodność i jedność wymaganą przez dobro służby.

Waszyngtona bardzo ujęła ta troskliwość o dobro sprawy publicznej, połączona z poświęceniem zupełnem tego, co każdy inny na miejscu Pułaskiego uważałby za interes własny: wysokiego i zaszczytnego stanowiska, widoku awansów i korzyści materjalnych. Liczne dymisje oficerów, dotąd po nie się zgłaszających, były zwykle bez żadnej osłony umotywowane obrażoną miłością własną—pominięciem przy awansie

— lub niedostateczności płacy na utrzymanie siebie i rodziny, lub wreszcie znużeniem i słabem zdrowiem. Po raz pierwszy tu Waszyngton miał przed sobą oficera rezygnującego z wysokiej rangi i zaszczytnej komendy dla pobudek mających jedynie na celu dobro sprawy publicznej. Nie szczędził mu więc słów uznania i nie tail, że gotów uczynić wszystko, co jest w jego władzy, aby zatrzymać go w służbie.

— Wspaniałomyślne postanowienie pańskie, mówił do Pułaskiego, musi znaleźć uznanie w kongresie i w armji. Byłoby to wysokim stopniem nieroztropności, gdybyśmy nie uczynili starań, aby zatrzymać w służbie naszej ludzi takiego charakteru i talentu, jak Pan. Jeśli więc Pan ma na myśli jakiś rodzaj służby lub stanowisko w armji bardziej odpowiednie niż dotychczasowe, uczynię wszystko, co mogę, aby skłonić kongres do nadania go Panu. Jeśli niezgodność usposobienia i niedoskonała znajomość języka stoi na przeszkodzie komendzie nad krajowcami, możeby Pan objął dowództwo nad cudzoziemskimi oddziałami naszej armji, które są dość liczne, chociaż rozproszone przy rozmaitych korpusach?

Pułaski przedstawił mu potem projekt legji o jakiej marzył już dawno. Jeszcze będąc w Bostonie a widząc tylu oficerów, którzy przybyli do Ameryki, aby ofiarować swoje usługi sprawie kolonistów, odrzuconych przez kongres i wracających z niczem, przesłał był Pułaski do kongresu projekt utworzenia z nich wyborowej gwardji, na wzór dawnej huzarji polskiej, gwardji, której każdy członek byłby powodowany nie chęcią zysku lub strachem przed karą, lecz czystem przywiązaniem dla sprawy i poczuciem honoru. Późniejsze doświadczenie przekonało go, że prawdziwego patrjotyzmu i poświęcenia więcej zna-

leść można pod farmerską koszulą ludzi Nowej Anglji, niż wśród świetnych mundurów oficerskich. Zresztą i inne warunki zmodyfikowały ten plan. Po dłuższej więc naradzie ułożył p. Kazimierz razem z Waszyngtonem plan owej słynnej później legji jego imienia.

Oddział cały miał składać się na początku z dwóch kompanij ułanów i z sześciu kompanij piechoty. Niezależny od wszelkiej komendy, prócz swego dowódzcy, oddział ten miał znajdować się zawsze w pobliżu nieprzyjaciela, rzucać się na niego niespodziewanie, uderzając bądź na przednią straż, bądź na flanki, bądź odcinając bagaże; porywać pikiety, robić zasadzki, puszczać się na wszelkie niebezpieczne przedsięwzięcia, śledzić ruchy nieprzyjaciela i donosić o nich głównemu dowódzcy. Plan ten doskonały został w znacznym stopniu spaczony później przez ciągłe mieszanie się kongresu i samowolne rządzenie legją, zamiast pozostawienia Pułaskiemu swobody wyboru stanowiska i planu czynności.

Wyjątkowo — wbrew ogólnej zasadzie nieprzyjmowania do armji powstańczej dezerterów — zgodził się Waszyngton, aby do konnicy werbował Pułaski ludzi z pośród hesseńskich zbiegów lub jeńców, którzy zdecydowani byli opuścić sztandary angielskie. Trudno było bowiem dobrać wśród amerykanów tak dobrze wyćwiczonych jeźdźców. Było także postanowione, że oficerowie obcy, przeważnie francuscy, którym brak dokładnej znajomości języka utrudnia stosunki z kolegami amerykanami, znajdą zajęcie w legji. Oficerów tych miał przedstawiać Pułaski a zatwierdzać kongres po aprobacie Waszyngtona. Na głównego pomocnika swego obrał zaraz p. Kazimierz pułkownika Kowacza, słowaka wyćwiczonego w służ-

bie niemieckiej, doświadczonego oficera, który brał udział w wojnie siedmioletniej. On to miał kierować głównie ćwiczeniami i werbunkiem; Zieliński miał udzielić ułanom polskiego kunsztu władania lancą.

Zaopatrzony w bardzo życzliwy dla projektu tego i dla samego siebie list Waszyngtona, udał się Pułaski do Yorktown. „Odwaga i czynna gorliwość gen. Pułaskiego, pisał główny dowódzca, przynoszą mu wielki zaszczyt; będąc zaś przekonany, iż, gdy będzie mniej narażony na niedogodności, jakich dotychczas doświadczał, okaże wielkie usługi z oddziałem, którego utworzenie proponuje, życzę mu powodzenia w jego staraniach". — „Należy nadmienić, dodawał w przypisku, że p. Pułaski spodziewa się utrzymać swoją rangę generała brygady, a, jak sądzę, upoważnia go do tego zarówno charakter jego wogóle, jako też szczególna bezinteresowność w tym wypadku".

Na czele Wydziału Wojny w kongresie, który przygotowywał dla decyzji ostatecznej wszystkiej prawy dotyczące armji, stał Gates. Generał ten słyszał już był o Pułaskim od Kościuszki; chociaż więc był wówczas w niezbyt przyjaznych stosunkach z Waszyngtonem z powodu nadmienionego wyżej listu Conway'a i wynikłych stąd plotek, przyjął p. Kazimierza bardzo życzliwie i z całą gorliwością poparł jego projekt. Mimo to wypadło Pułaskiemu czekać z dziesięć dni na decyzję kongresu, który wogóle nie odznaczał się pośpiechem w załatwianiu spraw, zresztą był obciążony pracą.

Nie był to już ów słynny kongres z 1776, który zdobył się na akt „*Ogłoszenia niepodległości*" a gromadził w swoim łonie najwybitniejszych ludzi ze wszystkich kolonji. Wielu z nich brakowało: jedni byli w misjach w Europie, jak Franklin i Jay, inni

zajmowali stanowiska wybitne w kraju jak Adams, Rutledge, niektórzy już nie żyli.— W tej liczbie dawny prezes kongresu Peyton Randolph. Władza głównego dowódzcy wzrastała w miarę tego, jak wojna się przeciągała, gdyż każdy rozumiał, że w ręku armji spoczywa niepodległość i wolność kolonij, a kongres tracił swój wpływ.

Gdyby na miejscu Waszyngtona znalazł się człowiek ambitny i bez skrupułów, na wzór Arnolda, mógłby łatwo ująć całą władzę i zupełnie ignorować kongres. Lecz Waszyngton łączył z wysokim poczuciem lojalności i z szlachetnością charakteru, tyle delikatności, że w listach swoich do kongresu, nawet wypowiadając stanowczą opinję, nadawał jej zawsze tylko kształt prośby lub życzenia, pozostawiając kongresowi ostateczną decyzję, a nigdy nie narzucając zdania swego.

Pan Kazimierz mniej był cierpliwy, mniej zresztą miał powodów do powściągliwości. Traktował on zawsze trochę z góry tych „prawników", którzy zajmowali się dyskusjami i kuciem praw, często bardzo krępujących dla armji, kiedy oni, żołnierze, wylewali krew za sprawę wolności i znosili wszystkie ciężary życia obozowego.

Nie otrzymując więc odpowiedzi na swój memorjał, a wiedząc od Gates'a, że raport Wydziału Wojny dawno już był przygotowany, wystosował następny krótki i węzłowaty list do kongresu:

„Panowie!

„Gorliwość moja dla sprawy Waszej jest Wam dobrze znana. Nie zasługuje na to, by ją odrzucać. Proszę Was jako o łaskę o pozwolenie służyć Wam, lub jeśli propozycja moja Wam się nie podoba, proszę mię o tem zawiadomić. Odpowiedź Szanownego

Kongresu, na którą oczekuję od dziesięciu dni, będzie nagrodą za moje dobre chęci popierania sprawy publicznej. Oczekuję jej i pozostaję z poważaniem

Panowie

Sługą Waszym

K. Pułaski, gen.

„P. S. Projekt, który przedstawiłem, jest tak pożyteczny dla armji, iż sądzę, że wszystkie inne sprawy mogą być powstrzymane zanim ta zostanie zdecydowaną".

„Sobota, rano.

List ten odniósł swój skutek. Tegoż popołudnia sprawa legji została pomyślnie rozstrzygniętą przez kongres. Było to 28 marca 1778 r.

ROZDZIAŁ XV.

Werbunek. — Betlehem.

Po otrzymaniu decyzji i odebraniu pierwszej zaliczki na werbunek zajął się gorliwie Pułaski sprawą przyszłej legji. Jednym z pierwszych oficerów, których nominacji zażądał pan Kazimierz od kongresu, był Zieliński w randze porucznika. Wielce ucieszyła go ta nominacja, gdyż jako oficer miał większą swobodę ruchu; spodziewał się, że podczas werbunku będzie mógł uzyskać sposobność zbliżenia się do Filadelfji i usłyszeć coś o rodzinie panny Mary. Obok niego dostali nominacje znani nam już fracuzi: Montfort i Bentalon, także De Segoud; niemcy Wenn i Boemper, oraz amerykanie Bèdkin i Parks. De Segoud i Bedkin spisali się tak żwawo z werbunkiem,

że około 1 maja każdy miał już prawie skompletowaną kompanję; to też dostali zaraz rangi kapitanów. Sam Pułaski był w ustawicznym ruchu, pilnując werbunku, korespondując z kongresem, wędrując z miasta do miasta dla zamówienia mundurów, siodeł, rynsztunku i t. d Podczas tych wędrówek wypadło mu kilka razy zatrzymywać się w Betlehem.

Cudowne to ustronie dziwnie odbijało spokojem i słodyczą mieszkańców, braterstwem urządzeń i czystością obyczajów od brutalnych scen rzezi i rabunku, które je otaczały. Osada ta założona była przed kilkudziesięciu laty przez Morawskich braci, dziedziców nauki Hussa, zachowujących w czystości naukę Chrystusa o wspólności i braterstwie, stanowiącą istotę i najpiękniejszy rys chrześcijaństwa pierwotnego skażonego przez późniejsze urządzenia kościołów europejskich. Uciekając od prześladowań, którym ulegali w Europie, przenieśli się tu, aby, podobnie jak niegdyś wyznawcy rozmaitych sekt angielskich, znaleźć wolność urządzenia życia swego według zasad, które wyznawali.

Nabytą ziemię uprawiali wspólnie i owoce pracy zarówno rolniczej jak i rzemiósł, w których celowali, stanowiły własność całej gminy, która opiekowała się wychowaniem dzieci, zaopatrzeniem starców i niedołężnych, a udzielaniem każdemu według potrzeb. Ta wspólna praca przy wspólnych warsztatach i wspólność jej owoców nie wykluczały wszakże bezwarunkowo własności prywatnej: wszystko bowiem co pojedyńczy członkowie lub rodzina dostawała na użytek osobisty stanowiło ich własność.

Wszystkich mieszkańców było wówczas w Betlehem około 500. Wśród malowniczej doliny rozrzucone były domy wspólne dla rodzin oraz inne, w któ-

rych wychowywała się młodzież męzka i dziewczęta. Gmachy te nazywały się domami braci i siostr. Każdy z nich zaopatrzony był we wszystkie urządzenia potrzebne dla utrzymania tak licznych gromad. Budynek osobny zajmowała kuchnia z jadalnią, gdzie odbywały się wspólne uczty. „Dom sióstr" był murowany i wznosił się na wzgórzu. Pośród pszennych pól i ogrodów ciągnęły się kanały z wodą, która za pomocą kunsztownego systematu kół czerpakowych pędzona była ku wzgórzom.

Cały wygląd tej kolonji z jej spokojem, pracowitością, schludnością i doskonałemi urządzeniami przenosił myśl w jakąś daleką przyszłość ludzkości, odbijając jaskrawie od niedbałej i niestetycznej gospodarki amerykańskiej w najbliższem sąsiedztwie, tak jak łagodne zwyczaje morawian odbijały od niby — biblijnej szorstkości, nieszczerości i oschłości kwakrów. Była to jakby oaza przyszłości rzucona wśród smutnej teraźniejszości, jakby kwiat poezji wśród ponurej rzeczywistości, aby dać oczom ludzkim przeczucie lepszego życia i braterstwa ludzi.

A rzeczywistość ta otoczenia wdzierała się brutalnie do cichego ustronia: zwożono tu rannych, urządzano szpitale, lokowano jeńców wojennych, zwłaszcza hałaśliwych i nieposłusznych hessów, którym w ten sposób chciano ułatwić stosunki z niemiecką ludnością osady i dać uczuć różnicę instytucji amerykańskich od despotyzmu ich ojczyzny. Bagaże i zapasy amunicji tu spoczywały. Wreszcie oddziały milicji, idące z rozmaitych stron kraju, często zatrzymywały się tu, przerażając spokojnych mieszkańców pogróżkami rabunku i szerząc popłoch wśród niewiast. Oficerowie, udający się z południowych stanów na północ, również jak i ci, którzy jeździli do Yorktown dla

porozumienia się z kongresem, zatrzymywali się tu dla wypoczynku i dla obejrzenia tego odrębnego typu społeczeństwa przyszłości. Tu spędził po bitwie u Brandywine Lafayette czas swojej kuracji pod troskliwą opieką jednej z sióstr.

Pułaski jak i inni oficerowie nieraz zmuszeni byli poskramiać wybryki milicji, a gdy większe oddziały wojska przechodziły przez Betlehem stawiał p. Kazimierz warty przy domie sióstr, aby obronić je od brutalności rozzuchwalonego wojną żołnierstwa. Obudziło to wdzięczność dla niego. Jednocześnie podziwiały siostry jego piękną postać, rycerską minę, świetny mundur huzarski. Legendarne opowieści o jego czynach w Polsce i w Ameryce krążyły powtarzane z ust do ust; jego nieszczęścia, jego tułactwa, jego samotność w tym kraju budziły współczucie, jego odwaga i poświęcenie — podziw. Pułaski z niemniejszym podziwem i ciekawością przyglądał się całej tej pracowitej gminie; rozpytywał się o wszystko, badał jej urządzenia; często zaglądał do pracowni sióstr, które celowały w haftach kunsztownych

Rozmawiając dwornie i żartując z siostrami, zauważył Pułaski piękność ich przełożonej. Zuzanna von Lersdorf, chociaż nie liczyła więcej nad lat 25, została przełożoną w domu sióstr panien, ponieważ pochodziła z dawnego rodu i przywiozła bogate dary dla gminy. Była ona przedstawicielką tego pięknego typu staro-germańskiego, który dziś można spotkać tylko w Skandynawji. Wzrostu prędzej znacznego, jak na kobietę, ale nie nadmiernego miała przy silnej budowie ciała i cudownej postawie, twarz tak łagodną, że prawie dziecinną; rysy o niezwykłej delikatności zdobiła para oczu szafirowych i głębokich jak morze a pogodnych jak błękit nieba. Włosy jasne z odcieniem

złotawym spadały w dwóch długich warkoczach poniżej kolan. Wejrzenie jej było marzące, pełne zadumy i łączyło w sobie słodycz i niewinność taką, jaką można spotkać tylko w oczach dziecka lub starca-mistyka.

Dostrzegł i to Pułaski, że oczy Zuzanny spoczywały często na nim, gdy na nią nie patrzał, a pochwycone przez jego spojrzenie umykały prędko, jak spłoszone gazele. W takich chwilach pochylała się ich właścicielka nad robotą swoją, a lekki rumieniec pokrywał jej policzki — czy to było tylko odbicie od czerwonego jedwabiu, czy skutek zbytniego pochylenia głowy, tego Pułaski nie mógł zdecydować. Nie mógł także zdać sobie sprawy z tego uczucia jakiego doznawał, gdy czasami spójrzenie jej krzyżując się z jego wzrokiem zatrzymywało się przez chwilę na nim i gdy w źrenicach jej widział jakąś bezdenną głębię i czuł jakby zapytanie sobie rzucone.

— Dla czego taki spokój i takie zimno w twojem spójrzeniu rycerzu? pytały te piękne, niebieskie źrenice.

Ale Pułaski nie był przyzwyczajony do mowy ócz niewieścich. Spójrzenie to budziło w nim wspomnienie Franciszki Krasińskiej i poiło mu serce słodką tęsknotą za dawno ubiegłemi, niepowrotnemi chwilami. Lubił więc towarzystwo Zuzanny; czuł dla niej sympatję wielką, chociaż nie umiał zdać sobie sprawy, czy dla niej samej, czy dla tego, że spójrzenie jej przypominało mu Franciszkę.

Jakoś w końcu kwietnia wypadło Pułaskiemu być świadkiem jednego z najuroczystszych obrządków religijnych Braci Morawskich — Święta Umarłych. Przybywszy do Betlehem przed południem i dowiedziawszy się, że w nocy ma się odbyć owa uroczystość,

pozostał z kilku innymi oficerami bawiącymi przygodnie w Betlehem.

Około godziny dwunastej w nocy uderzyła sygnaturka. Pułaski udał się do kościoła. Był to duży gmach drewniany wewnątrz pełen prostoty bez żadnych ozdób lub obrazów. W końcu sali znajdowała się katedra, po obu stronach stały rzędy ławek, na chórze mieściła się orkiestra, która niebawem zaczęła grać jakąś smutną melodję. Przy dźwiękach jej otwarło się dwoje drzwi po obu stronach katedry i zaczęli przez nie wchodzić parami przez jedne bracia, przez drugie siostry, idąc tu ku ławkom umieszczonym po odpowiedniej stronie. Siostry miały czarne suknie i białe czepki na głowach, ręce miały skrzyżowane na piersiach a wzrok opuszczony ku ziemi.

Gdy wszyscy zajęli miejsca, muzyka ustała. Pastor Ettwin zajął katedrę i odczytał krótką modlitwę po niemiecku. Zaintonował następnie hymn, który wszyscy odśpiewali chórem. Nagle orkiestra zaczęła grać żałobnego marsza. Wszyscy powstali z miejsc i poczęli wychodzić parami przez główne drzwi z orkiestrą na czele. Za pastorem szli parami mężczyźni, za nimi kobiety; pochód zamykali widzowie.

Noc była pogodna i ciepła; gwiazdy migotały na niebie. Przy ich bladym blasku procesja posuwała się wzdłuż alei prowadzącej na cmentarz. Była to czworoboczna łąka z rozrzuconymi tu i ówdzie płaskiemi kamieniami, noszącymi napisy umarłych. Wszyscy stanęli do koła grobowców zwracając się ku nim twarzą; orkiestra zajęła stanowisko po środku. Cisza zaległa i w milczeniu zadumy zgromadzenie oczekiwało świtu.

Nagle dał się słyszeć krzyk przerażenia i rozpaczy tak rozdzierający, tak niespodziany w tej grobo-

wej ciszy nocy, że serca najmężniejszych drgnęły. Zuzanna, która krzyk ten wydała, padła na kolana i zakryła twarz rękami blada i drżąca cała. Rzuciły się do niej siostry myśiąc, że mdleje, ale ona łagodnym ruchem odsunęła je od siebie prosząc o chwilkę spokoju. Później podniosłszy się z kolan wyrzekła cichym głosem:

— Miałam wizję. Widziałam śmierć wojownika. Pędził na czarnym koniu wśród gradu pocisków, wśród wrzawy bitwy, wśród ognia i dymu; pędził z dumnie podniesioną głową, z iskrzącym wzrokiem, z włosami rozwianemi na wietrze, z wysoko wzniesioną szablą, ukazując innym baterję nieprzyjacielską. Nagle krew trysnęła szeroką strugą z boku rycerza, zachwiał się i spadł z konia, który popędził sam jeden po wzgórzu, skacząc przez trupy i ciała rannych. Rycerz przyciska dłonią ranę, lecz krew bucha z niej.... traci przytomność.... Oto rzuca się garstka walecznych i wśród gradu pocisków unosi ciało naczelnika.... Czy wróci do niego życie?.... Ostatnie słowa wymówiła głosem cichym, błagalnym, prawie mdlejącym.

— Czy widziałaś rysy wojownika? — zapytał pastor Ettwin, który zbliżył się był do siostry Zuzanny i z wielką uwagą słuchał jej opowieści.

Zuzanna walczyła z sobą przez chwilę; twarz jej pokryła śmiertelna bladość. Wreszcie wymówiła cichym głosem:

— Nie mogę go nazwać.

Uspakajał więc ją Ettwin mówiąc, że nie należy przypisywać znaczenia wizjom, które częściej są wynikiem chorobliwej wyobraźni, niż jasnowidzenia proroczego. Zuzanna zaś złożyła ręce na piersi i modliła się cicho myślą i oczami wzniesionemi ku gwiazdom. Tymczasem gwiazdy te blednąc już poczęły.

Niebo na wschodzie zaczęło szarzeć, później różowieć i niebawem pierwszy promień wschodzącego słońca błysnął wśród pól zielonych ciągnących się do horyzontu i ozłocił purpurę obłoków. W tej samej chwili zagrzmiała orkiestra smutną, żałobną pieśnią. Orszak ustawił się w pary jak poprzednio i postępował za Ettwinem, który szedł zwolna, zatrzymując się przy każdym kamieniu grobowym, odczytując nazwisko i przypominając zasługi i charakter zmarłych braci.

— Piotr Boehler, czytał na jednym z nagrobków; pamiętacie bracia i siostry, że on to pierwszy przed laty 37 przybył tu z 17 innymi braćmi z Euphratu i założył tę gminę, tak dziś kwitnącą. Wdzięczność pamięci jego. Zasługi jego i wspomnienie o nim żyją wśród nas, a tak rzec możemy, że żyje życiem pozagrobowem w myślach braci i sióstr, którzy go kochają. Czyliż to nie jest nieśmiertelność prawdziwa? Nie pragnijmy innej, prócz tej jaka płynie z pamięci czynów naszych zasług dla ogółu, poświęcenia dla innych.

Tak przemawiał nad każdym grobem, od czasu do czasu nucąc śpiew melodyjny, który wszyscy powtarzali chórem z towarzyszeniem orkiestry. Pc ukończeniu śpiewu orkiestra wracała do cichej żałosnej melodji towarzyszącej słowom pastora. Gdy wszystkie groby obeszli, procesja wyruszyła ku kościołowi, wchodząc w tym samym porządku co i poprzednio: bracia przez jedne drzwi, siostry przez drugie i zajmując osobne rzędy ławek. Ettwin zajął znów katedrę i w odpowiedniem przemówieniu podniósł znaczenie tej uroczystości poświęconej umarłym, a wiążącej pokolenia następujące po sobie braci i sióstr tak jak wspólność i braterstwo łączy żyjące razem. Podnosił on, że prawdziwa nieśmiertelność nie polega na buja-

niu dusz bezcielesnych w błękitach, lecz na tem, iż czyny i myśli nasze, w nich wcielone, żyją wśród pozostających po nas, stanowiąc ich spuściznę duchową i materjalną; że praca najskromniejszego z braci żyje w jakimś wytworze należącym do ogółu i przypominającym go pozostałym po nim braciom; że jeśli zasługi tė są wielkie, to obcowanie ducha twórczego, który je położył jest po śmierci nawet większe, życie i wspólność jego z braćmi potężniejsze, niż za żywota fizycznego. Pamięć bohaterów i cześć dla nich jest religją rozumnych i szlachetnych ludzi i rządzi wypadkami, wpływając na nie potężniej niekiedy od myśli żyjących.

Ze zdumieniem i przejęciem słuchał Pułaski tych myśli, tak nowych dla niego, i mimowoli nasuwało mu się porównanie z praktykami religijnemi naszego ludu, które jeśli kiedyś i dla innych ludów miały znaczenie dla niego już je utraciły, a które przejął nie rozumiejąc ich bezmyślnie i mechanicznie. A jak cała gmina w Betlehem dała mu przeczucie przyszłego społeczeństwa z jego urządzeniami społecznemi i etyką prawdziwego braterstwa nie słowem tylko, lecz czynem uskutecznionego, tak to święto umarłych odsłoniło przed nim mały zakątek religji przyszłości. Kiedyż to doczeka się czegoś podobnego w tej drogiej, dalekiej Polsce?

. . . .

W kilka godzin później, gdy p. Kazimierz zabierał się do wyjazdu, siostra Zuzanna zaprosiła go do poczekalni. Była niezwykle blada, lecz spokojna.

— Odjeżdżasz już, generale — rzekła do niego — może na długo, może na zawsze.... Tu głos jej drgnął i rzęsy opadły głęboko na źrenice, jakby po to, by ukryć to, co w nich odbić się mogło. Lecz natychmiast

opanowawszy wzruszenie, ciągnęła dalej głosem słodkim i cichym, którego każdy dźwięk zapadał głęboko w duszę Pułaskiego:

— Cały kraj podziwia twoją odwagę i waleczność; nie dziw się więc, że i my, siostry, w tem cichem ustroniu, słyszałyśmy o czynach twoich i oceniłyśmy je. Lecz o tych słyszałyśmy tylko. Na sobie doświadczałyśmy twojej delikatności, twojej rycerskiej opieki, czytałyśmy wzniosłość uczuć i myśli twoich w słowach i czynach. Pragnęłyśmy więc, abyś odjeżdżając zechciał wziąść od nas jakiś upominek, którego widok zwrócił by czasem myśl twoją ku nam. Oddzielone przestrzenią, gdy cię losy wojny rzucą w dalekie krańce kraju, pragniemy żyć w pamięci twojej; tak jak umarli żyją w naszej.... Zechciej przyjąć od nas ten sztandar, którego pomysł do mnie należy, rysunek do sióstr Rebeki Langly i Julji Bader, a który wspólnie wykonałyśmy. Niech przyświeca tryumfom twoim, niech wiedzie cię ku zwycięstwom i chroni od nieszczęść; niech zasłoni cię przed straszną śmiercią, która co dnia zagraża wojownikom, a od której pragnęłyby zasłonić cię własną piersią kochające serca nasze.

Mówiła w liczbie mnogiej, lecz Pułaski czuł, że siebie miała na myśli, wymawiając ostatnie słowa. Wyciągnęła rękę i rozwinęła niewielki sztandar z purpurowego jedwabiu obramowany złotem. Na jednej stronie jego jaśniało wszechwidzące oko opatrzności, otoczone złotemi promieniami; dokoła niego trzynaście gwiazd i napis: „Non alius regit" — (niech obcy nie panuje); po rogach zaś cztery wybuchające bomby; z drugiej strony splecione litery „U" i „S" (United States) otoczone napisem: „Unita

virtus fortior" (połączona odwaga przemaga*). Głęboko przejęty słowami Zuzanny, podziwiając trafność pomysłu i doskonałe oddanie idei zasadniczych, o które walczyła Ameryka: republikanizmu i związku federacyjnego w obu napisach łacińskich, ukląknął Pułaski przed siostrą i przyjmując w tej rycerskiej postawie piękny dar, odrzekł jej głosem wzruszonym:

— Błogosławiona bądź duszo czysta. Ty i siostry twoje za to współczucie dla tułacza, za te słowa życzliwe, tak nowe dla mnie na tym obcym lądzie, za te uczucia braterskie. Nie zdarzyło mi się słyszeć słów tak słodkich od tych, których sprawie poświęciłem życie swoje; ale miłą dla mnie jest myśl, że broniąc tego kraju, bronię także i was. Braterstwo wasze odsłoniło mi dalekie widoki przyszłości. Rzeczy, które tu w Betlehem widziałem, dały mi przeczucie przyszłości, którą zaszczepić pragnąłbym w kraju swoim i o nią tam walczyć. Lecz jeśli sądzono mi złożyć kości na tym obcym lądzie, niech ten drogi upominek Twój, przypomni współrodakom twoim o synu obcej ziemi, który ich sprawę ukochał jak swoją i dla niej tu życie położył.

Gdy to mówił Pułaski dostrzegł bladość na twarzy Zuzanny taką, jaką widział w chwili po wizji jej nocnej. Powieki jej zapadły i dwie łzy wypłynęły z pod nich, tocząc się zwolna po policzkach. Pułaski czuł, że jakieś uczucie zrywa się jak burza w piersi jego wstrząsając nim całym. Czuł litość niezmierną nad tą bladą, cudownie piękną postacią, jakąś tęskność nieskończoną połączoną ze słodyczą ogromną...

— Jest tu serce, które kocha cię więcej niż brata,

---

*) Sztandar ten przechowuje się dotąd w Tow. Hist. w Baltimore, gdzie można go oglądać w oszklonej szafce. Ocalił go Bentalon, oficer parokrotnie w tej opowieści nadmieniony.

wymówiła półgłosem Zuzanna, podnosząc nań oczy i czytając w duszy jego, jak w otwartej księdze. Lecz oto w tej chwili przesunął się w myśli jego obraz Franciszki; pan Kazimierz opanował uczucia swoje; przyciągnął do ust rękę Zuzanny i wymówiwszy cicho:

— Wdzięczny ci będę do końca życia za te słowa twoje, szybko wyszedł. Zuzanna opuściła głowę na ręce i dała płynąć łzom, dotąd wstrzymywanym z trudnością.

ROZDZIAŁ XVI.

Pod Savannah.

Krótko tylko nadmienić winniśmy o wypadkach, które zaszły w ciągu pozostałych miesięcy tego roku 1778. Legja szybko formowała się i ćwiczyła. Pomimo przykrości jakich doznawał Pułaski, bądź ze strony władz cywilnych, bądź od oficerów innych oddziałów, przykrości spowodowanych po części przez nieznajomość praw rozmaitych kolonji, po części przez złą wolę jednostek, starał się on doprowadzić oddział swój do możliwej doskonałości. Pracował tak gorliwie, iż wbrew wszelkim przeszkodom pierwszego września mógł już wystąpić z legją swoją w pole, o czem natychmiast zawiadomił kongres i Waszyngtona.

Tymczasem na początku maja przyszła wieść o sojuszu, który Francja zawarła z kolonjami. Radosny ten wypadek obchodzono wielką paradą i ucztą w armji 6 maja. W czerwcu anglicy opuścili Filadelfję i ruszyli ku Nowemu Yorkowi, ścigani przez Waszyngtona, który uderzył na nich w Monmouth przy-

czyniając im znaczne straty. Pułaski nie mógł wziąść udziału w tej bitwie, zajęty był bowiem organizacją legji. Ale Zieliński natychmiast udał się do Filadelfji znacznie wyludnionej, gdyż całe to bawiące się i bratające się z anglikami towarzystwo torysów wyjechało w ślad za armją brytańską bądź do nowego Yorku, bądź rozproszyło się po mniejszych miasteczkach i po wsiach. Smutnego doznał rozczarowania p. Jan, gdy z bijącym sercem zbliżył się do domku przy Kasztanowej ulicy; domek był opuszczony, okienice zamknięte i nikt z sąsiadów nie mógł go objaśnić, co się stało z rodziną Zabriskich. Tyle osób opuszczało Filadelfję w ciągu ostatnich kilku miesięcy, tyle nowych przybywało, że często nawet przyjaciele i krewni zatracali ślad swoich bliskich; przed wylądowaniem anglików torysi uciekali od prześladowań patrjotów lub byli przez nich wydalani; przed wstąpieniem anglików do miasta uciekali patrjoci; teraz znowu wywędrowało parę tysięcy torysów.

Po dłuższem oczekiwaniu nadeszło nareszcie rozporządzenie, ażeby legja wyruszyła do Trenton. Ztamtąd przerzucana kilkakrotnie to tu, to ówdzie, około połowy października znalazła się wreszcie w Little Egg Harbor w Jersey, gdzie wskutek zdrady jednego z oficerów, przy współudziale torysów, napadnięta znienacka, o mało nie została wytępiona. Czujność Pułaskiego ocaliła ją; lecz zginął w tej potyczce pułkownik de Bose. Gdy anglicy zostali wyparowani z Jersey przerzucono legję do Minisink, osady na pograniczu terytorjum indyjskiego; gdyż sąsiednie okolice zostały zrabowane przez indjan podburzanych przez rząd angielski a zawsze mających krwawe rachunki z kolonistami. Znużony nieczynnością i przykrościami, których ciągle doświadczał ze strony kongre-

su Pułaski zażądał powtórnie dymisji, powołując się na wojnę, która rozpoczęła się w Europie, a która budziła nadzieję, że będzie mógł służyć krajowi. Znowuż list Waszyngtona, pełen uznania dla jego zasług i życzliwości dla osoby, skłonił go do zaniechania tego zamiaru, aż wreszcie na początku roku 1779 otrzymał Pułaski od kongresu rozkaz wyruszenia na południe i przyłączenia się do generała Lincolna, który ucierał się tu z nieprzyjacielem. Anglicy zajęli byli miasto portowe Savannah, a z niego rychło rozpostarli panowanie na Georgią i część Karoliny Południowej.

Dwadzieścia dziewięć dni trwała uciążliwa wędrówka legji do Charleston'u, do którego przybył Pułaski prawie jednocześnie z pułkownikiem Moultrie, ściganym przez angielskiego generała Prevost'a. Legja Pułaskiego przybyła w sam dzień, gdy Prevost przeprawiał armję swoją przez rzekę Ashley w kilkunastu milach od miasta. Pan Kazimierz chcąc przeszkodzić przeprawie uderzył z garścią swoich na dziesięćkroć liczniejszego nieprzyjaciela, ale otoczony zewsząd i nie mając posiłków z miasta, z trudnością przerznął się przez szeregi nieprzyjaciół ze znaczną stratą ludzi. W potyczce tej zginął jego pomocnik pułkownik Kowacz. Anglicy otoczyli miasto, żądając poddania się; lecz pan Kazimierz łącznie z Moultrie'm umiał podnieść ducha chwiejących się władz cywilnych i niedopuścić do kapitulacji. Tymczasem Prevost przejął list od Lincolna, zapowiadający rychłą odsiecz. Cofnął się więc natychmiast za rzekę Ashley, gdyż inaczej mógł by być łatwo wzięty między dwa ognie. Pułaski ścigał go, ciągle dokuczając, przerzucając się z miejsca na miejsce, śledząc wszystkie ruchy, chwytając jeńców, kiedy mógł. Prevost

zostawił w Beafort oddział z 600 ludzi pod dowództwem odważnego, pełnego energji i genjuszu wojennego pułkownika szkockiego Maitlanda, sam zaś z całą armją udał się do Savannah, którą zaczął szybko fortyfikować. Tymczasem na prośbę gubernatora Karoliny Południowej, Rutledg'a, admirał francuski d'Estaing, dokonawszy zwycięstwa nad anglikami w Indjach Zachodnich, przybył do portu Savannah z eskadrą swoją, aby dopomódz amerykanom odzyskać to miasto. W tym samym czasie zbliżył się i Lincoln do tej twierdzy, a gdy Prevost po chwilowej zwłoce, podczas której Maitland z oddziałem swym przybył mu w pomoc, odmówił kapitulacji, rozpoczęło się regularne oblężenie. Już pod kierunkiem wytrawnych inżynierów francuskich transzeje i aprosze przecięły większą część odległości dzielącej baterje oblężnicze od fortyfikacji, które z niezwykłą szybkością wznieśli byli anglicy, posługując się pomocą murzynów w wielkiej liczbie porwanych na pobliskich plantacjach w czasie pochodu Prevosta przez Karolinę.

Już od kilku dni baterje amerykańskie i francuskie zasypywały miasto pociskami.

Już tylko na 10 dni roboty zostawało i miasto mogło być wzięte bez wielkich strat z wszelką pewnością. Zbliżała się wszakże burzliwa pora roku; Estaing, naglony przez kapitanów statków swoich a niecierpliwy z natury uważał, że położenie floty nie korzystającej z osłony portu w pobliżu lądu stawało się niebezpiecznem w tej porze roku. Zażądał więc, aby natychmiast przystąpiono do szturmu lub zdjęto oblężenie. Lincoln musiał ustąpić. Rada wojenna zwołana w nocy 8 października ułożyła plan ataku.

Pułaski był zawsze za krokami stanowczymi i za przedsięwzięciami ryzykownemi. Nie podobał mu się

jednak ten pośpiech admirała francuskiego. Znał on dobrze siłę fortyfikacji i przewidywał, że w najlepszym razie, gdyby się szturm powiódł, spowoduje on stratę kilkuset ludzi, łatwą do uniknięcia przy niewielkiej zwłoce. Skoro jednak rzecz została postanowiona żądał, aby jemu i legji jego pozwolono podzielić niebezpieczeństwa i chwałę szturmującej kolumny. Jakoż wyznaczono mu miejsce na czele kawalerji pomiędzy dwoma kolumnami francuską i amerykańską, z których pierwsza miała iść na przedzie.

O pierwszej po północy trzy kolumny wyszły z obozu oblegających w największej ciszy. Aby zapobiedz pomyłkom i uderzeniu na swoich zamiast nieprzyjaciół wszyscy żołnierze mieli białe opaski na lewym rękawie. Jedna z kolumn najmniej liczna, złożona wyłącznie z amerykanów pod dowództwem generała Huger'a skierowała się na prawo, aby pozornym atakiem na lewą stronę odwrócić uwagę nieprzyjaciela od punktu, na który główne siły skierowane być miały. Punktem tym była reduta zwana przez amerykanów Spring-hill, od wzgórza tej nazwy w jej sąsiedztwie leżącego. Abatis*) w tem miejscu miał przerwę i fortyfikacje były słabsze; z drugiej strony nierówności gruntu ułatwiały zbliżenie się do niej, a przyległe trzęsawiska, porośnięte lasem, sprzyjały również ukryciu się szturmujących aż do chwili rozpoczęcia ataku.

Ku temu więc punktowi skierowały się trzy kolumny. Pierwsza złożona z francuzów pod głównym dowództwem d'Estainga miała uderzyć na front re-

*) Abatis jest ochroną, utworzona z nieociosanych pni drzew dokoła fortyfikacji, utrudnia ona zbliżenie się do niej dla piechoty a czyni je niemożliwem dla kawalerji.

duty. Druga złożona była z francuzów i z amerykanów. Francuzi stanowili przednią straż pod dowództwem de Steding'a; za nim postępowała kawalerja pod dowództwem Pułaskiego. Przeznaczeniem jej było, upatrzywszy chwilę odpowiednią, rzucić się przez przerwę w abatisie i uderzyć z tyłu na baterje nieprzyjacielskie. Tył kolumny tworzyli amerykanie pod dowództwem MacIntosha. Cała ta kolumna miała obejść redutę z lewa i starać się uderzyć na jej prawy kąt. Rezerwa zostawała pod dowództwem Lincolna.

Spodziewano się, że atak rozpocznie się przed świtem. Lecz nierówności drogi i niepewność jej spowodowały opóźnienia. O wpół do szóstej wszakże główna kolumna francuska pod dowództwem d'Estaing'a niedostrzeżona, zbliżyła się do wzgórza leżącego na zewnątrz od abatisu, gdy nagle dały się słyszeć strzały muszkietów i dział po prawej stronie miasta spowodowane przez fałszywy atak Hugera. Obudziły one czujność szyldwachów u Springhill. Dostrzegłszy zbliżającego się nieprzyjaciela, dały one kilka strzałów do niego. Wtedy każe d'Estaing zdwoić krok; bębny biją hasło ataku, a żołnierze na rozkaz wodza wykrzykują:

— Vive le roi!

W tej chwili zabłysły ognie na wałach, dym biały wzniosł się ponad nimi i grad kartaczy i kul spadł na doskonale uformowane szeregi francuskiej kolumny, która nie zważając na ogień, pędziła zdwojonym krokiem ku reducie; ale grunt był nierówny, szybkość biegu niejednostajna. Szeregi zaczynają mieszać sie. Przednia straż pędziła naprzód, pozostawiając główny oddział w tyle. Zanim nastąpiła druga salwa, już są na wałach, wdrapują się na redutę i wtykają sztandar

francuski na okopach W tej chwili nadbiega przednia straż lewej kolumny, złożona z ochotników francuzów. Jeden z nich wbija w grunt sztandar Karoliny Południowej.

Wszakże cała masa kolumny zostaje w tyle. Ogień krzyżowy z okopów zasypuje ją kartaczami i salwami karabinowemi. Utraciwszy szyk kolumna miesza się, cofa się wstecz ku lewej stronie i wpada na przednią część lewej kolumny pod dowództwem Stedinga, która po wędrówkach wśród bagien w ciemności zdołała o świcie wydostać się na drogę i biegła do ataku. Następuje straszny ścisk i zamieszanie.

Droga do Augusty, na której skupiły się teraz obie kolumny, miała w tem miejscu kształt wysokiej grobli przecinającej trzęsawiska nieprzebyte, ciągnące się po obu jej stronach.

Kilka tysięcy ludzi zbiło się teraz na niej w bezładną masę, wśród której celny ogień baterji nieprzyjacielskich czynił straszne spustoszenia. Kilka fregatów angielskich, stojących na rzece, otworzyło również ogień dział swoich na szturmującą kolumnę. Na dobitek na drogę, która w tem miejscu ciągnęła się prostą linją od miasta, wytoczono dwie armaty ośmnasto funtowe, nabite kartaczami, gwóźdźmi i rozmaitemi kawałkami żelaza i ołowiu i deszczem tym śmiertelnym zasypują zbitą masę żołnierzy.

Mimo tego straszliwego ognia oficerowie probują sformować żołnierzy, którzy sami śpieszą zająć miejsca w szeregach; d'Estaing, chociaż ranny, każe bić „la generale". Zaledwie sformowana kolumna rzuca się naprzód z okrzykiem, lecz wkrótce morderczy ogień zmusza ją do cofnięcia się. Trzy razy powtarzają atak francuzi i trzykrotnie zostają odepchnięci. Odrzuconą zostaje i przednia straż, która była się

wdarła na redutę. Wszystko miesza się, zbija się na wąskiej drodze. Ci, którzy rzucają się w stronę, giną od strzałów lub ugrzązają w trzęsawisku.

Przez cały czas ataku kawalerja była nieczynną. Ukryta za wzgórzem, które osłaniało ją od strzałów, czekała na chwilę, gdy droga oczyści się w tym stopniu, aby mogła rzucić się na nią. Lecz Pułaski nie mógł zostawać w nieczynności, gdy bitwa wrzała dokoła. Widząc niesłychane zamieszanie jakie zapanowało teraz, rzuca się z koniem w sam środek kolumny, usiłując sformować ludzi. Bentalon podąża za nim. Nie zważając na kule i pociski, które gwiżdżą dokoła, pędzi bohater w swoim białym huzarskim mundurze, na dużym czarnym rumaku z wzniesioną wysoko ręką, szablą wskazując na redutę i wołając:

— Stanisławie za mną! Naprzód! Forward! Już się zaczyna formować gromadka odważnych, a Pułaski słowem i gestem zachęca do pośpiechu.... Lecz oto nagle zachwiał się, ręka z szablą zwisła mu bezładnie, pochylił się na bok i ześliznął z siodła zalany krwią; a rumak popędził precz po drodze....

W tej chwili uderzono na odwrót. Cała ta kolumna pośpiesznie cofnęła się, przecinając bagno po lewej stronie mniej grzęskie od tego, co oddzielało drogę od reduty. Tylko Rogowski i Zieliński, którzy widzieli spadającego naczelnika swego, rzucili się naprzód razem z kilku dragonami; porwali go i wśród gradu kul unieśli w bezpieczne miejsce. Bentalon postrzelony lekko podążał za nimi....

Pan Kazimierz ocknął się w namiocie swoim. Lekarz francuski robił mu opatrunek; ból przywołał go do przytomności. Gdy otworzył oczy ujrzał pochyloną nad sobą twarz tak dobrze znajomą a tak dawno niewidzianą, iż myśląc, że śni, zmrużył powie-

ki. Po chwili otworzył je znowu; lecz twarz przyjacielska pochylała się wciąż nad jego obliczem z wejrzeniem pełnym troskliwości.

— Beniowski! To ty! — zapytał słabym głosem.

— Tak, to ja; przybywam w chwili tak smutnej, aby uścisnąć dłoń twoją, panie Kazimierzu.

— Ale jak że tu?

— Ot przyjechałem od paru miesięcy; prosiłem, aby mię przyjęto do armji; nie chciano. Udałem się więc do kongresu, aby mi ułatwił przejazd do ciebie; chciałem walczyć w twojej legji. Dano mi konia i trochę pieniędzy. Tułałem się sporo zanim tu zajechałem i zamiast na koniu, zastaję cię na łożu....

— W tylu bitwach byłem, nigdy od kul się nie ukrywałem, a żadna mnie dotąd nie drasnęła. Ale czułem to zawsze, że pierwsza, która mnie dotknie to już na dobre....

— Bredzisz, panie Kazimierzu; toć rana nie jest śmiertelna, ani nawet bardzo ciężka....

— Ale ja jej nie przeżyję. Wiem to, przyszedł mój koniec. Smutno, że na obcej ziemi; lecz na własnej nie ma miejsca dla prochów banity, póki rządzi Poniatowski. Myślałem ja, że sławą się tu okrywszy, wrócę kiedyś do Polski, gdy naród nasz walkę o wolność rozpocznie ... Inaczej mi sądzono było. Jest tu polak, co, może szczęśliwszy ode mnie, zaniesie do kraju zamorskie wawrzyny. Kościuszko się nazywa; służy na północy pod Gates'em. To człowiek przyszłości; ty i ja do przeszłości należymy; nie nam Polskę wskrzesić sądzono było.... A jednak zdawało mi się, że tu odradzać się zacząłem i nowe myśli całkiem mnie przerobiły....

Umilkł znużony wysiłkiem. Beniowski siedział przy nim, trzymając w ręku dłoń jego, pogrążony w

zadumie. Rogowski i Zieliński weszli cicho i usiedli w głębi namiotu. Po chwili ranny poruszył się i rozpoczął znowu:

— Już mnie ani prochom moim kraju nie obaczyć; a wolałbym na swojej ziemi w walce o jej wolność zginąć i tam wśród pól zielonych spocząć. Ty wrócisz, Maurycy; ucałuj ode mnie ziemię rodzinną, powiedz wszystkim, kto mnie znał i pamięta, że pragnąłem do Polski wrócić, ale nie żałuję, żem tu walczył i zginął, bo sprawa wolności jest naszą sprawą na jakimkolwiekbądź krańcu świata o nią walczą, a kto z polaków jej służy — ojczyźnie służy. Jeśli zobaczysz Franciszkę, księżnę kurlandzką, powiedz jej, że wiernym jej pamięci zostałem i jako rycerz jej umieram, nie zapragnąwszy innej kobiety.

Umilkł znowu i leżał długą chwilę w milczeniu. Gorączka zaczynała rozpalać jego twarz; zbliżył się do niego Zieliński; ze łzami w oczach żegnał naczelnika ukochanego, powołany obowiązkiem służby do opuszczenia go. Beniowski i Rogowski zostawali przy p. Kazimierzu. Gorączka wzrastała szybko; niebawem zapadł w zapomnienie. Usta jego poruszały się od czasu do czasu, świadcząc o wizjach gorączkowych. Imiona Franciszki i Polski powtarzały się niekiedy wśród chorobliwych majaczeń....

W kilka dni po tym nieszczęsnym szturmie armje francuska i amerykańska cofały się od Savannab, która została w ręku nieprzyjaciół. Pułaski razem z innymi rannymi przeniesiony został na statek Wasp, który miał go zawieść do Charleston. Rogowski towarzyszył mu. P. Kazimierz chwilowo tylko odzy-

skał przytomność, gdy go przenoszono na statek: prosił wtedy, aby go na lądzie nie zostawiano, bo, gdyby wpadł w ręce anglików, gotowi go wydać moskalom. Później zapadł w gorączkę i już nie odzyskał świadomości....

Zwolna posuwał się statek wśród piekących promieni słońca południowego, wchodząc do portu Charlestown. Tłumy ludu stały na wybrzeżu, oczekując go, aż oto zamiast kolorowej wzniosła się czarna flaga żałobna i zawisła w połowie masztu. Publiczność odsłoniła głowy: wiedziano, że statek wiózł rannego bohatera; zrozumiano, że już nie żyje. Nawet zwłok jego nie przywoził: powierzono je wodnej mogile.

Na dnie morza spoczywa młody bohater. Godna to jego mogiła; wielka jak jego szlachetne serce, które za życia biło za cały naród, za całą ludzkość; wielka jak jego duma rycerska; niezgłębiona, niezbadana, tajemnicza, jak przyszłość, o którą walczył.

Ale w kościołach Charlestownu biją dzwony pogrzebowe i kirem okryte ołtarze ich i tłumy ludu idą w pochodzie za próżną trumną, w której leży tylko garść ziemi z pod Savannah, garść ziemi oblana jego krwią szlachetną, tą krwią, którą zapłacił daninę wolności na tym tu amerykańskim lądzie, zdala od ojczyzny, lecz dla sławy jej imienia, dla przyszłości Polski i ludzkości całej.

Koniec.